

Antonina Kozłowska

Trzy połówki jabłka

Wydawnictwo Otwarte Kraków 2007

Dla Kasi S., bez której wsparcia ta historia nigdy nie opuściłaby szuflady

#### NA PRZYSZŁOŚĆ

Spotkanie powoli gasło. Mężczyźni przy stole w salonie toczyli jeszcze zmagania z ostatnią butelką finlandii, kobiety przeniosły się do kuchni. Gospodyni zmywała naczynia, koleżanki donosiły jej z pokoju talerzyki i spodki. Teresa przyniosła kolejne naręczce brudnych talerzy i usiadła przy kuchennym stole naprzeciwko dziewczyny o pulchnej, miłej twarzy i ognistorudych włosach. Zapaliła papierosa.

- Agatko - zaczęła - może postawiłabyś mi karty?

- Po co? - Ruda wzruszyła ramionami, ale pozostałe już ją otoczyły, nagle zmieniając się z trzydziestoparoletnich statecznych mężatek w grupkę rozchichotanych nastolatków.

- I mnie, Aga! Proszę.

- Ja też bym chciała!

Nawet gospodyni oderwała się od zlewu i oznajmiła:

- To ja na koniec kolejki, jak skończę zmywać. Agata z westchnieniem wyjęła z dużej czarnej torby pudełko z talią podniszczonych kart.

- No to która pierwsza? Rany, chyba powinnam brać od was pieniądze! Na każdej imprezie... Już mi się nie chce!

Na kuchennym stole w wysokim lichterzu zapłonął ogarek niegdyś smukłej świeczki o zapachu wanilii. Teraz była kupką stearynowych kropel zastygłych na nóżce świecznika. Agata odprawiała swoje misterium, rozkładając karty na kształt krzyża celtyckiego, tasując je i przekładając. Teresa zapatrzyła się w karty... Znała je na pamięć, wiedziała, co oznaczają, ale sama od bardzo dawna nie ośmieliła się wyjąć

własnej talii - może dlatego że karty jej zobojętniały, a może odczuwała przed nimi strach. Podejrzewała jednak, że rudowłosa nie potrzebuje tych rekwizytów, że używa ich jedynie jako zastony dymnej, bo i bez nich doskonale widzi zawikłane sploty rzeczywistości. Karty migały przed oczyma Teresy zamazane smugami tytoniowego dymu. Wszystkie sześć kobiet w pomieszczeniu paliło.

- Jakiś egzamin cię czeka... ważny egzamin. Jeśli się przygotujesz, zdasz go - cicho mówiła Agata.

Chichoty zamilkły, po czym wybuchły na nowo, kiedy oznajmiła Gosi, mamie bliźniaków:

- Chyba już niedługo będziesz miała też dziewczynkę. Kiedy przyszła kolej Teresy, ta usiadła naprzeciwko wróżki jak zawsze niepewna, a jednocześnie ciekawa tego, co karty powiedzą. Te same karty, które przepowiedziały tyle najważniejszych rzeczy z jej życia. Potasowała spoconymi z nerwów dłońmi gładkie kartoniki i przełożyła je trzy razy.

- Z tobą to zawsze coś musi być! - Agata roześmiała się na widok pierwszej odsłoniętej karty.

Wieża sięgająca nieba waliła się w gruzy, a z jej blanek spadała maleńka samotna figurka. W ciszy słychać było, jak jedna z kobiet ze świstem wzięła głęboki oddech. Kuchnia skurczyła się do małej bańki powietrza, w której dwie siedzące kobiety, jedna ruda, druga z blond włosami spiętymi w koński ogon, były zupełnie same.

- Coś się zawali - zaczęła wróżka - ale przyjdzie coś nowego. Może uda ci się uratować to, co się właśnie wali, a może nie. Widzisz tego spadającego człowieczka?

Teresa skinęła głową.

- To ty. Spadniesz z wysoka, coś się całkowicie zburzy, jakaś budowla runie. Na szczęście wieża jest w prawidłowej pozycji, więc zawsze można ją odbudować.

Agata odsłoniła następną kartę. Na niebieskim tle żółciły się ozdobne kielichy.

- Wspomnienia... coś z przeszłości, ktoś z przeszłości... - mówiła teraz prawie niedosłyszalnym szeptem, ale nagle, jakby tknięta jakąś myślą, uniosła głowę i przeszła Teresę przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu. -Wrócił?

- Kto?

- Wiesz kto.

Teresa potrząsnęła głową z wymuszonym uśmiechem.

- Nie wrócił. Nie widziałam go ładnych parę lat... od urodzenia Marysi czy jakoś tak... Nawet nie rozmawialiśmy.

- Wiesz... - Agata zawahała się. - Jest możliwość... A zresztą może to nie to. Może stracisz pracę i znajdziesz lepszą albo coś takiego. Albo ktoś z przeszłości pojawi się w twoim życiu. Nie wiem... W każdym razie decyzja znowu należy do ciebie: odbudujesz swoją wieżę czy pójdziesz wznosić nową.

W tej samej chwili Teresa poczuła dotyk dłoni na ramieniu. Za nią stał Krzysztof. Najwyraźniej panowie skończyli butelkę i rozmowy o samochodach przy wtórze kanału sportowego włączonego na cały regulator. Pochylał się nad nią, zaglądając z uśmiechem przez jej ramię.

- A wy co, dziewczyny, seans u wróżki? - rzucił. - I co nas czeka? Trzecie dziecko czy niesamowita kariera?

Czar przysł. Kuchnia znowu stała się miejscem pełnym rozgadanych kobiet, woda lejąca się do okrągłego zlewozmywaka zaczęła szumieć nienaturalnie głośno. Teresa uśmiechnęła się do męża.

- Coś niesamowitego mnie spotka - powiedziała w zasadzie sama do siebie.

- A, jasne! Mnie spotka jutro niesamowity ból głowy po tej finlandii - jej mąż roześmiał się i dodał: - Czas wracać do domu, kochanie. Obiecaliśmy niani, że wrócimy przed pierwszą, zanim Jasiek się obudzi na mleko.

TERAZ

Czwórka powoli i z godnością odjechała z przystanku na placu Bankowym, zamykając drzwi tuż przed nosem zdyszanej Teresy. Teresa zakłęta cicho pod nosem. Dziesięć minut stracone.

Przed chwilą wybiegła z Błękitnego Wieżowca, po drodze naciągając czapkę i zapalając papierosa. Po półtoragodzinnych zajęciach bez przerwy smakował cudownie. Nareszcie!

- Kiedyś ten człowiek zanudzi mnie na śmierć - pomyślała ponuro na wspomnienie swojego ucznia. Czterdziestoparoletni kierownik w korporacji - garniturek, buty prosto z Włoch i nieuleczalna mania opowiadania o sobie. Gdyby chociaż nie robił błędów gramatycznych, byłby do zniesienia, a tak słuchanie go powodowało, że musiała bronić się przed ziewaniem, kurczowo zaciskając szczęki. Na szczęście był czwartek, co oznaczało, że następne spotkanie odbędzie się dopiero w przyszłym tygodniu. Dzisiaj czekały ją już tylko jedno zajęcie z grupą sekretarek, może głupawych, ale przynajmniej nie nudnych. Teraz godzina przerwy, Teresa miała więc nadzieję, że zdąży wypić w biurze kawę i odbić na ksero potrzebne ćwiczenia.

Rozejrzała się dookoła. Padał pierwszy śnieg, pokrywając chodnik i jezdnię cieniutką warstwą bieli. Teresa wyobraziła sobie gigantyczną dłoń z sitkiem posypującą ciasto starannie cukrem pudrem. Biel dodawała przytulności klasycystycznym budynkom ratusza i Hotelu Saskiego. Pierwsze latarnie zapłonęły, rozświetlając biały krajobraz żółtawym ciepłym blaskiem, a w snopach światła śnieg sypał powoli jak spadające kryształki cukru.

Nadjechała piętnastka, drzwi otworzyły się i ze środka wysypał się tłum ludzi, głównie młodzieży. Teresa pozazdrościła im młodości, rozbawienia i wesółych okrzyków przeplatanych przekleństwami. Wydawało jej się, że tak niedawno sama wysiadała na tym przystanku z tramwaju w drodze do szkoły. Była wtedy nieświadoma i czysta jak biała karta przed napisaniem pierwszej litery. Jedyne, co zaprzętało jej myśli, to chłopcy i lekcje do odrobienia.

Uchwyciła swoje odbicie w szybie tramwaju. Spróbowała sobie wyobrazić, co widzą ludzie patrzący na nią. Podobno nie wyglądała na swoje trzydzieści dwa lata, ale była ich boleśnie świadoma. Drobna kobieta o wzroście dwunastolatki, lekko zmęczona twarz z pierwszymi zmarszczkami w kącikach oczu, nos i oczy zaczerwienione od zimna, niewielkie dłonie o długich palcach, bez rękawiczek. Spod czapki wystaje nierówna grzywka przycięta w domu przed łazienkowym lustrem. Poprawiła szalik kaprys w barwach wściekłej czerwieni, zieleni i śliwki. Z frędzlami, miękkimi i ciepłymi. Ten szalik, który miał być jej okrzykiem: „Zauważcie mnie!”.

Całkiem niedawno postanowiła zmienić kolorystykę z szarobrązowej na weselszą. Kolory w sklepach uwodziły ją i zachęcały. Kojarzyły się z jedzeniem - karmelem, truskawkami, miętą. „Szalik o smaku malinowym i kiwi”, pomyślała zadowolona.

Kolejna czwórka wyłoniła się majestatycznie z Andersa i zbliżała do przystanku. Kiedyś, w czasach szkolnych, Teresa miała wrażenie, że tam dalej nie ma już nic, że tramwaj przybywa znikąd, z mgły. Dopiero parę lat później poukładała sobie w głowie mapę Warszawy i splątany krwiobieg linii tramwajowych. Mimo to nadal, jadąc Andersa na Żoliborz, miała poczucie nierealności, jakby jechała przez obce, niewidziane wcześniej miasto. Hic sunt leones, ziemia niczyja, terytorium obce, bo nienaznaczone żadnym przeżyciem, wspomnieniem, emocją.

Weszła do tramwaju. Usiadła na jedynym wolnym miejscu, wyjęła z torby „Przekrój”. Czyjaś komórka zadzwoniła nachalnym, dyskotekowym motywem z lat osiemdziesiątych, podniosła głowę, żeby zobaczyć...

Początkowo nie wierzyła własnym oczom. Już tyle razy zdarzyło się jej pomylić twarze. Zazwyczaj nie witała się z ludźmi, dopóki nie podeszła do nich na odległość wyciągniętej ręki; dopiero wtedy mogła ufać swojemu wzrokowi. Teraz także odrzuciła pierwsze skojarzenie. Przekreśliła je wzruszeniem ramion. W tramwajach są setki wysokich, przygarbionych mężczyzn. Kiedyś na widok każdego z nich czerwieniła się i bladła, zaciskała dłonie w kieszeniach, żeby stłumić bicie serca. Ale każdy z nich okazywał się podróbką Marcina. Każdy różnił się jakimś szczegółem i okazywał się kimś zupełnie innym, nieważnym, obcym.

Nie tym razem.

Tym razem wiedziała, że się nie myli, choć usiłowała zignorować to przekonanie, patrzeć w okno i nie rzucić nawet jednego spojrzenia w stronę wysokiego mężczyzny, który też ją dostrzegł.

- Cześć! Czy to naprawdę ty, Tereso? - spytał, nachylając się nad nią.

- To ja... - wykrztusiła. - Co za spotkanie.

Jej podświadomość już zdecydowała, jaką maskę włożyć. Postanowiła zaprezentować się w roli zadowolonej—z życia trzydziestolatki.

- Co u ciebie? - spytała z uśmiechem.

Miała nadzieję, że ten uśmiech odwróci uwagę od czerwonego nosa i oczu. Że zatuszuje jej wewnętrzne rozdygotanie. Chyba się udało.

- Dużo by opowiadać - roześmiał się Marcin. - Może masz chwilę? Wracam z pracy, moglibyśmy wstąpić gdzieś na kawę.

- Nie mogę, mam jeszcze dwie godziny zajęć wieczorem - odpowiedziała.

- Może kiedy indziej? - zaproponował.

Wymienili numery telefonów i adresy e-mailowe. Tramwaj minął plac Unii i powoli zbliżał się do Rakowieckiej. Teresa wstała, żeby wysiąść.

- Tu pracujesz? - zdziwił się Marcin. - Mieszkam niedaleko, w okolicy Chełmskiej. Aż dziw, że nigdy dotąd się nie spotkaliśmy.

Nie odpowiedziała. Wsiadła. W oddalającym się tramwaju jeszcze przez chwilę widziała jego sylwetkę - jak kiedyś, dawno temu, zanim małżeństwo, dzieci, praca kazały jej dorosnąć.

Płatki śniegu spadały powoli, oprószały jej czapkę i kolorowy szalik. Wysunęła język, żeby poczuć ich smak, zimny i lekko słonawy, i powoli poszła na ostatnie zajęcia.

Kiedy wracała do domu autobusem, jak nigdy uderzyło ją poczucie samotności. Niby chodziła do pracy, niby w domu czekali mąż i dzieci, a jednak zawsze czuła się jak za szybą: wieczory w autobusie, samotne siedzenie nad caffè macchiato w Mercer's w oczekiwaniu na kolejne zajęcia, przerwy wypełnione przemieszczaniem się z jednego punktu Warszawy w drugi. Krążyła sama jak wolny elektron, z dala od jądra atomu, oderwana.

Gdy weszła do domu, dzieci przywitały ją radosną wrzawą. Marysia przyniosła nowy rysunek, zaczęła coś trajkotać z szybkością karabinu maszynowego o przedszkolu, o koleżankach, o tym, że Wojtek powiedział brzydkie słowo przy obiedzie. Dwuletni Jaś po prostu podbiegł i przytulił się, jeszcze nie mówił wiele poza „mamusia” i „tatuś”. Krzysiek - mąż, towarzysz życia, przyjaciel - kiwnął jej głową znad laptopa. Coś tam pisał czy poprawiał, próbując skupić się w nieustannym hałasie, jaki powodowały dzieci.

- Cześć, kochani - powiedziała.

Zdjęła kurtkę i szalik, nastawiła wodę na herbatę i natychmiast zatonęła w powodzi domowych obowiązków - przygotować kolację, naszykować Jasiowi mleko na zasypianie, pościelić łóżko, zrobić Marysi kanapkę, ale koniecznie z szynką, nie z serem, bo ser jest „po prostu ohydny, mamusiu!” Położyły oboje spać, opowiedziała Marysi bajkę, zebrała rozrzucone zabawki z dywanu w salonie i usiadła z herbatą na kanapie, zmęczona jak co dzień. Miała akurat tyle energii, żeby włączyć jakiś głupkowaty program dla kobiet, w którym trzy zadbane, energiczne młode mamy z werwą omawiały temat zabawek edukacyjnych.

Zaczęła się zastanawiać, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby dziesięć lat wcześniej wybrała inaczej. Gdyby ten wysoki, przygarbiony mężczyzna w czarnym płaszczu wracał tramwajem do niej, a nie do kogoś

innego. Kim byłaby? Czy też błąkałaby się sama po mieście między jednymi a drugimi zajęciami? Czy byłiby na świecie Jaś i Marysia i jacy by byli? Może byłiby Oliwią i Michałkiem albo bliźniakami Piotrusiem i Bartkiem? Czy Marcin też ledwo podniósłby głowę znad laptopa rozłożonego na stoliku do kawy? Co stałoby się z tamtą chemią, z pragnieniem, które ledwo pozwalało im zachować spokój w miejscach publicznych? Czy nadal nie byłiby w stanie rozmawiać, nie dotykając się co chwila? Czy po dziesięciu latach i dwóch cesarkach nadal pociągałoby go jej ciało - za wiotkie, za tłuste, sponiewierane i nielubiane?

Dopiła herbatę i poszła spać, nie czekając na Krzysztofa, który nadal pracował, teraz przy kuchennym stole. Zasnęła i w nocy nie zbudziła jej jego obecność - znak, że musiał przespać tę noc na kanapie przed telewizorem. Jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak kilka dni temu... Zaczynała się do tego przyzwyczajać. Lubiła spać w przestronnym, pustym łóżku małżeńskim wyciągnięta po przekątnej, przy uchylonym oknie i cichutkim pochrapywaniu synka w łóżeczku.

Spała bez snów, ale w środku nocy zbudziła się z twarzą zalaną łzami i nie mogła przestać płakać. „Chandra -pomyślała. - Listopad, spotkanie z byłym facetem, trzydziestka na karku. Kto by nie płakał?” I spała dalej.

Paula poprawiła włosy i krytycznie przyjrzała się sobie w lustrze. Jak codziennie po powrocie z pracy, przebrała się w wygodną spódnicę i sweter. Materiał miękko otulał jej ciało, podkreślając wszystkie wypukłości. Ani jednej fałdki zbędnego tłuszczu, falujące blond włosy i gładka, naturalnie czysta cera dwudziestolatki. Paula z trudem przyjmowała do wiadomości, że ma już dwadzieścia siedem lat. W głębi serca czuła się wciąż tą młodziutką dziewczyną, która przyjechała do Warszawy studiować w wymarzonej SGH. Teraz wciąż miała problem z przyzwyczajaniem się do nowej roli - kobiety pracującej i świeżo poślubionej żony. Czuła się trochę jak w nowym ciasnym ubraniu, choć doskonale wiedziała, że kiedy to ubranie zacznie pasować jak druga skóra, jak ten dzianinowy zestaw w kolorze chmur, który ma na sobie, wtedy przyjdzie czas na kolejne zmiany.

W garnku na kuchence wesoło bulgotał makaron. Sos powoli dochodził w rondelku. Na stole Paula ustawiła dwie żółte świece pachnące wanilią, dwa żółte talerze, butelkę wina i kieliszki. Usłyszała dzwonek, gdy odcedzała makaron. Marcin nigdy nie otwierał drzwi kluczem, wołał zadzwonić. Pobieгла otworzyć. Poczula dziwne ukłucie w sercu, jak zawsze kiedy na niego patrzyła. Jego płaszcz przyprószony był drobnymi płatkami śniegu, a do zaczerwienionego z zimna policzka przylepiło się pasemko ciemnych falujących włosów. Mimo że była wysoka, musiała wspiąć się na palce, żeby go pocałować. Zawsze gdy wchodził do domu, czuła coś w rodzaju zaskoczenia - jakby podświadomie oczekiwała, że przyjdzie taki dzień, kiedy to się skończy, kiedy okaże się, że jej mąż, ten idealny książę z bajki, odszedł, bo tak naprawdę nigdy na niego nie zasługiwała.

Przewyciężyła te myśli i zmusiła się do uśmiechu.

- Jak minął dzień, kochanie? - spytała. - Zmęczony jesteś?

- Nie - odparł. Miała dziwne wrażenie, że unikał jej wzroku. - Pojechałem do domu trochę okrężną drogą i spotkałem w tramwaju dawną znajomą. Pamiętasz Teresę?

Paula poczuła nagłe ukłucie strachu. Oczywiście, pamiętała Teresę. To ta, która zajmowała jakieś miejsce w przeszłości jej męża. Niska drobna blondynka o zmęczonej twarzy, jakby poszarzałej, zakurzonej. Prychnęła w duchu, że ocenia niesprawiedliwie. Widziała tylko

raz kilka lat wcześniej, kiedy poszli zobaczyć jej nowo narodzone dziecko. Miało może ze dwa tygodnie, a która kobieta nie wygląda na zmęczoną przy dwutygodniowym niemowlaku? Ale już wtedy, podczas zupełnie nieudanego spotkania z tamtą i jej dziwnym, małomównym mężem, czuła jakieś nieprzyjemne napięcie. Potem przestała o tym myśleć, a teraz napięcie wróciło.

Zmobilizowała się wreszcie do przerywania rozmyślań i wróciła do makaronu i szpinaku. Odgłosy dochodzące z przedpokoju, gdzie Marcin przebierał się w domowe ubranie, szum wody w łazience, kiedy mył ręce - to wszystko utwierdziło ją w przekonaniu, że wyrok odwleczono, że nadal należy do tego mężczyzny, a on do niej.

Jedli w milczeniu przerywanym zdawkowymi uwagami. Za oknem padał śnieg, wirował w świetle latarni, ulica Gagarina pokrywała się powoli białym pudrem.

Tego właśnie wieczoru, przy wpadającym przez okno rozproszonym świetle latarni odbitym od świeżego śniegu, Paula zaszła w ciążę. A potem, kiedy w jej wnętrzu rozpoczął się gorączkowy proces łączenia i podziałów komórek, spała głębokim snem i śniła o chmurach wirujących szaleńczo na błękitnym niebie, przez które leciała i leciała... wprost do słońca.

## DAWNIEJ

- Nigdzie nie pójdziesz! - to miał być stanowczy zakaz, ale wkradła się do niego jakaś zupełnie nie na miejscu błagalna nutka. Łukasz stoi na środku pokoju i bezradnie obserwuje, jak Teresa w czarnym staniku i majtkach miota się w poszukiwaniu spodni. - I to jeszcze w tej bluzce. Nie pójdziesz, nie ma mowy!

Śmiech Teresy, częściowo stłumiony, wydobywa się spod koronkowej bluzki, którą właśnie wkłada. Czarna bluzka, czarne spodnie dzwony, czarne buty na koturnach, ciemnowiśniowe krótkie włosy, mocny makijaż. Ta dwudziestolatka wcale nie jest podobna do nieśmiałej dziewczyny, którą poznał dwa lata wcześniej, wzorowej uczennicy. W głębi duszy wiedział, że kiedyś to się stanie

- że ona wreszcie wykluje się z poczwarki, że przestanie jej wystarczać jego banalna stałość, że zapragnie czegoś innego. Ale nie spodziewał się, że tak szybko.

- Mamo, gdzie jest mój czarny żakiet? - krzyczy Teresa. A potem to już chwila - żakiet, zielona wojskowa kurtka niepasująca do całości, szalik - i Teresa wychodzi w listopadowy wieczór, trzaskając drzwiami. Teraz powinien pożegnać się z jej matką i pojechać do domu, lecz wie, że tego nie zrobi. Będzie czekał, aż jej matka pościeli mu na kanapie, przeleży noc, nie śpiąc, a rano pojedzie po Teresę pod adres, który podała.

Wszystko zaczęło się, kiedy ścięła włosy, mniej więcej pod koniec wakacji. Nie powiedziała ani słowa; po prostu pewnego popołudnia poszła do zakładu fryzjerskiego na rogu. Była długowłosa uległą blondynką, taką jak lubił. Wróciła z krótką chłopięcą fryzurką w kolorze wiśni. Obca i agresywna.

- Nie podoba ci się, to trudno. Przyzwyczaj się albo zamknij oczy - zasugerowała. - Mnie tam wszystko jedno.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Tak jak dzisiaj, kiedy oznajmiła mu, że wychodzi na spotkanie klasowe przyjaciół z podstawówki. Sama.

I wyszła. Wyszła wreszcie. Odgłos kroków przez chwilę odbijał się echem w wysokiej przedwojennej klatce schodowej. Łukasz zerknął jeszcze przez balkon. Szła energicznym, zdecydowanym krokiem w stronę przystanku autobusowego. Czarna drobna sylwetka na tle białego śniegu.

Tak naprawdę to właśnie tamten wieczór przesądził o jej dalszym życiu, choć wtedy wszystko było jeszcze zasłonięte. Linie przyszłości rozchodziły się promieniście do setek tysięcy punktów docelowych, a ona stała na rozdrożu, powoli zwracając twarz w stronę tej jedynej możliwej przyszłości - bez Łukasza o tłustych włosach i ambicjach sięgających posady kierownika zmiany. Idąc przez śnieg, czuła się po raz pierwszy od wielu miesięcy naprawdę wolna, należąca tylko do siebie. Mogła oczywiście odrzucić zaproszenie kolegów z dawnej klasy, mogła zabrać Łukasza ze sobą, mogła nie wkładać agresywnych czarnych ciuchów... Mogła pokazać się dawno niewidzianym znajomym jako grzeczna i ułożona Tereska - narzeczona tego miłego chłopaka, wzorowa studentka filologii - naturalne przedłużenie tamtej Teresy, która siedziała w pierwszej ławce i miała nieskazitelnie czyste zeszyty z kolorowymi podkreśleniami.

Przyspieszyła kroku, żeby zwalczyć pokusę powrotu do mieszkania, i kiedy dobiegła na przystanek pod Marriottem, pięćset dwanaście właśnie nadjeżdżało. Wsiadła i pojechała do dawno niewidzianej krainy dzieciństwa.

W okolicy pętli autobusowej prawie nic się nie zmieniło. Klockowate wille z wczesnych lat osiemdziesiątych jak dawniej straszły nieotynkowaną cegłą albo mozaikami z tłuczonego szkła. Kilka nowych domów pyszniło się wielospadowymi dachami i ganeczkami na kolumnach, ale uliczki nadal tonęły w śniegu i błocie. Kiedy szła przez osiedle, miała wrażenie déjà vu, jakby znowu wracała ze szkoły z wpychanym tornistrem. Ale tym razem miała w torebce tylko butelkę i paczkę papierosów.

Doszła na miejsce i natychmiast otoczył ją tłum rozgrzanych, roztańczonych ludzi. Twarze, sylwetki... Próbowała je dopasowywać do nazwisk z listy w dzienniku, do dziecinnych przezwisk. Małgosia - czy to możliwe, że ta postawna ciemnoruda dziewczyna wyrosła z chudej zahukanej kujonki? Mariusz - kiedyś wzrostu Teresy (pamiętała jeszcze, jak cała klasa się śmiała, gdy nieśli razem sztandar szkoły) - teraz wysoki, niepozbawiony uroku okularnik. Joanna... W szkole dusza towarzystwa, siła napędowa wszystkich wagarów, wyskoków i kawałów. A teraz? Teraz z zaznaczającym się ciężowym brzuszkiem i obrączką na palcu obok faceta na oko trzydziestoletniego, wąsatego, w zielonej marynarce. Przywitania, pocałunki, uśmiechy. Co studiujesz? A ty? Filologię? Serio?! Wiesz, że Artur ma dziecko? Aśka! Który miesiąc? Niemożliwe!



Pokój z bufetem, sałatki, kanapki, kieliszki... Trzeba wstawić butelkę do lodówki. W kuchni jeszcze ktoś. Ewa? Obejmuje, wita się. Teresa siada na stołku. Kogoś brakuje. Zaczyna jej świtać w głowie, ale nie zamierza pytać. Jeszcze nie teraz. Na razie jest trzeźwa i nie może sobie pozwolić na takie pytanie, a kiedy wypija parę kieliszków i zbiera się, żeby zapytać, robi jej się gorąco i ściąga przez głowę sweter, pod którym ma tylko wyzywający T-shirt z czarnej koronki. Zza warstw wełny słyszy poruszenie przy drzwiach, rzuca sweter za siebie i widzi tego, o którego miała zapytać.

- Daniel!

Słysząc powitania, muzyka nadal wyje. Tylko Teresa nie jest w stanie wydobyć głosu ani podnieść się z kanapy. „Pomyśli, że jestem pijana”, kołacze jej się po głowie, ale nie ma siły wstać i tylko się wpatruje, wręcz wgapia. Kończyła podstawówkę cięło zakochana w tym chłopaku, ale to, co widzi teraz, dosłownie zwala ją z nóg. Daniel ma urodę filmowego amanta, falujące blond włosy i okulary. A zza okularów patrzą na nią niebieskie lekko szalone oczy. Patrzy na nią, więc Teresa zbiera wszystkie siły i podnosi się.

- Cześć, co słysząc? Kopę lat...

Nakłada maskę dawno niewidzianej koleżanki. Potem będzie ją wkładać na spotkania z kimś innym i ważniejszym. Ale na razie nie wie o tym, bo jest tylko smarkatą dwudziestolatką, która wyrwała się z domu i od swojego pierwszego chłopaka. Nie wie, że Daniel jest tylko preludium do jej życia, środkiem do celu, że to, co się zdarzy z nim, nie będzie nawet w części tak ważne jak to, co się zdarzy przez niego...

Ten moment wbije jej się w pamięć na następny rok, wdrukowany jak obwód scalony w płytkę. Moment kiedy podnosi wzrok i widzi go stojącego w drzwiach do nędznego studenckiego pokoju z meblościanką. Zapamięta tę chwilę lepiej niż dwa lata związku z Łukaszem, noce i dni płynące powoli jedno po drugich. Na jednej szali siedemset czterdzieści pięć dni i nocy, a na drugiej ułamek sekundy.

Teresa lekko pijana wychodzi na zewnątrz przewietrzyć się, zapalić papierosa. Za nią wychodzi Ewa, ta spotkana w kuchni. Teresa przypomina sobie Ewę ze szkoły -tęgą, przedwcześnie dojrzałą dziewczynę. Teraz widzi przed sobą modelkę o twarzy w kształcie serca i burzy kręconych czarnych włosów. Rozmawiają o niczym.

- Niezły facet zrobił się z Daniela, no nie? - zagaja Ewa. Teresa w tym momencie już zupełnie nie pilnuje tego,

co mówi, i odpowiada:

- Niezły... Nie wyobrażasz sobie, jaką mam na niego ochotę!

Ewa uśmiecha się z zakłopotaniem. Teresa czerwieni się, bo zupełnie nieoczekiwanie otworzyła się przed kimś prawie obcym, przed dziewczyną, której dawniej nawet dobrze nie znała. Wraca do środka. Muzyka ucichła, Daniel szuka kasety, włącza coś bardzo głośnego i punkowego, dziewczyny piszczą: „Ścisz to, wycisz! Przy tym nie da się tańczyć!”. Aśka kładzie obronny gest rękę na brzuchu, jakby to dziecko w środku miało się wystraszyć muzyki, potem wstaje, ciągnie swojego wścacha w marynarce do drzwi,

żegnają się krótko i znikają w śnieżnej nocy. Słysząc warkot silnika. Ona nie piła, więc prowadzi. Muzyka pulsuje jednostajnym chropawym rytmem; wdziera się do mózgu. Gdy jakiś wokalista wrzeszczy, Daniel podchodzi do Teresy i kładzie jej rękę na ramieniu.

- Chodź, pokażemy im, że przy tym da się tańczyć. Teresa czuje się naga, odsłonięta, przychodzi jej do głowy, że on słyszał to, co mówiła Ewie na podwórku. Ale wstaje, nie jest w stanie odmówić. Poruszają się trochę niezgrabnie, bo różnica wzrostu jest ogromna. W końcu utwór się kończy, dziewczyny piszczą: „Nareszcie!”, i włączają coś swojego - coś bez duszy, za to bardziej rytmicznego. I tańczą przy tym, a Teresa z Danielem siedzą przy stole, piją kolejne drinki, rozmawiają. Ona chłonie jego opowieści o wyjazdach: Francja, Portugalia, Hiszpania... Portugalia zostanie jej w głowie na zawsze. Będzie marzyć

O Portugalii i tramwajach na ulicach Lizbony.

Nie wiadomo, jak i kiedy zostają sami, lądują w prawie pustym pokoju, tylko z materacem na podłodze. Kładą się spać, ale nie śpią. Z magnetofonu syczy się cichutko Lenny Kravitz. Dłonie błędzą, szukają. Pocałunki. Wszystko jest trochę nierzeczywiste i spowolnione.

- Dlaczego to robisz? - pyta. - Podobno masz chłopaka. Łukasz czekający na nią gdzieś tam w Warszawie, jego zrezygnowana mina i smutne, błagalne spojrzenie stają jej na moment przed oczami. Otrząsa się z tego obrazu, wzrusza ramionami. Potem mówi:

- I co z tego?

W tym samym czasie Łukasz siedzi u niej w domu przed telewizorem i nawet się nie domyśla, że właśnie ją stracił, że ona nigdy nie będzie jego tłustą blond żoną

1 matką jego dzieci. Że właśnie uciekła.

Nic nie zdarzyło się tej nocy do końca: za dużo alkoholu, muzyki, zbyt nieporadnie zabierali się do rzeczy. Rano, z pierwszym promieniem słońca odbijającego się od śniegu za oknem, Teresa wstaje i patrzy na znajomego-nieznajomego mężczyznę, który śpi. Ma włosy w nieładzie, okulary leżą na podłodze obok materaca. Ona już wie, że to koniec, że nic z tego nie będzie i że więcej się przy tym człowieku nie obudzi - normalne dziewczyny nie robią takich rzeczy; nie idą do łóżka po pijanemu z kolegą z klasy spotkanym po latach - ale pragnie zatrzymać ten moment, zapamiętać go na zawsze. I rzeczywiście, pamięta jeszcze wiele lat później. Czasem, kiedy budzi się w małżeńskim łóżku, a ciszę przerywa tylko oddech śpiącego męża i pochrapywanie synka, w półmroku świtu jak powidok za zaciśniętymi powiekami miga jej obraz Daniela śpiącego na materacu w tamtym ciemnym pokoju, gdzie woda z rury centralnego ogrzewania kapiała jednostajnie na podłogę.

Teresa ubiera się, zbiera swoje rzeczy: torebkę, papierosy, zegarek. Daniel budzi się i rzuca jej zdziwione spojrzenie krótkowidza, wkłada okulary i odzyskuje ostrość widzenia. Wygląda, jakby dopiero teraz ją rozpoznawał. Rzucają sobie krótkie zażenowane „cześć” i Teresa znika. Idzie zaśnieżoną ulicą do pętli autobusowej. Jest siódma rano, niedziela. Pięćset dwanaście odjeżdża prawie puste w kierunku centrum.

W domu Łukasz - twarz poszarzała i zmięta po nieprzespanej nocy, jednodniowy zarost. Teresa przygląda

mu się w jaskrawym świetle poranka i bardzo wyraźnie widzi wszystkie jego niedoskonałości, nie jest już w stanie ich świadomie ignorować. Tym bardziej że słyszy wymówki, nieuzasadnione i złośliwe. Wyprasza go z domu, kładzie się spać i śpi do popołudnia.

Niedługo po tym Teresa pierwszy raz dostała od Łukasza w twarz. Nie zaskoczyło jej to. Była przekonana, że to jedyny sposób na wyrażenie swojej bezradności przez upokorzonego mężczyznę. Wręcz pochlebiało jej, że komuś na niej zależy na tyle, żeby ją uderzyć.

Siedziała w pokoju, wyglądając przez wysokie łukowe okno na ośnieżoną ulicę i pisząc w grubym zeszytce w kratkę. Uwielbiała takie zeszyty. Dawały jej poczucie trwałości, solidności i nadzieję na zapisanie więcej niż kilku kartek. Pisała...

Próbowała pochwycić swoje uczucia i myśli. Nie nazywała tego pamiętnikiem, nie chciała też nazywać poezją. Po prostu pisała. A na środkowych kartkach, łatwych do wyrwania w razie potrzeby, rysowała zawikłane sploty spiralnych linii, fantazyjne kwiaty i twarze. Twarz, która wyszła spod czarnego pisaka, miała te prawie niemożliwe do uchwycenia szalone oczy za okularami i charakterystyczny uśmiech. Była twarzą pół mężczyzny, pół demona, mimo to zachowała podobieństwo do Daniela. Teresa nikomu nie pozwalała otwierać tego zeszytu, choć możliwe, że jej matka do niego zaglądała, robiąc porządki na biurku.

Łukasz przyszedł bez zapowiedzi, jak to miał w zwyczaju. Stał bezgłośnie za jej plecami i zajrzał przez ramię. Nie zdawała sobie w ogóle sprawy z jego obecności, dopóki nie wybuchnął:

- Kto to jest? To o nim marzysz, gapiąc się w okno? Kto to jest? Jeden z tych twoich jajogłowych kolegów z roku? Piszesz do niego listy po angielsku, żebyś nie zrozumiał?

Szarpnął ją za ramię i odwrócił do siebie. Bała się, ale jednocześnie po raz pierwszy zauważyła w tym prostackim, niezbyt rozgarniętym mężczyźnie prawdziwy ogień, autentyczną agresję. Dlatego kiedy ją uderzył, zamiast rozptakać się, wykrzywiła się z wściekłością, złapała z biurka książkę w twardej oprawie - antologię wierszy Emily Dickinson, jak się później zorientowała - i tomem sentymentalnej poezji z całej siły uderzyła go w kość policzkową tuż pod oknem.

Po tej wymianie ciosów jakby uszło z niego powietrze, opuścił bezradnie ręce, a w jego oczach zauważyła podejrzaną wilgoć. Straciła dla niego resztkę szacunku.

- Gdyby on był na twoim miejscu - spokojnie wskazała na naszkicowany w zeszytce portret - toby mnie zabił za zdradę. A ty nawet tego nie potrafisz.

Wyszła z pokoju i z mieszkania, zostawiając go z jego idiotycznymi łzami i sińcem pod oknem.

Tamta zima miała być przełomowa, ale Teresa zapamiętała ją jako ciągnące się w nieskończoność pasmo złości, upokorzeń i żalu. Łukasz - jej pierwszy chłopak, kiedyś oaza spokoju i obrońca - w świecie bez strachu odstąpił swoje prawdziwe oblicze, nudne i przewidywalne do bólu. Od zawsze wiedziała, że nie był nikim nadzwyczajnym. Skończył zawodówkę, próbował skończyć liceum wieczorowe, lecz nie starczało mu chęci na czytanie lektur i odrabianie prac. Był dobry i spokojny - do czasu.

Teraz po prostu śmiertelnie ją nudził. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że nigdy nie spełni jej oczekiwań, nie zapewni żadnych doznań wykraczających poza codzienną rutynę. Nawet w łóżku to, co kiedyś uznawała za odkrywcze i nowe, stało się oklepane do bólu. Zawsze to samo, każdej wspólnej nocy. Matka nie stawiała jej żadnych ograniczeń, sama odnowiła znajomość z narzeczoną z czasów studenckich. Skoro Janusz prawie każdą noc spędzał w ich domu, to i chłopak Teresy mógł u niej nocować. Zaczynała się czuć jak stara mężatka.

Z tego wszystkiego brutalnie wyrwał ją epizod z Danielem. Przez chwilę wmawiała sobie nawet, że jest zakochana. Wydzwaniła do niego do domu, pisała listy. Żadnej odpowiedzi. Ośmieszała się, chociaż doskonale wiedziała, że nie ma najmniejszej szansy na powodzenie. Przed zaśnięciem, niby to przypadkiem, szeptała jego imię, rysowała coraz bardziej odległe od rzeczywistości podobizny jego twarzy, znajdowała dziesiątki pretekstów, żeby odwiedzić dawnych znajomych mieszkających w pobliżu, za pieniądze z korepetycji kupiła sobie skórzaną ramoneskę, identyczną jak jego, a potem oddała bratu, bo wyglądała w niej głupio.

Łukasz na zmianę płakał, robił jej wymówki i urządzał sceny zazdrości, a ona prowokowała go do kolejnych awantur, ciosów, czasem do płaczu. Na sylwestra poszła bez niego, za to z koleżanką z roku. Trafili na imprezę w niewykończonym willi pod Wawrem. Towarzystwo bawiło się wśród nieotynkowanych ścian i drewnianych stempli podpierających stropy. Przesiedzieli pół nocy pod ścianą zawiniętą w swetry, tak było zimno. Piły z butelki przyniesioną wódkę. Przysiadł się do nich jakiś chłopak. Teresa zaciągnęła go do piwnicy i tam się całowali. Zadała, żeby zostawił jej ślady pocałunków na szyi i ramionach, a potem, nawet nie spytawszy go o imię, uciekła, wyciągnęła koleżankę z imprezy i pojechały do domu razem dopić tę wódkę. Znowu scena, awantura, płacz. Zadzwoił ojciec Teresy.

- Obojętne, co czujesz, nie powinnaś tego chłopaka tak traktować - powiedział.

Ojciec nie lubił Łukasza od samego początku, uważał go za prymitywa. Teresa coraz bardziej się z nim zgadzała.

- Co mam zrobić, tato, wyjść za męża, żeby go nie skrzywdzić? - zapytała.

- A broń cię Boże! - zatchnął się ojciec. - Zerwij z nim, szybko i kulturalnie. Nie dręcz go i nie zdradzaj. To, że wam się nie układa, to jedno, ale on ma uczucia i nie wolno go ranić dla zabawy.

Chciała zerwać szybko i kulturalnie, ale wszelkie próby napotykały bierny opór Łukasza. Nie reagował na nalegania, nie oddawał jej książek. Wyrzucony z mieszkania, pojawiał się następnego dnia z nadzieją w oczach.

- Ja cię nadal Kocham - powtarzał. - Nawet jeśli spałaś z tym Danielem, nawet jeśli spałaś z całą swoją klasą z dawnej szkoły! Nie chcę odchodzić, zostań ze mną. Ustatkujemy się, pobierzemy, będziemy mieli dzieci...

- Twoje dzieci? - prychnęła ze złością. - Głupie po tobie czy brzydkie po tobie?

Nie chciała mieć dzieci, żadnych dzieci, a tym bardziej dzieci Łukasza. Kiedy spóźniał jej się okres,

wkładała dres i godzinami ćwiczyła na podłodze swojej sypialni - robiła brzuszki, pompki, biegała w miejscu, podnosiła i przesuwała swoją sfatygowaną wersalkę. Kiedy wreszcie czuła skurcze w podbrzuszu i wilgoć, uspokajała się. Raz jeszcze się udało.

Miesiące mijały, zimne i śnieżne. Jakieś wykłady i zajęcia, egzamin ze składni, egzamin z literaturoznawstwa. Pozaliczała je jakoś tak mimochodem... Oblała fonetykę w pierwszym terminie, w drugim też, więc na dwa tygodnie wyłączyła się z życia towarzyskiego i siedła nad książkami. Wreszcie zdała. Na trzy minus. I wtedy, zaraz po tym egzaminie, wybuchła wiosna.

Najpierw objawiła się na Krakowskim Przedmieściu w postaci starowinki sprzedającej żonkile. Był koniec marca, a Teresa wędrowała jedną ze swoich ścieżek. W wieku dwudziestu lat miała już zupełnie prywatną mapę Warszawy, na której zaznaczała własne ścieżki, trasy, kryjówki na godziny nudnych zajęć, sklepy z tanimi indyjskimi ubraniami, kawiarnie - relikty komunizmu obite od wewnątrz ciemną boazerią, gdzie można było o ósmej rano wypić za grosze kawę z fusami i posłuchać rozmów emerytowanych inżynierów schylonych nad kieliszkami z winiakiem. Tym razem szła z biblioteki wydziałowej, wtedy jeszcze schowanej na dziedzińcu uniwersytetu za wydziałem geografii, do kawiarni Poziomka, gdzie umówiła się z przyjaciółką. Na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej uderzył ją zapomniany widok - starowinka sprzedająca żonkile ze słoika. Żonkile żółte jak słońce. I wtedy zobaczyła przezroczysty błękit nieba i kwietniową jaskrawość i „usłyszała” nagłą ciszę, w której przejmująco rozległ się dźwięk saksofonu. Ktoś stał pod murem i grał, a muzyka wznosiła się wysoko w niebo, nieograniczona chmurami, pełna wiosennej żywotności. Przejechał autobus, za nim samochody. Melodia roztopiła się w hałasie, ale wiosna pozostała.

Teresa kupiła żonkila i weszła do Poziomki. I tam poznała swojego przyszłego męża.

Krzysiek siedział przy stoliku z Anką, przyjaciółką Teresy. Przedstawili się sobie, odnotowała jego obecność, ale nic ponadto. Długowłosey, brodaty chłopak w drucianych okularach i śmiesznej koszulce. Student ekonomii. „Dość zabawny”, skonstatowała. Porozmawiali chwilę w trójkę, po czym on poszedł na zajęcia. Jeżeli miała intuicję, to intuicja w tamtej chwili spała i nie dała żadnego sygnału, że to ten chłopak ma towarzyszyć Teresie do końca życia.

## TERAZ

Krzysztof jak zwykle przespał noc na kanapie. Już nawet nie chciało mu się wstawać w środku nocy i iść do małżeńskiego łóżka. Szansę na seks oceniał na zero - chyba że w weekend, po kilku piwach. W dzień powszedni najbardziej prawdopodobne było, że zastanie Teresę śpiącą z książką w ręku, ewentualnie siedzącą przy komputerze. Nie był zazdrosny o jej wirtualne znajomości, w ogóle rzadko bywał zazdrosny. Wiedział, że pisywała na jakichś forach dla matek, prowadziła blog w rodzaju „o tym, co moje dzieci dziś zrobiły”. Uznał, że z braku czasu na prawdziwych znajomych nawiązuje wirtualne kontakty.

Żałował tylko, że od miesięcy coraz częściej wybierała towarzystwo internetowych „e-maili” zamiast jego towarzystwa, że zniknęła bezpowrotnie tamta dziewczyna, którą poznał w jakimś zapluty barze

kawowym na Starówce - dziewczyna, która chodziła w przedziwnej skórzanej kurtce i wkładała jego koszulę na gołe ciało, a potem powolutku rozpinęła guziki, aż po raz kolejny postanawiał zostać u niej na noc. Tamta dziewczyna nie brała do łóżka książki i nie siedziała do trzeciej w nocy przed komputerem.

Zajrzał po cichu do sypialni. Teresa spała. Blond włosy na poduszce, obok rozłożona książka Cień wiatru. Znał ten tytuł tylko z recenzji w „Przekroju”. Po dwunastu godzinach czytania umów i bilansów nie miał już ochoty na słowo pisane, chyba że był to ilustrowany tygodnik. Uchylił drzwi szafy, zaskrzypiały jak zawsze. Czekał z niepokojem na jej zniecierpliwione „ciszej!”, ale spała głęboko. Jaś poruszył się w łóżeczku, coś zamruczał i zwinął się w kłębek pod kołderką. Krzysztof pogłaskał go po króciutkich, niedawno obciętych blond włoskach i wymknął się z pokoju.

Teresa odczekała, aż Krzysiek obudzi i ubierze Marysię, i razem wyjdą do przedszkola. Dopiero wtedy otworzyła oczy i wstała. Zaczynała się jej ulubiona pora dnia - rano. Jaś był śpiochem, więc jeśli wstała o ósmej, miała przynajmniej godzinę dla siebie. Zaparzyła kawę i otworzyła drzwi balkonowe. Powiało mrozem. Wczorajszy śnieg trzymał się jeszcze po nocy, ale przezroczyste niebo nie zapowiadało kolejnych opadów. Zapaliła papierosa. Zawsze była ciekawa, ile par oczu z bloku naprzeciwko obserwuje ją rano. Wyobrażała sobie szept: „Znowu ta z parteru pali w szlafroku! Fleja, wstydu nie ma!”

Pokazała język wyobrażonej sąsiadce z naprzeciwka, po czym zamknęła okno i rozsiała się wygodnie przy stole z wczorajszą „Wyborczą”.

Zazwyczaj nie czytywała działu „Gospodarka”, ale tym razem zerknęła. Skusił ją jakiś tytuł. I oczywiście natychmiast jej wzrok wyłowił z gęsto zadrukowanej strony fragment zdania: „...jak twierdzi radca prawny Marcin Kosecki z kancelarii Kosecki i...”.

A więc radca prawny... Nie sądziła, że nim zostanie. Miał być buntownikiem, zmieniać świat. Studiował prawo, ale zawsze wyobrażała go sobie raczej jak bohatera Zaklinacza deszczu - dzielnego adwokata broniącego ubogich przed korporacją, z mieczem na wiatraki, z motyką na słońce. Radca prawny kojarzył jej się z dębowym biurkiem i garniturem z kamizelką, z dobrym czarnym samochodem. Marcin na mikroskopijnym zdjęciu obok artykułu miał na sobie starannie przez kogoś dobrane garnitur i krawat. Przez żonę? „To śmieszne - skarciła samą siebie - nie możesz być zazdrosna po dziesięciu latach; przecież musiał w końcu się ożenić, zmienić dzinsy na garnitur”. A kim była ona, żeby oceniać? Żoną dyrektora finansowego jeżdżącego służbową toyotą! Meble z Ikei, dwoje dzieci, zakupy w Arkadii, co wtorek Ukrainka do sprzątnięcia... Mimo to czuła coś w rodzaju żalu, rozczarowania, zawodu... I wczorajsze rozdygotanie wróciło - najpierw spotkanie w tramwaju, dziś artykuł w gazecie. Wyglądało na to, że ich drogi się schodzą jak kiedyś, że drobne znaki poprzedzają jakieś naprawdę ważne zdarzenie. Teresa wierzyła w zbiegi okoliczności i intuicję, w znaki i niby-przypadkowe zdarzenia, które gdy się nad nimi zastanowić, ujawniały niepokojące zbieżności.

Zabrała na wpół wystygłą kawę do komputera i inaczej niż zwykle włączyła najpierw przeglądarkę. Wpisała w Google'a znajome nazwisko i w pierwszym linku znalazła to, czego szukała.

Kancelaria Prawna „Kosecki i Wspólnicy”. Warszawa... Dobry żoliborski adres przy alei Wojska Polskiego. Kilka numerów telefonów, faks, e-mail. Znała te okolice. Szeregowe domki jak z piernika, atmosfera

Londynu. Słowa terraced houses wypłynęły z wewnętrznego słownika, czasem łapała się na myśleniu po angielsku. Zieleń, ciche uliczki, niewielka brązowa willa z kratami w oknach. Dzielnica coniedzielnych odwiedzin u wujka i ciotki i zabaw z kuzynami. Lata osiemdziesiąte. W domku boazerie, regały wypchane po brzegi książkami wujka. W takim domu, w jednym z tych domków, może w tym, który jej kuzynka sprzedała po śmierci wujka, teraz pracuje Marcin. Kiedyś jej Marcin. A teraz właściwie czyj?

Otworzyła folder poczty elektronicznej. Brak nowych wiadomości. Mogła się tego spodziewać. Jeśli z czymś jej się kojarzył, to z oczekiwaniem - dawniej na dzwonek telefonu, teraz na wiadomość.

Jaś obudził się i z radosnym „mamo, mamo!” wybrał się na poszukiwanie mamy, jedzenia i rozrywki. Wyłączyła komputer.

Kolejny wieczór. Tym razem śnieg zamienił się w deszcz - marznącą dokuczliwą mżawkę. Teresa na przekór pogodzie wybrała się do fryzjera. Czuła, że musi być gotowa na ewentualne spotkanie. Zaraz po zajęciach poszła Rakowiecką w kierunku Puławskiej. Jean Louis David, hamburger wśród fryzjerów: szybko, tanio, standardowo. W sam raz dla kogoś, kto nie lubi zabiegów pielęgnacyjnych, kogoś, kto cierpi męki u fryzjera i kosmetyczki.

Teresa sama nie wie, czego nie lubi bardziej - konieczności wpatrywania się przez kilkadziesiąt minut w lustro, w swoje obnażone odbicie, które staje się coraz brzydsze i bardziej obce w miarę przyglądania się, czy dotyku obcych, niespodziewanie delikatnych dłoni na skórze głowy. Dotyk przywołuje myśli nie na miejscu, które Teresa odrzuca ze złością. „Na pewno jest gejem - myśli. - Wszyscy fryzjerzy to geje”.

W każdym razie na pewno gejem był pan Krzysiek z salonu na Wilczej, gdzie pewnego pamiętnego lata obcięła długie blond włosy i ufarbowała je na wiśniowo. Był gejem w sposób oczywisty, na dziesięć lat przed paradami równości, przed ślubami gejowskimi w Hiszpanii. Był bezpieczny, bo absolutnie nią niezainteresowany. Wyśmiewał jej wybór koloru, ale nie wymagał dostosowania do swojego gustu. Gej - męzczyzna idealny.

Teresa w trakcie rozczesywania włosów - które są cienkie, ze schodzącymi blond pasemkami i strasznie się płaczą - z nudów podpatruje w lustrze pozostałe klientki. Bawi ją obserwowanie metamorfozy: kobiety, które wchodzą do salonu ubrane, umalowane, pewne siebie, po chwili z mokrymi włosami zawiniętymi w ręcznik stają się obnażone, anonimowe, wyprane z atrybutów kobiecości. Mają blade twarze, a światło jarzeniówek bezlitośnie odsłania każdy defekt skóry. Ich oczy wydają się zmęczone. Owal twarzy okazuje się nie tak doskonały. Za kilka minut wyjdą z salonu na nowo kobiece, udekorowane nową fryzurą odwracającą uwagę od reszty. Ale na razie są nagie. „Odważne”, myśli Teresa. Ileż trzeba takiej zwykłej codziennej odwagi, żeby zdjąć maskę i oddać się w ręce specjalisty, mężczyzny, który profesjonalnie ocenia i poprawia, strzyże, cieniuje, modeluje. „Może dlatego fryzjerzy powinni być gejami - myśli - bo nigdy już nie spojrzą na kobiece włosy bez tego chłodnego zainteresowania. A odżywkę pani stosuje? Ile obcinamy? Lakier czy pianka?”

Jedna z klientek, odwrócona do tej pory tyłem, wstaje. Jej długie, świeżo wymodelowane włosy mają kolor marchwi i Teresa zdaje sobie sprawę, że jest to kolor naturalny. Żadna farba nie pasuje tak idealnie do porcelanowo białej cery nieznajomej, która jakby z przekory umalowała usta na odcień wozu

strażackiego jaskrawą czerwienią tak bardzo nieodpowiednią do włosów, że aż zabawną. Kobieta jest niezbyt wysoka, ma wyraźnie za grube łydki i za szerokie biodra, co dodatkowo podkreślają niefortunnie dobrane kozaczki do pół łydki bez obcasów i trochę zbyt luźna czarna sukienka o trapezowym kroju. Ale w jakiś sposób jej pogrubiający strój ma klasę. Może sprawia to dobry materiał sukienki? Może buty warte na oko tysiąc złotych? Nieznajoma promieniuje poczuciem własnej wartości i zamożnością. Wygląda jak wyjęta z jakiegoś filmu o awangardowych nowojorczykach - piękna, źle ubrana, bogata intelektualistka.

Kobieta uśmiecha się pytająco do Teresy, która nagle uświadamia sobie, że od dobrej minuty się w nią wpatruje. Odwraca więc wzrok w popłochu zakłopotana własną bezczelnością. Zdaje sobie sprawę, że dla nieznajomej jest tylko nagą anonimową twarzą w otoczce fartucha i mokrych kosmyków. Ona jest manekinem w trakcie obróbki, a nieznajoma - już po obróbce, olśniewająca - idzie na spotkanie swojego świata, który jest pewnie tak odległy od świata Teresy jak Nowy Jork od Warszawy. Teresa z zakłopotaniem zauważa, że w salonie tylko ona ma na sobie sztruksy i ręcznie robiony gruby sweter. Pozostałe klientki ubrane są w stylu oficjalnym, pewnie dlatego że wszystkie pracują w biurach naprzeciwko. Tak czy owak, Teresa czuje się rozpaczliwie niedopasowana, ma ochotę uciec z salonu. Żeby zająć czymś myśli, zaczyna obserwować w lustrze ładną blondynkę siedzącą za jej plecami. Nawet się nie domyśla, że właśnie po raz drugi w życiu widzi Paulę.

Paula wybrała się do fryzjera odświeżyć pasemka. Chodzi tam co miesiąc, zawsze do pani Iwony. Lubi jej styl strzyżenia i niezobowiązujące pogaduszki o mężach, dzieciach, pracy. Paula jeszcze nie wie, że jest w ciąży, więc nie zastanawia się, czy może farbować włosy, czy to szkodzi dziecku, czy powinna na parę miesięcy zrezygnować z poprawiania urody dla dobra nowego życia. Ono wczepiło się mocno w wyściółkę jamy macicy i rozmnaża się

jak oszalałe, pączkuje rączkami, nóżkami, formuje się i przekształca jak na przyspieszonym filmie - przezroczyste, żarłoczne, podobne do kijanki. Na razie Paula jest tylko śpiącą, ale wini za to listopad, niskie ciśnienie i nawał pracy w biurze.

Paula z zadowoleniem ogląda w lustrze swoją twarz, szczególnie duże jasnoblękitne oczy jeszcze bardziej powiększone okularami. Gdyby ktoś był złośliwy, mógłby je nazwać wyłupiastymi. Jednak Paula nie słyszy złośliwych uwag, puszcza je mimo uszu, nie zadaje się z ludźmi, którzy uprzykrzają innym życie. Patrzy w lustro, odpowiada od niechcienia na pytania pani Iwonki. Tak, podcinamy... Nie, za ciemne, a mąż woli jasne, jaśniejszy brąz... Nie, ten będzie nienaturalny... Tak, dobrze... Nieźle, sporo pracy... Staramy się, ale bez pośpiechu... Pani musi mieć pełne ręce roboty z dwójką... Tak, już czas. Im człowiek starszy, tym trudniej się zdecydować. Chyba teraz jest idealny moment...

Sprawne długie palce fryzjerki oddzielają cieniutkie pasemka włosów i nakładają ciemną farbę. Maźnięcie, paseczek folii aluminiowej, zawinąć, następne pasemko - w rytmie raz, dwa, trzy. Paula odpręża się i poddaje rozmyślaniom. Przypomina sobie, jak przyjechała do Warszawy na studia siedem lat temu. Rzuciła studium ekonomiczne w Białymstoku i wyposażona w pieniądze ze spadku po dziadkach i dobre chęci rodziców, przyjechała do Warszawy, żeby zamieszkać u ledwo pamiętanej ciotki. W tamtych czasach, w 1998 roku, fryzjer byłby dla niej niewyobrażalnym luksusem, nosiła wtedy



warkocz sięgający pasa, a włosy podcinała jej kuzynka po szkole fryzjerskiej, za każdym razem wzdychając: „Oj, Paulina, szkoda tych włosów ruszać, takie piękne. Powinnaś zapuścić na konkurs najdłuższych włosów. Szkoda każdego centymetra! Żebyś ty wiedziała, jakie czupiradła ja strzygę... Cienkie pióra jak u niemowlaka, a wszystkie zapuszczają, tylko ty ciągle podcinasz i podcinasz!”.

Warkocz budził zrozumiałe zdumienie na uczelni wśród dziewczyn, dla których farba i fryzjer były oczywistością. Nawet na pierwszym roku Paula odcinała się jako prowincjuszka. Poważna, skupiona na nauce, z warkoczem i w okularach. Średnia pięć, stypendium naukowe, codziennie wieczorem punktualnie o dwudziestej pierwszej powrót do pokoiku u ciotki. Za zaoszczędzone pieniądze kupowała ostrożne, klasyczne ubrania: dzianinowe spódnice, dopasowane swetry, porządne dżinsy, bluzki koszulowe o prostym kroju, praktyczne pantofle na prawie płaskim obcasie. Marcin powiedział jej jakiś czas po tym, jak się poznali, że wyglądała jak prosta, szlachetna róża wśród kolorowych storczyków. Tym go urzekła - całkowitym brakiem ekstrawagancji, okularami i warkoczem, skupioną dzieciennie miną pilnej uczennicy - kiedy przychodziła na spotkania Ruchu Patriotów zachęcona przez koleżankę z roku. Właściwie na pierwsze spotkanie poszła dla towarzystwa przekonana, że będzie nudny odczyt o historii i dyskusja, nic ponadto. Była tylko dyskusja, studenci na równych prawach z asystentami i doktorami spierali się o wartości, zakładali stowarzyszenie. Słowa wysmiewane przez większość rówieśników - honor, ojczyzna - nabierały ciężaru i wartości w połączeniu z soczystymi przekleństwami. Paula nie próbowała nawet włączyć się do dyskusji. Obserwowała i słuchała. Zastanawiała się, czy przy tych ludziach, zapaleńcach zmieniających świat, ona sama jest niczym, czy potrafi choć częściowo dorównać im intelektualnie. Notowała pojęcia do sprawdzenia w domu ich definicji. Wreszcie na koniec zapisała się na kolejne spotkanie, a prowadzący - wysoki, chudy chłopak z burzą czarnych włosów - wręczył jej listę do zbierania podpisów za ustawą przeciwko przemocy w mediach. Obiecała zebrać przynajmniej pięćdziesiąt i wyszła oszołomiona - nie wiedziała, czy bardziej atmosferą, czy przypadkowym zetknięciem się jej palców z palcami tego chłopaka od podpisów.

Później się dowiedziała, że kończył prawo, był na piątym roku i miał się bronić na wiosnę. Na następnym zebraniu zdobyła się na odwagę, żeby coś powiedzieć, a dwa tygodnie później, kiedy wręczyła mu listę z setką podpisów, przedstawili się sobie. I tak poznała Marcina, którego kilka lat później w upalną sierpniową sobotę poślubiła w kościele Świętego Kazimierza przy Chełmskiej.

Paula uśmiecha się na myśl o tamtych studenckich czasach, o tym, jak nieśmiała i prowincjonalna musiała wydawać się wszystkim dookoła, jak pracowicie szlifowała wymowę, żeby pozbyć się wschodniego zaśpiewu, jak wieczorami z ciotką oglądały telewizję i jadły skromną kolację. Paula poruszała się wtedy po trasie Aleje Niepodległości - plac Konstytucji - Biblioteka Uniwersytecka - najpierw stara, potem nowa. Rzadko odwiedzała teatr, nie miała na kawiarnię, więc piła kawę nad kserowkami w bufecie uczelni. Dziewczyny z pasemkami, modnymi fryzurami, makijażem budziły w niej rodzaj podziwu, nie zazdrość. Zastanawiała się czasem, jak by to było stać się kimś takim - warszawianką z urodzenia, z wrodzoną warszawską pewnością siebie, znającą ulice, miejsca i kąty stolicy, mającą tu setki znajomych na uczelniach i w modnych klubach, swoje fryzjerki i swoje sklepiki z używanymi ciuchami, z jakich rodowite warszawianki wynosiły przedziwne ubrania w niemodnych kolorach, które potem łączyły w taki sposób, że przechodnie oglądali się za nimi z podziwem w oczach.

Na początku podejrzewała, że i Marcin będzie wolał taką pawią dziewczynę, kolorową i pewną siebie. Potem doszła do wniosku, że szukał właśnie jej. Ale i tak pozostała w niej obawa, że pewnego razu przegra w konfrontacji z bardziej ekstrawagancką, przebojową rówieśnicą. Taką jak ta niesamowita ruda z czerwoną szminką i grubymi nogami, która właśnie wyszła z salonu, promieniując pewnością siebie.

Paula już nie pamiętała, kiedy właściwie przeszła od warkocza do półdługich włosów z pasemkami, od okularów do szkieł kontaktowych, od dżinsów do dzianinowych garsonek. Zmiany były delikatne, stopniowe, aż wreszcie, niedługo przed obroną i ślubem z dziewczyną z warkoczem wykluła się kobieta - spokojna, łagodna, o pogodnym usposobieniu, ale dojrzała i świadoma swojej kobiecości. Sukces Pauli potwierdzają nowe nazwisko, wizytówka z napisem „junior analyst”, codzienna kawa na trzecim piętrze biurowca przy Puławskiej, ekran komputera migający rzędami cyfr i wykresów i kuchnia pachnąca świeżą bazylią z doniczki na parapecie i suszonymi pomidorami.

Paula, spełniona i na swoim miejscu, zostaje wyrwana z transu poleceniem fryzjerki:

- Proszę sobie teraz tu usiąść i poczekać dwadzieścia minut.

Siada i przygląda się innym klientkom. Ta na fotelu obok, która zażyczyła sobie przesadnie krótką grzywkę i absolutnie proste podcinanie, ma w twarzy, w liniach wokół lekko zaczerwienionych oczu coś znajomego. Jako jedyna nie nosi kostiumu ani sukienki. Ma, co Paula odnotowuje z lekką zazdrością, sztruksy w kolorze czekolady i jaskrawoturkusowy sweter z golfem. Ma też torbę typu worek wypchaną książkami i segregatorem z nazwą szkoły językowej. Jest na pewno po trzydziestce, ale niedbały strój odejmuje jej lat. Paula nie zastanawia się długo, skąd może znać tę kobietę, bo ta podnosi się już i wstaje. Szuka w swojej przepastnej torbie portfela, wygrzebuje z niego pomięte sto złotych, wkłada jaskrawozieloną kurtkę, owija się kilka razy przydługim szalikiem i wychodzi.

Paula zdaje sobie nagle sprawę z ostrego zapachu farby do włosów i z trudem powstrzymuje nagły atak mdłości. Do końca zabiegu oddycha powoli i płytko, powstrzymując fale nudności. Zaczyna oddychać głębiej dopiero po wyjściu na ulicę. Czuje zapach spalin mocno jak nigdy przedtem. Zrzuca winę na sałatkę zjedzoną w południe w bufecie i wraca do domu.

## DAWNIEJ

Wiosna przyszła i została na dłużej. Teresa kupowała żonkile, potem tulipany, wałęsała się w słońcu po Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu, od baru Poziomka do Cafe Bajka, od kawy do kawy, z przerwami na piwo w Harendzie. Gdzieś w tle jak cień wciąż czaił się Łukasz. Uznała go za fatum, wieczną kulę u nogi. Już nawet zaczęła myśleć, że spędzi u jego boku resztę życia. Włosy jej odrosły, kolor wiśni zmył się i prawie nie odróżniał od pozostałych ciemnoblonde. Odruch buntu pojawił się raz, a potem zniknął. I z powrotem nadawała się na żonę. Pan kierownik zmiany w magazynie i jego żona, magister filologii angielskiej - matka niepracująca, zajmująca się dziećmi. Koledzy zastanawiali się, co trzyma ich razem, podczas gdy ona szykowałaby im kanapki do brydża i umierała z nudów na filmach akcji wypożyczanych co sobotę. Wzięła go do kina na Dzieciątko z Macon. Zasnęła.

Zabrała go do przyjaciół. Anka i Sebastian od roku mieszkali razem, sprawiali wrażenie szczęśliwego małżeństwa, mimo że nie wzięli ślubu. Kuchnia w drewnie, kanapa w salonie, wielki puchaty kocur Kropek. Przyszło więcej osób. Siedzieli w salonie, włączyli telewizję. Rozmowa zesłała na marzenia i plany życiowe.

- Chciałabym kiedyś pracować w redakcji - zaczęła Anka - najlepiej w jakimś czasopiśmie literackim albo w magazynie filmowym. Może mogłabym pisać o sztuce? Wydaje mi się, że miałabym coś do powiedzenia.

- Ty to nawet wyglądasz jak krytyk filmowy - roześmiał się Sebastian, spoglądając na nią wzrokiem zakochanego faceta. Miał rację. Anka z nieodłącznym beretem na czarnych obciętych króciutko włosach, w okularach w czarnej oprawce wyglądała artystycznie i awangardowe. Przywodziła na myśl paryskie strychy i duńskie filmy.

Sebastian chciał pisać programy i strony internetowe. Nie wiedzieli do końca, czym to się je. Brzmiało bardzo technicznie. Próbował im tłumaczyć, ale nie do końca rozumieli. Czytali o Internecie, ale kojarzyło im się to wtedy bardziej z fantastyką naukową niż z czymś, co będzie dostępne dla każdego. Beata, znajoma Anki z roku, już pracowała na pół etatu jako asystentka prezesa w niedużej firmie. Teresa nie mogła się pochwalić pracą - chyba żeby tych kilka rozwyrzonych dzieciaków, którym dawała korepetycje, uznać za prawdziwą pracę. Miała na koncie jeszcze pracę wakacyjną w wypożyczalni samochodów, ale to też nie było coś, o czym można by opowiadać. Usiadła na podłodze, oparła się wygodnie o fotel, pociągnęła wino z kieliszka i powiedziała:

- Chciałabym tłumaczyć książki. Roześmiał się tylko Łukasz.

- Też mi praca! Wy sobie wyobrażacie, że praca to siedzenie przed komputerem i pisanie.

- A ty jaką chciałbyś pracę? - zapytała jadowicie Anka, która za Łukaszem nigdy nie przepadała.

- Ja już mam - Łukasz pozwolił sobie na zadowolony z siebie uśmiešek. - Mam prawko kategorii C, mam prawko na rumuna. Zawsze dostanę robotę i Teresa nie będzie musiała tłumaczyć żadnych durnych książek, w domu będzie siedziała z dziećmi.

- Nie z twoimi, to na pewno - odcięła się Teresa, ale Anka nie dawała za wygraną. Jak zwykle kiedy wypija, robiła się lekko natarczywa i złośliwa.

- Opowiedz nam, Łukasz, co to jest rumun, bo ja pierwsze słyszę - poprosiła podejrzanie łagodnym tonem.

Teresa już z tonu jej głosu wywnioskowała, co się szykuje, więc usiadła wygodnie i czekała.

Łukasz oczywiście dał się podpuścić i długie minuty opowiadał o tym, jak robił prawo jazdy na spychacz. Zakończył efektownym opisem dachowania.

- Bo wiecie, jak taki spychacz dachuje, to, kurwa, nie ma szans. Na człowieka lecą dwie tony stali! - zakończył dramatycznie.

Teresa miała cień nadziei, że powstrzyma się od śmiechu, dopóki nie zobaczyła min Anki i Beaty. Pierwszej drżały usta, druga udawała kaszel. Nie udało się.

- Dachuje, mówisz? - zawyła Anka. - No to musi być, kurwa, niezłe. Grzejesz spychaczem czterdziestką po autostradzie i nagle dachowanie! I nie masz szans, kurwa, człowieku!

Nie mogły przestać. Śmiały się histerycznie do łez, do utraty tchu. Jak kiedyś w szkole na lekcji, kiedy byle głupia mina mogła wywołać atak tłumionego śmiechu do bólu brzucha, do czkawki. Kiedy otarty Łzy, Łukasza już nie było. Podobno wychodząc, płakał. Nie z radości.

- Mogłyście oszczędzić gościa, taki był podjarany tym dachowaniem, a wy co? Marzenie życia mu podeptałyście! - stwierdził Sebastian, co wywołało kolejny atak śmiechu.

Właściwie nadal, po ponad dziesięciu latach, Teresa na słowo „rumun” nie może powstrzymać głupawego uśmiešku. Dopiero wtedy dotarło do niej, co robiła. Przez prawie dwa lata spotykała się z facetem, którego ambicją było jeździć spychaczem i nie dachować! Z facetem, który miał tłuste włosy i nosił džinsy w marmurek. I lubił Gliniarza z Beverly Hills.

To było ich ostatnie wyjście razem. A potem pewnego dnia zadzwoniła do niej Ewa - tamta Ewa, której zwierzała się na imprezie klasowej. Teresa nawet nie pamiętała, że dała jej swój numer telefonu. Ewa zaprosiła ją na spotkanie, na którym miał pojawić się Daniel.

Teresa poszła, bo cały czas krążyła wokół Daniela. Kiedy się spotyka kogoś takiego, kogoś obdarzonego taką siłą przyciągania, wpada się mimowolnie w jego orbitę i krąży wokół jak ćma wokół lampy, jak kometa przyciągana siłą jedyne go potężnego ciała niebieskiego w układzie - gwiazdy, która topi lód zawarty w komecie, pozwala jej zabłysnąć ogonem z pary, a potem spala i rozbija kometa na kawałeczki. Teresa poszła na starą Pragę, do falowca przy Kijowskiej. Było wczesne popołudnie, późna wiosna. Stali mieszkańcy Dworca Wschodniego sępił papierosy od przechodniów. Pod monopolowym na rogu Kijowskiej i Targowej protopłaści dresiarzy pili tanie wino, dziewczyny w jaskrawych strojach z Bazaru Różyckiego wybierały się tramwajem do Śródmieścia. Stara nowa Praga: czternastolatki o zniszczonych twarzach dojrzałych kobiet, dwunastolatki na obcasach, czterdziestolatki bezzębne i zmarnowane, z worami pod przekrwionymi oczami, a w reklamówkach pół bochenka chleba i wino marki Okęcie. Wszystkie przemykały pod murem w drodze na codzienne bicie.

Spotkanie. W większości nieznajomi - Ewa i jej koleżanki, kolega z dawnej klasy, który właśnie świętował powołanie do wojska. O Danielu nikt nie słyszał. Miał być, ale go nie będzie. Wyjechał.

„Francja, Hiszpania, Portugalia... - przemknęło Teresie przez myśl. - Tramwaje w Lizbonie...”

Rozczarowana i smutna postanowiła wracać do domu. Wtedy zupełnie zniemacka, po cichu, drzwi się otworzyły. Stało w nich kilka osób, a Teresa poczuła, że trafił w nią piorun. I spalił. Nie było co zbierać. Gdyby to była kreskówka Warner Bros, ktoś w tym momencie pozamiatałby kupkę popiołu na szufelkę i wysypał do kosza.

Nie wiedziała, co zrobiło na niej takie wrażenie - czy jego wygląd, czy głos, czy to tajemnicze coś, co nazywała chemią.

Przedstawił się jej:

- Marcin Kosecki.

Przywiązywał wagę do swojego nazwiska, zawsze przedstawiał się z nazwiskiem, jak dowiedziała się później. Popatrzyli sobie w oczy ułamek sekundy za długo. Zatańczyli. Pili razem - on z butelki, ona z kieliszka. Zamknęli się w łazience, gdzie w wannie chłodził się szampan. Sami wypili pół butelki. Wyszli na balkon. Nie pocałowali się. Próbowła go objąć, nieśmiało przesunęła palcami po jego gęstych czarnych włosach, po karku. Westchnienie, które usłyszała, powiedziało jej więcej niż słowa. Mimo to nie dotknęli się więcej.

Nad ranem położyli się na materacu na podłodze. Zwróceni twarzami do siebie, ale nie objęci. Nie chciał jej numeru telefonu.

- Jeśli mamy się jeszcze spotkać, to się spotkamy - powiedział.

Zasypiała, patrząc na niego, zastanawiając się leniwie, na wpół przytomna po alkoholu i ze zmęczenia, jak by to było zasypiać razem co wieczór. Wyciągnęła rękę. Chciała tylko dotknąć jego policzka, ust, przesunąć palcami po linii szczęki, poczuć ciepło skóry. Zatrzymał ją.

- Nie. Nie dotykaj. Nie dzisiaj. Jeśli coś ma się stać, to się stanie, nie musi być od razu.

Zasnęła. Rano wymknęła się po cichu. Pierwszym autobusem dojechała do domu. Wzięła prysznic i zabrała się do pakowania. Metodycznie, powoli. Opróżniła półki, regały, szafkę w łazience. Do kartonu powędrowały książki z cyklu „Kane” i „Świat czarownic”, kasety Madonny i Kylie Minogue, paczka prezerwatyw o smaku bananowym, które miały ją zachęcić do miłości francuskiej, a wywoływały odruch wymiotny, maszynka do golenia, płyn Nivea, kilka podkoszulków, które Łukasz trzymał w jej szafie. Zadzwoiła do niego.

- Przyjedź i zabierz swoje rzeczy - powiedziała tylko.

- Poznałaś kogoś? - zapytał.

- Nie twoja sprawa - odparła.

- Czy to ktoś, kogo znam? - drążył dalej. - Ktoś, o kim słyszałem? Ten okularnik z dawnej klasy, tak?

- Okularnik? - zawahała się. - Jaki okularnik? Nie - dodała po chwili. - Nikt, kogo znasz. Po prostu zabierz swoje rzeczy.

Następne miesiące były czekaniem.

TERAZ

Od spotkania w tramwaju minął tydzień i Teresa rozumiała, że przyjdzie jej - jak zwykle - czekać dłużej,

niż się spodziewała. Obiecała sobie, że nie napisze pierwsza. Nie zadzwoni. Nie tym razem. Mimo to wewnętrzne rozdygotanie pozostało i codziennie w czwórcę rozglądała się nerwowo dookoła. Listopad mijał powoli. Najgorszy miesiąc roku. Miesiąc deszczu, śniegu z deszczem i ciemności o czwartej po południu. Uczniowie coraz bardziej ospali. Nawet sekretarki - zwykle pełne entuzjazmu - podczas zajęć siedziały zatopione w myślach..

Wiadomość przyszła po dwóch tygodniach. Krótka, jak dawniej. „Spotkajmy się, ciekaw jestem, co u Ciebie, daj znać kiedy i gdzie, M." Powodowana jakąś dziwną przebiegłością, przekierowała od razu wiadomość z jego adresu do folderu „śmieci", gdzie przenosiła oferty banków i pozostały spam. Odpisała. Umówili się na placu Bankowym po jej czwartkowych zajęciach, o osiemnastej.

Przygotowała się starannie: umalowała, choć wiedziała, że zapłaci za to zapaleniem spojówek, naszykowała zdjęcia dzieci do pokazania. W drodze na lekcje paliła papierosa za papierosem, na zajęciach zupełnie nie mogła się skupić. Uczeń jak zawsze robił błędy gramatyczne, mylił czasy i wyrażenia. Usiłowała słuchać uważnie, ale nie dawała rady. Na koniec tylko odebrała jego podpis na karcie i niemal wybiegła z sali. Zmusiła się do statecznego kroku. Jeszcze toaleta - trzeba poprawić szminkę. Zeszła na dół i stanęła w podcieniach Błękitnego Wieżowca pod sklepem z telefonami komórkowymi. Postanowiła całkowicie skupić się na modelach telefonów. Marki, ceny, wyświetlacze i obudowy. Marcin pojawił się, kiedy znała już na pamięć cały asortyment. Znajoma, wysoka, lekko przygarbiona sylwetka, ręce w kieszeniach czarnej budrysówki. Czapka typu kaszkiet, podobno najmodniejsza w tym sezonie. Pocałował ją w policzek na powitanie. W jednej chwili powróciły wspomnienia przywołane miękkością skóry i znajomym zapachem wody po goleniu. Ogarnęło ją uczucie podobne do tego, które ma się po powrocie do domu po długiej nieobecności. Tu jest twoje miejsce - zdawało się mówić - wróciłaś tam, gdzie zawsze powinnaś być.

- Myślałem... - zaczął z wahaniem - że się spóźnisz.

- Dlaczego miałabym się spóźnić? - zapytała. - Pamiętasz? Nie potrafię się spóźniać, jestem obrzydliwie punktualna.

- Pamiętam - odpowiedział. - Ale chciałem się jakoś przygotować, czekając.

Usiedli w dziwnym lokalu - ni to pubie, ni to kawiarni. Drewniane ławy, a na nich wazoniki z suchymi kwiatami. Naburmuszona kelnerka z twarzą pokrytą pryszczami i grubym makijażem odebrała zamówienie - duża kawa dla niej, duże piwo dla niego. Zapadła ta głęboka krępująca cisza, która pojawia się, kiedy dwoje dawnych znajomych nie wie, od czego rozpocząć rozmowę.

Teresa zaczęła.

- Wcale się nie zmieniłeś - powiedziała niepewnie. - Miałam nadzieję, że będziesz... Nie wiem... Siwy? Gruby? Inny niż kiedyś.

Roześmiał się.

- Ty też wyglądasz tak jak dawniej. To dziwne, ale wydaje mi się, jakbyśmy przed chwilą wyszli z twojego

mieszkania, tego, w którym mieszkałaś z mamą i braćmi. Z twojego pokoju z tym ogromnym oknem, pamiętasz?

- O tak, pamiętam - Teresa poczuła, że się rumieni. „Idiotyczne, rumienić się w wieku trzydziestu dwóch lat”, pomyślała, ale nie miała na to żadnego wpływu. - Pamiętam też, co się działo w pokoju z oknem - roześmiała się, żeby pokryć zakłopotanie.

- I ja pamiętam - powiedział on i znowu zapadła cisza.

Nie mogła nie dostrzec obrączki, kiedy tak od niechcenia bawił się szklanką z piwem, obracał ją w długich, smukłych palcach. Obrączka była szeroka, wręcz ostentacyjna. Łapała światło świec i odbijała je. Iskrzyła się złotem. Była jak przypomnienie, memento. Zauważył jej spojrzenie, powędrował za nim wzrokiem.

- Kiedy się ożeniłeś? - zapytała.

- Dwa lata temu, latem - odpowiedział.

- To ta sama dziewczyna? - spytała Teresa. W gardle rosta jej nieprzyjemna gęła dławiąca głos.

- Paulina. Poznałaś ją kiedyś, byliśmy u was razem - powiedział.

Paulina. Tak, pamiętała Paulinę - anielskie blond włosy, warkocz, okulary, szczupła sylwetka. Eteryczna blondynka z Ruchu Patriotycznego czy jakoś tak. Kiedy odwiedzili ich razem, Marysia miała chyba dwa miesiące. Teresa czuła się przy tej smukłej piękności jak wielka, ociężała maciora ze swoimi spuchniętymi od mleka piersiami i zmęczoną twarzą młodej matki. Powietrze było ciężkie od niewypowiedzianych słów, chyba wszyscy czuli napięcie. Teresa nie miała ochoty patrzeć na szczęście tamtych dwojga, życzyła blondynce wszystkiego najgorszego i marzyła, żeby już sobie poszli. Po ich wyjściu Krzysiek skomentował:

- Jak myślisz, ona go chyba rzuci przy pierwszej okazji? Za dobra jest i za ładna.

- Tak uważasz? - spytała wtedy niepewnie i zmieniła temat.

„No cóż, trzeba będzie powiedzieć Krzyskowi, że jego przewidywania się nie sprawdziły”, zanotowała w myślach.

Niewprawnie ciągnęli rozmowę. Kartę małżeństwa należało przebić. Teresa wyciągnęła z portfela zdjęcia: Marysia w różowej sukni i lakierkach wpatrzona w tort z pięcioma świeczkami, Jaś - pyzaty bałwanek stawiający pierwsze kroki.

- Pokażę ci moje dzieci - powiedziała.

Jakoś zawsze były to „jej dzieci”. Nigdy nie mówiła „nasze”.

- Dwoje? - zdziwił się. - Wiedziałem tylko o dziewczynce.

- Jaś nie ma jeszcze dwóch lat - powiedziała. - A ostatni raz widzieliśmy się... jakieś pięć lat temu.

- No tak, masz rację - pokiwał głową Marcin.

Przypomniała sobie ten gest, to charakterystyczne potakiwanie i wyraz twarzy, który nazywała kiedyś „mądrą miną”. Zobaczyła bardzo wyraźnie jakąś scenę z przeszłości: siedzą przy stole w mieszkaniu jej matki, babcia peroruje na jakiś temat, Marcin potakuje jej z mądrą miną... Oboje marzą o tym, żeby jak najszybciej urwać się, zaszyć w sypialni i dotknąć, ale kiedy przedstawia się babci kogoś jako „kolegę”, to nie można „kolegi” beczelnie obmacywać przy kuchennym stole. Pozostaje słuchanie niekończącej się tyrady i kiwanie głową... Teresa budzi się z zamyślenia.

Rozmawiali chwilę o niczym. Temat dzieci zamknięty. Teraz praca, mieszkanie, zarobki... Przez chwilę brakowało tematu. Teresa, żeby zająć czymś ręce, zapaliła papierosa. Pamiętała, że tego nie lubił, lecz nic nie powiedział.

- Wiesz... - odezwał się po dłuższej chwili. - Tylko nie bierz tego, co mówię, tak do końca na serio, ale...

- Ale co? - spytała zaciekawiona.

- Ale może gdybyśmy jeszcze raz spotkali się gdzieś tak jak kiedyś... Może wtedy łatwiej byłoby nam rozmawiać...

- To propozycja? - roześmiała się.

W tym czasie jej mózg gorączkowo analizował różne warianty odpowiedzi. Wszystkie strzałki na myślowych schematach prowadziły do czerwonego pola z napisem „Wychodzisz na idiotkę”. Musiała zyskać trochę czasu. Zaciągnęła się nerwowo papierosem. Znowu poczuła na twarzy rumieniec i nagłą falę ciepła. Nie była w stanie nad tym zapanować. W tym czasie jej wewnętrzny komputer wybrał jedyną bezpieczną odpowiedź.

- Cóż - rzuciła z udawaną swobodą - skoro oboje jesteście ustatkowani, to tego typu propozycje chyba nie wchodzą w grę.

Specjalnie położyła nacisk na słowie „oboje”. Zemsta za obrączkę i chudą blond Paulinę z warkoczem.

- No tak - nie była pewna, czy w jego głosie słychać było lekki smutek czy raczej ulgę, że nie uczepliła się rozpaczliwie tej propozycji.

Lokal powoli zapełniał się ludźmi - wchodziły grupki młodzieży, pary, małżeństwa. Teresa przypominała sobie ich dawne spotkania w podobnych zadymionych lokalach z kafelkami na podłodze i boazerią na ścianach. Godziny spędzane nad kuflami taniego piwa. Długie wieczory przegadane o wszystkim i o niczym. Skąd się nagle wzięła ta krępująca cisza, ta ściana, która oddzielała ich od siebie? Czy stąd, że ten wieczór w odróżnieniu od tamtych nie miał skończyć się w łóżku, czy z powodu kilku długich lat?

- Niewypał, takie spotkanie - powiedziała nerwowo. -Prawda?

- Nie - odpowiedział. - Dziwnie się rozmawia, ale dlaczego od razu niewypał?



Nie usłyszała przekonania w jego głosie. Zerknęła na zegarek i uśmiechnęła się przepraszająco.

- Muszę już iść. Niania nie może siedzieć do nocy.

- Jasne, rozumiem - powiedział i nagle, jakby powodowany impulsem, dodał: - A ty czego się właściwie spodziewałaś po tym spotkaniu?

- Nie wiem - odpowiedziała zdecydowana nie zdjąć maski ani na chwilę. - Nie wiem sama, byłam po prostu ciekawa. I tyle.

Wyszli w grudniowy zmierzch. Niezbyt uważny obserwator mógłby ich wziąć za znajomych z pracy, którzy usiedli w pubie, żeby dokończyć jakąś dyskusję. Mógłby nie dostrzec, że zbyt starannie utrzymywali dystans, że ich swoboda była wystudiowana. Pożegnali się zdawkowo na przystanku przy placu Bankowym. Po chwili sylwetka Marcina zniknęła w tłumie ludzi pędzących od metra do tramwaju i od tramwaju do autobusu, zdyszanych, wpatrujących się we własne stopy albo w ulicę Andersa i próbujących odgadnąć numer nadjeżdżającego autobusu.

Dopiero w autobusie, kiedy drzwi zamknęły się za nią, odpowiedziała sobie na to ostatnie pytanie. „Czego się spodziewałam, a czego mogłam się spodziewać po tym spotkaniu? Czy przyznam sama przed sobą, że spodziewałam się, iż nagle w środku zimy powróci lato sprzed dziesięciu lat? Że przekreślę dziewięć lat małżeństwa i że jednak pójdziemy do łóżka? Że najpierw nacieszymy się sobą na nowo, odkryjemy zmiany, jakie zafundował nam czas, a dopiero potem, zmęczeni i zdyszani, pachnący sobą nawzajem, zaczniemy rozmawiać? Tego się spodziewałam i tylko tego”, myślała Teresa, jadąc zatłoczonym pięćset dwadzieścia trzy w kierunku Ochoty i płacząc za bezpieczną zasłoną gazety.

Paula nie mogła usiedzieć spokojnie. Dane potrzebne do prezentacji, które miała wprowadzić do komputera, wirowały jej przed oczami i już któryś raz pomyliła cyfry przy przepisywaniu. Co jakiś czas ukradkiem zaglądała do wiszącej na oparciu krzesła torebki i udając, że czegoś szuka, wyjmowała kawałek białego plastiku z okienkiem, w którym różowiły się dwie idealnie proste kreseczki. Musiała się upewnić, że nie śni, że nie pomyliła się rano, sprawdzając test. Dotknęła ręką brzucha - nadal płaski, choć już wyobrażała sobie, jak zacznie pęcznieć, robiąc miejsce dla dzidziusia. Wydawało się jej, że już zyskała parę centymetrów w talii. Jeszcze wczoraj zrzucała to na zbliżający się okres, miała przecież - jak co miesiąc - lekkie pobolewania i skurcze, obolałe piersi i kiepski nastrój, ale po zrobieniu testu wszystko się wyjaśniło. Kawałki układanki znalazły swoje miejsce. Po przyjeździe do pracy od razu zajrzała do Internetu, wyszukała stronę z kalkulatorem i obliczyła sobie termin porodu. Sierpień przyszłego roku. Jak się uda, to dzidzius będzie prezentem na rocznicę ślubu. Postanowiła na razie nic nikomu nie mówić, a test zapakować w kolorowy papier i podarować Marcinowi pod choinkę. Chociaż nie była pewna, czy utrzyma tajemnicę przez dwa tygodnie.

- Hej, Paula, śpisz? - znajomy głos wyrwał ją z rozmyślań. - Zebranie o trzynastej, pamiętasz?

Zamknęła w popłochu torebkę. To tylko Marysia z kadr, ale lepiej, żeby nikt nie widział. Powiedzieć o czymś Marysi, to jakby wywiesić komunikat na tablicy ogłoszeń przy windzie.

- Pamiętam. Oczywiście - odpowiedziała szybko. Jednak Marysia nie zamierzała odejść bez pogawędki.

- Coś ty mi kiepsko ostatnio wyglądasz - oznajmiła z troską, przyjrzawszy się Pauli uważnie. - Sińce masz pod oczami. Chcesz, polecę ci dobrego homeopatę? Wyleczył mnie już z takich rzeczy, że normalni lekarze tylko głowami kręcili. Jednak coś musi być w tej homeopatii, bo od kiedy biorę te granulki, od razu lepiej się czuję.

- Dziękuję, ale ja w to do końca nie wierzę - próbowała się bronić Paula. - A może masz jakiegoś dobrego ginekologa?

- A, to o to chodzi! - Marysia mrugnęła konspiracyjnie. - Babskie sprawy, co? Pewnie się staracie i nic z tego? Może po prostu wyluzujcie, przestańcie się starać, a wtedy zaskoczysz od pierwszego razu. Moja koleżanka trzy lata się starała. Mierzenie temperatury, te sprawy, wiesz. Mówiła, że już nawet obliczali z mężem z zegarkiem w ręku kiedy. A po jakimś czasie odpuścili. Stwierdzili, że mają dość tych starań. I bingo! Od pierwszego razu! - ostatnie zdanie Marysia prawie wykrzyczała i podkreśliła zamaszystym gestem obu rąk.

Parę głów odwróciło się od biurek, a zwykle gwarny kołchozowy open space podejrzanie ucichł.

Paula nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Już miała zwierzyć się tej kobiecie, starszej o kilkanaście lat, jednak nigdy nieobnoszącej się ze swoim wiekiem i doświadczeniem. Zrezygnowała. Nie tutaj, nie teraz. Może za jakiś czas. Dlatego zbyła wywody koleżanki machnięciem ręki:

- E, nie... Nic z tych rzeczy. Zwykle kobiece sprawy... Chyba się trochę rozregulowałam, wiesz.

- Aha - przytaknęła Marysia. - Jasne, rozumiem. Przyślę ci e-mailem namiar na moją ginkę. Jest niezła. Bierze co prawda osiemdziesiąt złotych za wizytę, ale warto. Na pewno lepsza niż te państwowe konowały. A teraz co, lecimy na zebranie?

- Lecimy - zgodziła się Paula.

Zebranie projektowe tradycyjnie odbywało się w salce konferencyjnej na trzecim piętrze, przy wodzie mineralnej i paluszkach. Tłumacząc się problemami z żołądkiem, Paula w ostatniej chwili zrezygnowała z kawy z automatu zaproponowanej przez kolegę. Wybrała wodę i już cieszyła się na pożywną, zdrową kanapkę z sałatką zaraz po zebraniu. Jak zwykle nie pojawiło się nic nowego: prezentacja projektu, przedstawienie nowego klienta, standardowe zadania. Marysia przedstawiła nową stażystkę - studentkę, która miała pomagać przy czarnej robocie, czyli kserowaniu, wpisywaniu danych, odbieraniu telefonów i robieniu kawy. Paula uśmiechnęła się na widok dwudziestodwulatki w grzecznym kostiumie spłoszonej jak uczennica na maturze. Przypomniała sobie swoje początki w tej samej sali, kiedy zaczynała od podawania kawy klientom i kserowania dokumentów. Po zebraniu podeszła do nowej. Zapamiętała jej imię - Milena. Pasowało do jej bladej buzi i brązowych włosów. Chciała się przedstawić i nagle poczuła, że coś jest nie tak. Przeprosiła i wybiegła do łazienki.

Kiedy zobaczyła na wkładce brązową plamę, z trudem powstrzymała łzy. Wiedziała, że test myli się bardzo rzadko. Plama mogła oznaczać tylko jedno.

- No to już sobie, kurwa, pobyłam w ciąży! - zakląła pod nosem Paula, której normalnie nawet słowo

„cholera” ledwie przechodziło przez usta. A potem płakała w zamkniętej kabinie, pilnując się, żeby nie wydawać żadnych dźwięków, które ktoś mógłby usłyszeć.

Kiedy się uspokoiła, przemyła twarz zimną wodą i poprawiła makijaż. Uznała, że może już wyjść z łazienki. Zanim poprosiła szefową o zwolnienie na resztę dnia, wyrzuciła do kosza w ubikacji nieszczęsny test - jedyny namacalny dowód istnienia dzidziusia.

W domu położyła się na łóżku i długo płakała. Chciała zadzwonić do mamy, ale poczta głosowa uparcie informowała, że abonent znajduje się poza zasięgiem sieci. Mama musiała pojechać na wizytę domową do jakiegoś czworonożnego pacjenta - za dużego, żeby go zawieźć do kliniki - a w wioskach przy granicy zasięg był zwykle słaby albo wskakiwał litewski operator komórkowy. Nie zamierzała dzwonić do ciotki Haliny, u której tyle lat mieszkała. Nie chciała jej dokładać zmartwień. Telefon do Marcina nie wchodził w grę. Nie chciała zamieniać tej radosnej niespodzianki, którą planowała zrobić Marcinowi, w smutną nowinę. Chciała jeszcze chwilę powyobrazić sobie, jak daje mu maleńkie różowe bućki i test z dwiema kreseczkami.

Zadzwoniła komórka. Paula spojrzała na wyświetlacz. Miała nadzieję, że to mama, ale to była Marysia z biura.

- Cześć. Pomyślałam, że zadzwonię spytać, jak się czujesz, a przy okazji podam ci namiar na tę moją lekarkę - zaczęła.

Paula z trudem stłumiła łzy. Skleciła na poczekaniu historyjkę o okropnych bólach miesięczkowych, przetrwała opowieść o znajomej z podobnym problemem i zapisała nazwisko i telefon lekarki.

## DAWNIEJ

Wakacje po pierwszym roku studiów, po pierwszej poważnej sesji mają w sobie coś magicznego. Teresa spędziła pierwszą połowę tych wakacji w Londynie wolna jak ptak. Mieszkała u Jo, rozwiedzionej czterdziestoparolatki, w pokoiku w piwnicy jakby wyjętym z obrazka pod tytułem „styl angielski”. Kwiaty na kołdrze i na narzutach, ręcznie tkany dywanik w paski, rattanowe meble, poduszki, poduszczyki, falbanki, ogromny, spasiony kot śpiący na fotelu. Na górze kuchnia, w której piła swoją cup of tea, zanim wyszła na spotkanie z kolejnymi zabytkami i galeriami albo ze starociami na bazarach Camden Town. Jo, zdeklarowana feministka, pożyczyła jej gaz pieprzowy do odstraszenia potencjalnych napastników i stertę powieści feministycznych, które Teresa czytała przed snem w kwiecistym łóżku, ze słuchawkami walkmana w uszach.

Była wolna. Wreszcie nie musiała się martwić, że ktoś czeka, czepia się, jest zazdrosny, chce seksu. Wolna dwudziestojednolatka w najbardziej wyzwolonym mieście świata. Współlokatorka z piwnicznego pokoiku - gruba dziewczyna z Rotterdamu, która przyjechała na kurs językowy - pozwalała się ciągać po klubach i pubach. Rozmawiały łamaną angielszczyzną o chłopakach i muzyce, lecz kiedy jakiś mężczyzna przyglądał im się zbyt długo, gruba Martina milkła i czerwieniła się. Teresa musiała jej towarzyszyć do wyjścia, bo koleżanka, spłoszona zainteresowaniem, uciekała. Nie podobało jej się to. Raz czy dwa

wybrała się więc sama na popularną wśród turystów dyskotekę. Wypatrzyła w kącie przystojnego Fina czy Szweda... Ale nigdy nie przeciągnęła nowej znajomości poza granicę rozmowy. Wydawało jej się, że pragnie przygody, kogoś obcego, nowego, jednak nikt nie spełniał jej wymagań. Podświadomie wiedziała dlaczego... Przed zaśnięciem widziała w wyobraźni twarz Marcina - zarys policzka, cień długich rzęs. Siłą woli odganiała od siebie ten obraz, który jednak powracał w snach, w chwilach zapomnienia i przesłaniał wszystkie obce, przystojne twarze spotkane na londyńskich ulicach.

Kiedy po miesiącu wróciła do domu, nikt na nią nie czekał. Matka z narzeczonym i młodszymi dziećmi byli na wakacjach nad morzem. Zostawiła Teresie pieniądze, klucze i kartkę z telefonem. „Zadzwoń, szukają pracownika do pomocy, zarobisz trochę na ciuchy”. Teresa zadzwoniła i już dwa dni później pracowała w biurze podróży jako sekretarka sekretarki, pomoc przy wpisywaniu danych do komputera i dziewczyna do parzenia kawy - mocnej dla prezesa, słabszej dla dyrektora. Praca pochłonęła ją całkowicie. Przeżyła prawie miesiąc, czując się jak prawdziwa, dorosła i niezależna kobieta. Zajęcia od rana do wieczoru, spotkania ze znajomymi, powrót do pustego domu, sen, praca. Pod koniec miesiąca już tylko praca, bo rozpoczął się kongres fizyków i trzeba było przez cały dzień witać gości w hotelowej recepcji, kierować do pokoi, wręczać materiały, odpowiadać na tysiące pytań po angielsku, niemiecku, francusku.

Pod koniec tego gorączkowego, chaotycznego sierpnia przyszedł list. Teresa nie spodziewała się niczego poza kartką z wakacji od znajomych, jednak w prostej białej kopercie znajdowało się zaproszenie. „Szeregowy Andrzej Mroczek zaprasza p. Teresę Mikulską na przysięgę, która odbędzie się dnia...” - przeczytała. Przez chwilę nie wiedziała, o co chodzi. W końcu skojarzyła. Szeregowy Andrzej musiał być tym chłopakiem, który wyprawiał imprezę na Pradze. A zatem okazja do spotkania jego znajomych - okazja do spotkania Marcina. Tomaszów Mazowiecki. Nie wiedziała nawet, gdzie to jest, mapa Polski zawsze była dla niej zagadką. Kojarzyła Poznań, Zakopane i Hel, niewiele więcej. Przywilej zasiedziały warszawianki.

Zadzwoniła do Ewy.

- Cześć - zagaiła - dostałaś może zaproszenie na przysięgę Andrzeja?

- O, Teresa - ucieszyła się Ewa. - Tak, właśnie miałam dzwonić do ciebie. Dostałam wczoraj, ale nie mogę jechać. Wesele kuzynki, nie dam rady się wyrwać. Jednak gdybyś ty chciała, to podam ci namiary na znajomych Andrzeja. Oni na pewno pojedą.

- Gdybyś mogła... - wykrztusiła Teresa i tak jak się spodziewała, dostała numer telefonu Marcina.

- Nie wiem, czy pamiętasz... - tłumaczyła jej Ewa - taki wysoki brunet, chodził z Andrzejem do technikum.

- Aa, ten - Teresa udała zdziwienie.

Jakoś tak miało być, że już zawsze w związku z nim coś udawała. Udawała niechęć, brak zainteresowania, udawała czysto koleżeńskie zamiary. Nigdy nie posądziłaby siebie o takie zdolności aktorskie, bo najwyraźniej jej udawanie było przyjmowane za dobrą monetę i nawet przyjaciele nabierali się na jej lekki ton, którym o nim mówiła. W końcu nabrał się nawet Krzysiek, mąż i przyjaciel.

Na razie jednak siedziała wpatrzona w słuchawkę czerwonego plastikowego aparatu telefonicznego w przedpokoju mieszkania rodziców i po raz setny zaczynała wykręcać ursynowski numer telefonu. Cała jej dorosłość, niezależność kobiety pracującej gdzieś przysły w zetknięciu z koniecznością wykonania tego telefonu.

- Słucham - w słuchawce odezwał się męski głos.

- Dzień dobry, mówi Teresa, czy zastałam Marcina? - spytała. O dziwo, bez trudu.

- Cześć, pamiętam cię. Jestem Maciej, poznaliśmy się u Andrzeja. Kolega Marcina ze szkoły - sprecyzował.

Przyjęła to z ogromną ulgą - przynajmniej mogła rozmawiać normalnie. To był ktoś prawie obcy, nie umiała sobie nawet przypomnieć, jak wyglądał. To musiał być ten krępy z baczkami - przyszło jej do głowy. Ciągnęła dalej:

- Dzwonię w sprawie przysięgi... Chciałabym pojechać, a jeśli się wybieracie, to może mogłabym dołączyć? - spytała.

- Jasne! - Maciej zareagował entuzjastycznie. - Poczekaj, zaraz ci powiem, jak się poumawialiśmy.

I w ten sposób pewnego wrześniowego ranka Teresa wylądowała w pociągu do Skierniewic. Odjazd - czwarta trzydzieści dwie z Dworca Śródmieście. Osobowy, bez rezerwacji miejsc. Jechali w trójkę. Marcin, Maciej i ona - niezręczna, speszona, ubrana nie wiadomo po co na czarno i w koszmarnych butach - czymś w rodzaju glanów na obcasach, butach z londyńskiego Camden Town, do kolan, na dziesięciocentymetrowych obcasach - idealnych na miejską imprezę, a nie na bieganie po dworcach i polnych drogach.

Siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu, niemal dotykając się kolanami. Podwarszawskie pola przesuwały się za oknami pociągu w porannej mgle. Cisza była aż ciężka.

- Podobno byłeś w Londynie? - zapytał Maciej, żeby zagaić rozmowę. - Jak tam jest?

- Fantastycznie - westchnęła Teresa. - To najwspanialsze miasto, jakie widziałam.

- Opowiedz coś o Londynie - poprosił Marcin, patrząc na nią.

Nie wiedziała, od czego zacząć... Zaczęła od oczywistości. Tower, kruki pod więziennym murem, pałac Buckingham i królowa matka w zielonym kapeluszu podpatrzona przez szparę w płocie, przy którym tłoczyli się japońscy turyści, polując z fleszem na fotkę Jej Królewskiej Mości.

Kiedy skończyła, znowu zapadła cisza. Nie bardzo wiedzieli, o czym rozmawiać. Dopiero później mieli się nauczyć. Pociąg zbliżał się do Skierniewic, a tam, na peronie pod kładką, zapadł wyrok na Teresę. Jego wykonawczyni miała na oko jakieś siedemnaście lat, długie włosy w kolorze szarobrazowym, zapaćkane okulary i pyzatą buzię dziecka.

- Cześć, jestem Agnieszka - przedstawiła się i rzuciła Marcinowi na szyję, zawisła na nim. Teresa

odwróciła głowę, żeby nie widzieć długiego pocałunku tych dwojga, tego, jak zatopili się w sobie najwidoczniej po dłuższym rozstaniu. Nawiązała jakąś nic nieznaczącą rozmowę z koleżanką Agnieszki. Zapaliły razem papierosa, wydmuchiwały dym w poranne powietrze.

Na zdjęciu z przysięgi stoją razem: szeregowy Andrzej w mundurze, wyprostowany na baczność w całej stu-sześćdziesięciocentymetrowej okazałości, obok niego ubrana na czarno Teresa i Ewa - koleżanka Agnieszki; z tyłu Maciej w wojskowej czapce na bakier, a przy nim Marcin i Agnieszka tak zapatrzeni w siebie, że nawet na wyplowiałym zdjęciu widać, że są parą; obok jakiś długowłosy okularnik, którego imienia nigdy nie poznała. Pamiętała, że uwielbiał Riedla i całą drogę powrotną rozmawiał tylko o koncertach Dżemu. Teresa nie wie, jak zdobyła się na radosny uśmiech, który rozświetla jej twarz na zdjęciu, i jak przetrwała resztę dnia, rozmawiając, uśmiechając się, pijąc piwo i paląc z Ewą papierosy. Nie pamięta pożegnania i podróży powrotnej pekaesem. Pamięta Agnieszkę, pamięta rozpromieniony wyraz jej twarzy, długie brązowe włosy, brązowe sztruksy, brązowy T-shirt w paski, rzemyk na szyi. Nie rozumiała, dlaczego miała przegrać z tą myszowatą siedemnastoletnią dziewczyną. Oddałaby wtedy wszystko, żeby się z nią zamienić. Oddałaby swoje dwadzieścia jeden lat, swój dowód osobisty i wakacje w Londynie. Nie wiedziała jeszcze, że to ona wygra ten pojedynek. Po pierwszej rundzie było dziesięć do zera dla tamtej.

Dwa tygodnie po przysiędze w życiu Teresy znowu pojawił się Krzysiek. Pamiętała go jako znajomego przyjaciółki. Tym razem spotkali się na jakiejś imprezie, potem poszli do kina. Trwał Warszawski Festiwal Filmowy, obejrzeli kilka ambitnych obrazów, Niebo nad Berlinem, Kikę. Wypili morze kawy w Poziomce na Starówce. „Tylko przyjaźń - powtarzała sobie Teresa - tylko przyjaźń. Co najwyżej kilka spotkań, łożko i koniec”. Chciała zemścić się za wszystko, co do tej pory jej się zdarzyło: za Łukasza z jego rumunem i ciężką ręką, za Daniela i jego spojrzenie krótkowidza, za Marcina i tę nastoletnią mysz.

Pewnego wieczoru siedzieli w Irish Pubie na Miodowej, grał zespół szantowy, a oni całą paczką pili kolejne piwa. Anka, jak zwykle na czarno i w nieśmiertelnym berecie, bawiła się swoimi koralami; nosiła dwa czy trzy sznury: jaskrawe, kiczowate, indyjskie i własnej roboty.

- Wiesz, Krzysiek to fajny facet - powiedziała nagle, nachylając się do Teresy. - Możesz mu zaufać.
- Nie chcę nikomu ufać - burknęła Teresa znad piwa.
- Nie krzywdź go, proszę. Nie mścij się za kogoś innego.
- Czy ja powiedziałam, że chcę się na kimkolwiek mścić? - Teresa rozzłościła się na przyjaciółkę za jej nieproszoną przenikliwość.

Wstała, zaczęła się ubierać. Październik był chłodny. Znowu nosiła czarną skórzaną kurtkę i swoje londyńskie glany. Krzysiek wstał razem z nią.

- Odprowadzę cię, zaczekaj - powiedział.

Zgodziła się i przeszli całą Warszawę, trzeźwiejąc powoli w drodze z Miodowej do Śródmieścia, do zakazanego kwartału Wilcza-Hoża-Poznańska-Emilii Plater, gdzie w rozpadającej się

dziewiętnastowiecznej kamienicy Teresa mieszkała z matką i braćmi. W bramie, odrapanej i jak zwykle cuchnącej moczem (paru pijaczków w nocy pełniło wartę przy murku na środku podwórka), próbowali się pożegnać. Całowali się już wcześniej, ale nigdy tak naprawdę. Tym razem było inaczej.

- Wejdz na górę - zaproponowała.

Wspięli się ciasnymi kuchennymi schodami na trzecie piętro, przystając na podestach, żeby się całować. Teresa otworzyła drzwi swoim kluczem. Matka już spała, z pokoju braci dobiegał szum telewizora, film akcji, sądząc po wystrzałach i okrzykach w tle. Przekradli się korytarzykiem oddzielonym od salonu regałami na książki i dotarli do pokoju Teresy. Pokoju studentki zagraconego porzucanymi książkami, papierami, plakatami. Usiedli na jej rozklekotanej wersalce pamiętającej czasy podstawówki i pod czujnym wzrokiem Kurta Cobaina z plakatu wiszącego nad atrapą kominka zaczęli się rozbierać nawzajem, w absolutnej ciszy, żeby ich westchnienia nie przebiły się przez odgłosy pościgu samochodowego z filmu oglądanego w pokoju obok.

Po wszystkim Teresa narzuciła podkoszulek i dżinsy i wyszła na balkon zapalić. Uwielbiała widok ulicy pustej o tej porze nocy. Gdzieś w oddali zgrzyt hamulców nocnego autobusu, trochę bliżej pijackie wrzaski w jednej z kamienic... Krzysiek ubrał się i wymknął po cichu. Okazał się czułym i delikatnym kochankiem. Teresa spodziewała się raczej niezdarności pierwszego razu, pośpiechu, a on grał na niej jak na dobrze nastrojonym instrumencie. Od razu dopasowali się jak dwa kawałki układanki.

„To tylko seks, dobry seks, nic ponadto. Nic sobie nie obiecuj, to nie jest miłość - pomyślała, wypuszczając z mieszkania mężczyznę, który za trzy lata miał zostać jej mężem. - To nie jest miłość”, powtórzyła po cichu, zaparząc sobie herbatę. Siadła przy pustym okrągłym kuchennym stole z ciężkiego drewna i wyjęła z szuflady zdjęcie z przysięgi, które przysłał jej poprzedniego dnia szeregowy Andrzej M.

- To jest miłość - powiedziała do siebie i schowała zdjęcie z powrotem do szuflady.

Ani się spostrzegli, jak jakoś tak pomiędzy jesienią a zimą stali się parą. Teresa była zdziwiona, że związek dwojga ludzi może tak bardzo się różnić od tego, co przeżyła z Łukaszem. Krzysiek nie był zaborczy, nie organizował jej czasu. Spotykali się tylko, kiedy oboje mogli, a oboje mieli sporo zajęć - on na drugim roku ekonomii, ona na drugim roku filologii. Umawiali się po zajęciach i dzielili wiedzę. Ona czytała muśsonety Szekspira w oryginale, starając się uchwycić prawdziwy brytyjski akcent, on opowiadał jej o teoriach socjologicznych i powtarzał z nią logikę do egzaminu. Pożyczali sobie książki, chodzili do kina i na koncerty, czasem spędzali wieczór w jej pokoju na wersalce, w samotności przerywanej wtargnięciami jej młodszych braci zachwyconych nowym towarzyszem zabaw. Czasami zostawał na noc. Na długą, spokojną noc pełną czułości, bez niezdarnego pośpiechu i natarczywości. A potem nadchodziły dni, kiedy nie widywali się wcale - przed egzaminami albo gdy z zespołem folkowym, w którym grał na gitarze, wyjeżdżał na występy do innego miasta.

Wczesną wiosną, kiedy już mówili o sobie „my”, poznała jego rodziców - nauczycieli w katolickim liceum -i jego starszą siostrę zamężną od paru lat, ale bezdzietną. Dopiero po wielu latach dowiedziała się, że Ewelina i jej mąż nie mogli mieć dzieci, dlatego to Teresa dała rodzicom Krzysztofa pierwsze wnuki.

Podczas tej wizyty z nerwów wylała kawę na czyściutki biały obrus. Miesiąc później z Włoch przyjechał ojciec Teresy. Umówili się z nim na kawę na mieście; tuż przed progiem kawiarni Krzysiek wdepnął wypastowanym butem w psią kupę na chodniku.

- Sołtysem zostaniesz, drogi chłopcze! - huknął jowialnie ojciec i lody zostały przełamane.

Po paru dniach ojciec zadzwonił jeszcze raz.

- Podoba mi się ten Krzysztof. Wyrośnie na ludzi. Dobrze wybrałaś, córeczko.

I tak oficjalnie i na serio, przy aprobachie rodziców, Teresa powróciła do stanu, który już dawno nie wydawał jej się naturalny, do bycia częścią pary, połówką większej całości. Mniej więcej wtedy zadzwonił telefon.

TERAZ

Paula nienawidzi wizyt u lekarzy. Jest z tych, co wolą przechodzić najgorszą grypę, niż wybrać się do przychodni. Tym razem jednak dzielnie znosi czekanie w kolejce. Przychodnia mieści się na ostatnim piętrze starej kamienicy przy placu Trzech Krzyży i podobno jest najlepsza w Warszawie. Brzuchate ciężarne, zakutane w za duże, puchowe kurtki, powoli i z trudem wtaczają się po stromych schodach i zaraz po wyjściu z rejestracji zaczynają rozmowy.

- Który tydzień?

- Trzydziesty szósty.

- Już? Zazdroszczę, u mnie dopiero dwudziesty ósmy. To imię już wybrane?

- Tak, będzie Wiktoerek albo Oliwka.

- A u nas Damianek.

- U nas Julcia.

Padają słowa, których Paula będzie dopiero musiała się nauczyć - duphaston, progesteron, skracająca się szyjka, rozwarcie, łożysko, KTG, przepływy. Cały ten sekretny żargon przyszłych matek, gatunku bardziej zaawansowanego w wiedzy medycznej niż reszta świata. Co jakiś czas słycać słowo „poronienie”, a wtedy twarz Pauli kurczy się w zaciętym wysiłku, aby nie dopuścić łez. Nie jest pewna, co właściwie się zdarzyło tamtego dnia, ale nadal odczuwa mdłości i bóle w dole brzucha, zatem teraz chwytą się ostatniej rozpaczliwej nadziei - może jeszcze nie wszystko stracone.

- Pani Kosecka?

Z gabinetu wychyla się lekarka i Paula na jej widok przeżywa wstrząs. Jest stara jak świat, spokojnie mogłaby odbierać poród jej babci w latach pięćdziesiątych - siwe włosy pokryte niebieską płukanką,



pajęczyna zmarszczek na policzkach. Paula ma ochotę uciec, ale zapłaciła już osiemdziesiąt złotych i nauczona oszczędzania, nie zmarnuje takiej kwoty. Wchodzi więc do gabinetu na chwiejnych nogach.

Po chwili leży na fotelu upokorzona i zła jak zawsze przy takich badaniach. Czuje zimny dotyk metalu wewnątrz, pieczenie i ucisk. Nienawidzi tego uczucia, odbiera je jak gwałt. Lekarka coś tam mamrocze pod nosem. Po chwili prostuje się, zdejmuje rękawiczki i wyrzuca je do kosza.

- Gratuluję, pani Paulino, piękna ciąża. Siódmy, ósmy tydzień - mówi lekarka i uczucie upokorzenia, złości, rozpaczy znika zastąpione tą jedyną w swoim rodzaju pewnością.

- Termin będzie na początku sierpnia - dodaje, a Paula rozpromienia się, bo zgodnie z jej obliczeniami, dziecko powinno urodzić się w rocznicę ślubu.

Lekarka już wypytuje dalej.

- Mdłości? Niewielkie? To dobrze. A plamienia? Aha. Tak, to się zdarza kobietom bardzo często na początku.

Nie ma czym się martwić, chyba żeby się powtórzyły, wtedy proszę leżeć i nie przemęczać się. Witaminy, żelazo, badanie moczu zrobimy i zapraszam za miesiąc do kontroli. Paula zbiega, a raczej sfruwa po schodach, wybiega tanecznym krokiem na plac Trzech Krzyży. Niebo nad kościołem Świętego Aleksandra - tym, w którym, jak lubi podkreślać Teresa, chrzczono jej prababkę, o czym Paula oczywiście nie ma pojęcia - jest jaskrawobłękitne. Drzewa pokrywa warstewka szadzi. Z najmodniejszych knajpek w okolicy wysypują się ludzie - studenci, artyści? - poubierani w najdziwniejsze zestawienia, każdy z telefonem komórkowym przy uchu. Są zaafetowani, żyją w kompletnie obcym świecie. Paula wtapia się w tłum przechodniów śpieszących na ostatnie przedświąteczne zakupy. Sama ma kupione już wszystkie prezenty, torby spakowane na wyjazd do Białegostoku, a ten najpiękniejszy prezent - dziecko - dojrzewa w niej. Paula wyobraża sobie maleńkie stworzenie wielkości ziarnka fasoli. Nawet myśli o nim - wzorem matek z forów internetowych, które czyta - „moja fasolka”. Dziwnie jest wiedzieć, że ono jest tam w środku, już zdefiniowane, będące chłopcem lub dziewczynką. Jego komórki - wszystkie co do jednej - noszą połączone geny Pauliny i Marcina, a co wyniknie z tego połączenia, okaże się dopiero za długie siedem miesięcy. Dziwnie jest zdawać sobie sprawę z obecności tego życia, podczas gdy nikt inny niczego nie podejrzewa - brzuch Pauli pod grafitowym wełnianym płaszczem jest nadal płaski, biodra wąskie, tylko piersi pęcznieją, jakby już za chwilę miała nadejść pora pierwszego karmienia. Paula niesie swoją tajemnicę do domu ostrożnie, jak figurkę ze szkła, uważnie stawia stopy na oblodzonych płaszczyznach chodnika, dyskretnie osłania brzuch w autobusie, układa w głowie listę potencjalnych niebezpieczeństw.

W sklepie spożywczym blisko domu robi przemyślane zakupy. Zdrowe: biały ser, pomarańcze, chuda wędlna i prawdziwe masło osełkowe, najdroższe.

Po wejściu do mieszkania Paula zamyka starannie drzwi i rzuca płaszcz, a potem wybiera znany na pamięć numer telefonu.

- Cześć, kochanie - mówi podekscytowanym głosem. Nie może się doczekać, kiedy podzieli się nowiną. W odpowiedzi słyszy tylko:

- Zadzwoń później, aniołku, teraz nie mogę - i krótki, urywany sygnał.

Paula jest rozczarowana, ale tylko trochę. Przyzwyczała się już do urwanych rozmów przez telefon. Wie, że jej mąż pracuje za dwóch, żeby utrzymać i rozwinąć firmę. Spotkania z klientami i negocjacje przeciągające się do wieczora są na porządku dziennym. Właściwie jest dumna, że jest żoną młodego, świetnie zapowiadającego się radcy prawnego z ambicjami politycznymi. Kilka miesięcy temu znowu zaczęły się spotkania Patriotów. Ona już w nich nie uczestniczy, ale myśli o Patriotach z sentymentem. Imponuje jej zapał Marcina i jego chęć zmiany świata. Sama najchętniej zadowoliliby się tym, co ma. Jest jej teraz tak niewiarygodnie dobrze, że czasami aż nie śmie w to swoje szczęście wierzyć, a kiedy indziej przyjmuje ten dar losu z radością. Gdyby kilka lat temu, za czasów studenckich, ktoś powiedział jej, że w zimie 2005 roku będzie zgrabną, stosunkowo zamożną, pracującą kobietą spodziewającą się pierwszego dziecka z mężczyzną swoich snów, roześmiałaby się. „Takie marzenie nie ma prawa się spełnić”, myślała jeszcze całkiem niedawno.

Paula zatopiona w marzeniach, które właśnie się spełniają, i przepelniona pozytywną energią postanawia tę energię jakoś spożytkować. Zajmuje się porządkami, robi pranie, zmienia pościel na nową, z Ikei, w wesołe kwiatowe wzory. Rozstawia deskę do prasowania, nastawia wodę na ziemniaki. Porządkuje, przestawia, z miłością i dumą rozgląda się po mieszkaniu. Pamięta, jak wyglądało, gdy zaraz po ślubie wprowadziła się do niego. Jedyne umeblowanie dwóch małych pokoi stanowiło biurko z komputerem i sfatygowany narożnik do spania. Po jakimś czasie przybyło sprzętów. W oknie wychodzącym na ulicę powiesili żaluzje. Narożnik zastąpiła rozkładana kanapa, na której spali. Pojawiły się półki na książki i kodeksy. Z Białegostoku przywieziono starą, rzeźbioną, poobijaną szafę po babci Teofili. Wypełniła się białymi i błękitnymi koszulami Marcina, garniturami, džinsami i garsonkami Pauliny. W kuchni znalazły się szafki z frontami z płyty MDF w wesołym cytrynowym kolorze i laminowany niebieski blat. Elektryczna płyta zajęła miejsce starej gazowej kuchenki. Rzeczy zadomowiły się, zamieszkały, zostały oswojone.

Paula sięga po nóż i po koszyk z ziemniakami. Wciąga ją rytuał znanych, codziennych czynności. Ma swoje przyzwyczajenia, swój nożyk do ziemniaków, małeńki z czarną ukruszoną rączką. Siada przy oknie z widokiem na smętne, zaśnieżone mokotowskie podwórko, po którym włóczą się bezpieczne koty, i zabiera się do obierania ziemniaków.

Późnym popołudniem, kiedy niebo już dawno pociemniało, rozlega się jak zawsze dzwonek do drzwi. Marcin zdejmuje czarny płaszcz przyprószony śniegiem i z aprobatą rzuca okiem na stół, na którym paruje gorąca kolacja.

- Cześć, kochanie - mówi - dzwoniłaś do mnie... Przepraszam, że tak cię zbyłem, ale miałem klienta w pokoju. Coś ważnego się stało?

- Wiesz... - Paula zawiesza głos. Nie dla efektu, lecz dlatego że nakłada właśnie surówkę, jego ulubioną, z kapusty pekińskiej. - Mam ci coś do powiedzenia.

- Powiedz - mówi Marcin, a jego oczy błyszczą ciekawością. Paula ma ochotę się chwilę podroczyć, ale na widok tego spojrzenia tylko się uśmiecha i mówi po prostu:

- Jestem w ciąży. W sierpniu będziemy mieli dziecko.

- Poważnie? - Patrzy na nią z mieszaniną zachwytu i niedowierzania w oczach. Przytula ją mocno. Ale jest też coś w jego twarzy, jakaś obca mieszanka lęku i niepewności; coś, co mówi Pauli, że jednak jej tajemnica, jej ciąża, pozostanie do pewnego stopnia tylko jej doświadczeniem; że to coś, co może przeżyć tylko ona sama - może z akceptacją, może ze wsparciem ze strony tego jedyne ukochanego mężczyzny, jednak mimo to bez jego uczestnictwa. Po prostu on nie będzie w stanie przeżyć tego tak jak ona. Będzie znalazł uczucie rosnącego w brzuchu nowego życia tylko z opowiadań, z tych kopnięć dziecka, które przedostaną się przez bariery wód płodowych i ściany jej brzucha. Paula czuje się sama ze swoją ciążą, a jednocześnie jest dumna ze swojej kobiecości, ze zdolności do stworzenia i noszenia całkiem nowego człowieka.

Wieczorem kładą się na rozłożonej kanapie w czystej pościeli. Jest czwartek, a za dwa dni z samego rana jadą do jej rodziny do Bialegostoku na święta. Paula, pomna tego, co wyczytała w piśmie dla matek, układa się na lewym boku. Marcin obok niej, wyciągnięty na wznak, zawsze ją zdumiewało, jak wiele miejsca taki duży mężczyzna zajmuje na łóżku. Paula próbuje się przytulić, ale on leży obok jakby nieobecny, zamyślony, nie reaguje na pieszczoty, początkowo nieśmiało, a potem coraz zuchwalsze. Wreszcie delikatnie powstrzymuje jej dłoń.

- Nie - mówi - bałbym się, że zrobię ci krzywdę... I dziecku.

Zasypiają wreszcie. Jej drobna dłoń z paznokciami polakierowanymi na perłowy róż zamknięta w jego dużych, smukłych palcach porośniętych drobnymi czarnymi włoskami. Przez żaluzje do pokoju wpada rozproszone na śniegu światło latarni. Ulicą Gagarina jedzie samotny nocny autobus. Zgrzyt hamulca przebija się przez szyby. Paula śpi niespokojnie.

Święta minęły jak jedna chwila. Teresa po raz pierwszy w życiu postanowiła ugościć całą rodzinę u siebie. Zaprosili mamę, teściów, rodzeństwo. Rozstawili ogromny stół w salonie i gotowali, piekli, sprząтали. Po świętach miejsce gorączkowej krzątaniny zajęła pustka. Kilka dni wolnego przed Nowym Rokiem, bez zajęć, uczniów, jeżdżenia po mieście.

Teresa wstawała rano i nie miała pojęcia, czym, zapełnić kolejne dni. Zwyczajnych zajęć, gotowania, prasowania, zajmowania się dziećmi nie starczało na te kilkanaście godzin, które spędzała w domu. Krzysztof jak zawsze był daleko - w pracy, w delegacji w Krakowie, potem w delegacji w Gdyni. Wizytował oddziały, nadzorował audytorów w terenie. Kto wie, co robił jeszcze. W jej wyobraźni tańczyły smukłe blondynki z rozwianym włosom, szeptały zmysłowo. „Och, panie dyrektorze...” Zdejmowały grzeczne biurowe garsonki w sterylnych gabinetach, siadały prowokacyjnie na ciężkich dębowych biurkach. Szelest pończoch, buty na wysokich szpilkach, długie tipsy drapią oparcie skórzanego fotela, silikonowe usta. Szepty. „Panie dyrektorze, och, tak, cudownie!” Odganiała od siebie te myśli, lecz wracały. Czuła się coraz bardziej jak samotna matka, rozwiedziona. Wieczory przy szumie jego laptopa, samotne noce, ranki. Puste łóżko i powroty o dziesiątej wieczorem, kiedy dzieci już spały mimo oczekiwania i nadziei, że jeszcze przywitają tatę.

Dzieci wydawały się nastrojone na oczekiwanie już od ósmej wieczorem, kiedy rybka na kanale Mini-Mini

szła spać. Na każdy dźwięk na klatce schodowej - kroki, charakterystyczny stuk rozsuwanych drzwi od windy, hrzęknięcie kluczy - podrywały się od zabawy, krzycząc: „Tatusz?”. Kiedy wreszcie wracał, a one jeszcze nie spały, podbiegały do niego, zanim zdążył zdjąć płaszcz i szalik. Marysia, do tej pory naburmuszona i znudzona popołudniem w domu w towarzystwie mamy i brata, nagle wyrzucała z siebie potoki słów. Jasek nie chciał stracić ani chwili na korzyść siostry, więc wspinał się na ojca jak na drzewo. Łapał go za nogawkę eleganckiego garnituru brudnymi paluszkami, szarpał, paplał po swojemu do momentu, kiedy tata nie przywitał go pocałunkiem w czubek króciutko ostrzyżonej główki. Wtedy wreszcie pozwalały mu się przebrać, (odwiesić garnitur i płaszcz do szafy. Nie odstępowały go na krok, nawet kiedy przebierał się w domowe sprane dżinsy i bluzę - ubrania z dawnych czasów zachowane przez sentyment lub niechęć do wyrzucania czegokolwiek. Teresę dość bawiła ta metamorfoza. Krzysztof wracał do domu jako poważny mężczyzna, w garniturze i dobranym, stonowanym krawacie, z teczką - a po chwili już znowu przypominał tamtego długowłosego chłopaka w okularach w drucianej oprawce, który nosił wypłowiałe lewisy i koszulkę z liściem marihuany, prezent od kolegi z wypadu do Holandii. Kiedy pokrzykiwał wesoło, kąpiąc dzieci pluskające się razem w wannie, mogła przez chwilę nie myśleć, że jego ciemnoblond włosy obcięte tuż przy skórze głowy są już tylko umiejętnym maskowaniem powiększającej się łysinki, że okulary w czarnej kanciastej oprawie są z roku na rok coraz mocniejsze, a dżinsy z lat studenckich teraz są co najmniej o trzy rozmiary za małe; że ten mężczyzna nie pachnie dezodorantem Fa dla mężczyzn, który kiedyś uwielbiała mu podkraść, tylko wodą toaletową kupowaną w dobrej perfumerii. Kiedy tak kucał przy brzegu wanny i chlapał się z dziećmi, widziała w nim tego kogoś, kto - zdawałoby się - nieodwołalnie zniknął gdzieś wewnątrz poważnego dyrektora. Miała jednak wrażenie, że te króciutkie metamorfozy rezerwował wyłącznie dla dzieci, nigdy dla niej.

Kąpiel dzieci, jeśli dotrwały do jego powrotu, była dla niego okazją do kontaktu z nimi, ale zdawało się, że zabiera mu ostatnie resztki energii, bo potem wystarczało mu jej już tylko na piwo przed telewizorem. Usiedli razem - dzieci już spały. Marysia mówiła przez sen tak głośno, że jej głos dobiegał do nich przez zamknięte drzwi i ścianę. W telewizji reporter ekscytował się kolejnym skatowanym dzieckiem. Wskazywał palcem winnych, moralizował do granic niezdrowej histerii za żółtą policyjną taśmą.

- Wyłącz to, proszę - powiedziała Teresa. - Nie znoszę tych programów. Porozmawiajmy.

- Jak chcesz - nie wyłączył, tylko zmienił kanał, na niemieckiej stacji komercyjnej leciał film z Jackie, Chanem: bezsensowny balet rąk, nóg, kopnięć w powietrzu, wyskoków i obrotów.

- O czym chcesz porozmawiać? - zapytał, nie przestając jednym okiem śledzić akcji filmu. Bohater po nieprawdopodobnie silnym uderzeniu nogą w skroń wykonał półobrót, wstał i wrócił do walki.

- O nas - zaczęła nieśmiało. - Czy naprawdę musimy tak żyć? - zapytała.

- Jak? - najwyraźniej nie rozumiał, o co jej chodzi.

- Tak, że widzimy się po godzinie dziennie, że nawet w weekend jesteś zbyt zmęczony, żeby zrobić coś z nami wspólnie...

- Pracuję. - Z wyrazu jego twarzy odczytała, że zamknął się całkowicie na próby rozmowy.

- Ale może mógłbyś pracować mniej? - zaryzykowała.

- Tak, żeby dzieci wiedziały, że mają ojca.

- Przesadzasz - burknął i odruchowo zmienił kanał. Discovery - latające maszyny, Planetę - duński kompozytor i wirtuoz skrzypiec, RTL - show satyryczny, MTV - trzy zgrabne Murzynki w skąpych ubraniach. TVP Kultura, Polsat... Głowy, twarze, sylwetki... Żadna wystarczająco ciekawa, żeby zatrzymać się przy niej i skupić uwagę, ale każda dość interesująca, żeby odwrócić uwagę od rozmowy z żoną. Telezakupy, pas do wyszczuplania pośladków. - Co mówiłaś? - Viva: „Wyślij SMS pod numer 7922”.

- Przesadzasz. - Discovery Science: samoloty bojowe. -Masz rację. Tak, nie. Aha. No. - Litania słów, jakich używa się, rozmawiając przez telefon z męczącym natrętem.

- Ale o co ci chodzi?! - wybuchnął wreszcie zniecierpliwiony i zezłoszczony. Może i jej prośbami, a może tym, że na czterdziestu sześciu kanałach kablówki nie było nic, absolutnie nic do oglądania, choćby pstrykał pilotem cały wieczór. - Przecież pracuję na was, dla was, wydajesz moje pieniądze i to jest okej. Ale jak zarabiam te pieniądze, nie jest okej, bo powinienem siedzieć w domu?

- Nie o to mi chodzi... - zaczęła, lecz nie dokończyła. Rozmyśliła się. Zbyła rozmowę machnięciem ręki. Jeśli wcześniej oddalali się od siebie, to teraz stali już na dwóch dryfujących krach oddzielonych pasmem rwącej, lodowato zimnej wody. Tego wieczoru znowu przyszła jej do głowy natrętna, niedająca się odpędzić myśl. „A co by było,

gdybym była z Marcinem? Gdybym z nim spędziła jedną

trzecią mojego życia w jednym łóżku!”

Przed pójściem spać jeszcze na chwilę usiadła przed komputerem, sprawdziła, co nowego na forum e-mamy. Poradziła dziewczynie z gorączkującym dzieckiem, jak zbić temperaturę. Pogratulowała innej kolejnych zębów u jej niemowlaka i wreszcie zajrzała do Outlooka. Pięć nowych wiadomości: dwa powiadomienia o aukcjach na Allegro, jedna wiadomość z pracy - przypomnienie o raportach za grudzień, dwie reklamy usług bankowych. Zawsze ją bawiło, że ze swoimi niepewnymi i niewysokimi dochodami dostawała oferty kart kredytowych, super-kont, pożyczek bez limitu. Ciągłe zastanawiało ją, dlaczego te wyrafinowane metody wyciągania pieniędzy bank oferuje akurat jej. Czemu miałyby zasługiwać na linię debetową, kartę przedpłaconą, pożyczkę noworoczną? Tym razem po prostu wykasowała obie oferty i kliknęła na „nowa wiadomość”.

„Cześć, Marcinku...” , napisała. Zganiła się za poufałe zdrobnienie. Usunęła imię i zostawiła samo „Cześć”, a potem pisała już dalej.

„Mam nadzieję, że nasze spotkanie po latach nie okazało się jakimś strasznym niewypałem... wspomnienia wróciły do mnie, choć niektórych nawet nie pamiętałam... mam nadzieję, że to nie jest definitywny koniec naszej długiej znajomości, odezwij się jeszcze. Pozdrawiam Cię, T.”

Wyśłała wiadomość, zanim zdążyła się rozmyślić. Wie1 działa, że jeśli tego nie zrobi, to wykasuje ją i

nigdy już nie napisze. Będzie czekać na sygnał z jego strony, a on -pamiętała o tym - lubił milknąć na długo i nie dawać znaku życia. Nigdy nie wiedziała, czy to zapominalstwo i roztargnienie, czy próbował ją tym denerwować, sprawdzać jej cierpliwość. A może zwyczajnie miał nadzieję się jej pozbyć?

Kiedy wstała od komputera, Krzysiek już spał. Jeszcze rok, dwa lata temu obudziłaby go. Tego dnia nie miała ochoty. Zastanawiała się, jak to możliwe, że w ich małżeństwie po zaledwie dziewięciu latach zapanowała taka apatia. To prawda, nigdy nie byli w sobie płomiennie zakochani, nie spędzali całych dni, patrząc sobie w oczy. Zaczęło się od przyjaźni i przez krótki okres nasycenia, dobrego seksu, partnerskich rozmów ewoluowało z powrotem w stronę nie tyle nawet przyjaźni, ile znajomości.

„To tak jakbym mieszkała ze współlokatorem w akademiku - zwierzyła się kiedyś Teresa znajomym na forum internetowym. - Ja sobie, on sobie. Ja wychodzę, on wychodzi. On je na mieście, ja jem w domu. Łączy nas wspólna pralka i rachunek za światło”.

Tak jak się spodziewała, nikt nie zrozumiał. Na- forum panowała swoista poprawność polityczna. Kłopotów małżeńskich nikt nie omawiał. Prym wiodły dziewczyny, które głośno przechwalały się tym, że są ze swoimi mężami od chwili, kiedy narodziła się ich seksualność. Żony swoich pierwszych mężczyzn, szczęśliwe od kilkunastu lat, od podstawówki zakochane i wpatrzone w swoich partnerów. Teresa najczęściej czuła się przy nich jak rozpustnica, nimfomanka, ze swoimi czterema mężczyznami w życiu i swoimi wątpliwościami.

„Namiętność się wypala, ale pozostaje wspaniała przyjaźń i dobry seks; intymność i radość bycia we dwoje - pouczyła ją wtedy na forum jakaś dwudziestoparoletnia dziewczynka. - Nie chcesz chyba zmarnować tego wspaniałego związku dla jakichś przelotnych chwil rozkoszy? Nie warto”.

Teresa nie odpisała jej. Najwyraźniej ona nie знаła sytuacji, kiedy mąż wraca z pracy w środku nocy, wali się na kanapę przed telewizorem i po kwadransie zmieniania kanałów zasypia. Najwyraźniej dla niej dobry seks znaczył coś więcej niż obowiązkowe dwadzieścia minut pod kołdrą przy śpiącym dziecku w co drugą sobotę i po alkoholu. A może po prostu kłamała? Teresa uwielbiała wyobrazać sobie takie rozszczębotane dziewczyny, dobre do szpiku kości i pełne optymizmu, jak są zdradzane, poniewierane, jak ich roześmiane urocze twarzyczki zmieniają się w maski bólu i strachu. Oczywiście tego też nie napisała.

Teraz, późno w nocy, po napisaniu e-maila do Marcina Teresa poczuła, że zrobiła coś ostatecznego, że w jakiś sposób potwierdziła powolny rozkład swojego małżeństwa. Wiedziała, że nie jest w stanie przewidzieć, jak się zachowa, kiedy dostanie odpowiedź, a jak - kiedy jej nie dostanie. Jedno było pewne: będzie żyć dalej, z większym lub mniejszym wysiłkiem grać rolę dobrej żony i matki, entuzjastycznej nauczycielki, obojętne, co się stanie lub nie. Tak jak kiedyś.

DAWNIEJ

Telefon zadzwonił, kiedy Teresa i Krzysiek szykowali się do wyjścia. Mieli jechać do znajomego, tradycyjnie przesiedzieć noc przy muzyce i piwie. Był majowy wieczór po deszczu. Woda parowała z

rozgrzanych chodników. Ulica widziana z balkonu lśniła świeżo wymytą czernią asfaltu. Panowała cisza, którą pomiędzy powrotami z pracy a pierwszymi sąsiedzkimi awanturami przerywał co jakiś czas zgrzyt tramwaju na Marszałkowskiej.

Głos w telefonie z początku wydawał się Teresie nieznamy, ale imię - Andrzej - budziło skojarzenia. Przysięga, mundur, Agnieszka. I najważniejsze - Marcin. Jego spojrzenie, którym wodził za tamtą myszowatą dziewczyną, obrazy z pamięci. Kładka na dworcu w Skierniewicach i stukot-obcasów na schodach tej kładki.

- Jesteśmy w centrum i zastanawiamy się, czy można wpaść do ciebie - powiedział głos. Teresa wstrzymała oddech. - Możemy? Jestem z chłopakami.

- Możecie. Kiedy?

- Za piętnaście minut?

Zgodziła się, miała uczucie, jakby grunt usunął się jej spod nóg. Wszystko dookoła wirowało. Coś miało się zmienić, czuła to. Nadchodziło coś, na co czekała, nawet podświadomie. Zagrzebała się w mule. Mały skorupiak przerażony zagrażającym światem, zbudowała sobie osłonkę ze spotkań z Krzyśkiem, uciekła od niebezpiecznych fal i sztormów, ale teraz czuła się tak, jakby odebrała sygnał, że nadchodzi sztorm potężniejszy, niż zdoła wytrzymać. Odwróciła się od telefonu w stronę Krzyśka, który już był gotowy do wyjścia.

- Idź sam - powiedziała z uśmiechem przyklepionym do warg świeżo pomalowanych tandetną czerwoną szminką, która wtedy wydawała jej się szczytem luksusu.

- Co się stało? - spytał zdziwiony.

- Idź sam - poprosiła. - Ja zostanę. Ktoś, kogo dawno nie widziałam, chce wpaść za chwilę. Chcę się z nim zobaczyć.

Nie chciała go traktować tak, jak kiedyś traktowała Łukasza. Nie zasługiwał na upokorzenia. Był dobry, kochający i delikatny. Byłby ideałem, gdyby poznała go wcześniej. Ale ponieważ poznała go później, skazała go na rolę namiastki, postawiła na z góry przegranej pozycji.

Nie wyszedł. Został. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Tamtej nocy wszystko zaczęło się naprawdę i nieodwołalnie. Tamtej nocy wszystkie możliwe przyszłości, jakie jeszcze pozostały na rozstajnych drogach, zwinęły się. Pozostała jedna możliwa ścieżka do wyboru. Od momentu przywitania Teresa czuła się jak zahipnotyzowana. Świat dookoła przestał istnieć. W niewielkim pokoju w starej kamienicy, na podłodze z dębowych desek, pod łukowym oknem naprzeciw półek zastawionych książkami, pośród rozrzuconych w beładzie książek, notatek, okładek płyt Teresa, Marcin i ktoś jeszcze, chyba Maciej – ten krępy z baczkami - grali w karty i pili piwo. I nic poza tym nie istniało. Było duszno - czy to z powodu majowego deszczu, czy dlatego że pięć osób tłoczyło się w małym pokoiku, a może dlatego że kiedy Teresa prowokacyjnie prostowała nogi w ciemnych rajstopach i odrzucała włosy do tyłu, to Krzysiek spał na wysłużonej wersalce odwrócony plecami do wszystkich. Wiedziała, że robi mu krzywdę, że nie

powinna... Ale kiedy po kolejnym piwie zamienili się miejscami z Andrzejem, tak że mogła siedzieć obok Marcina, niby niechcący dotykać kolanem jego kolana, przypadkowo muskać dłońią jego ramię przy rozdawaniu kart... Kiedy słyszała ten prawie niesłyszalny dźwięk westchnienia... wstrzymania oddechu, zapomniała o krzywdzie, o postanowieniu. Zupełnie jakby ten śpiący na kanapie mężczyzna nigdy dla niej nie istniał. Po którymś kolejnym rozdaniu przegrała. Podniosła wzrok na twarz Marcina. Miał wyraziste, ostre rysy, wydatny nos, podbródek gladiatora. Gęste ciemne brwi dodawały jego oczom głębi. Czarne włosy, falujące i lekko za długie, wilgotne od dusznego powietrza, przykleiły się do czoła. Patrzył na nią przenikliwie, bez słowa. Powróciło wspomnienie tej nocy, kiedy się poznali. I jego słów: „Nie teraz. Jeśli coś ma się zdarzyć, to się zdarzy”. Była więcej niż pewna, że jeśli coś miało się zdarzyć, to właśnie się zdarzało. Jak wypadek samochodowy obserwowany w zwolnionym tempie, kiedy już wiemy, że nikt nie wyjdzie z tego żywy, że za chwilę ten powolny, taneczny, hipnotyczny wręcz proces będzie mieć swój hałaśliwy finał w głośnym trzasku przedniej szyby przebijanej głową kierowcy. I że od tej pory nic nigdy już nie będzie takie samo.

- I co teraz? - zapytała z uśmiechem.

- Teraz... pocałuj mnie. Proszę - powiedział, najwyraźniej też zahipnotyzowany i pozbawiony swojego uporu i siły woli przez ten proces, który rozgrywał się w nich. Proces podobny do działania nieustępliwego, miążdżącego wszystko lodowca.

Przybliżyła twarz do jego twarzy. Poczła ustami miękkość skóry na jego policzku, delikatność tak bardzo niepasującą do jego wyglądu. Przyszła jej do głowy absurdalna myśl, że to nieprawdopodobne, by tak wysoki, kanciasty mężczyzna miał tak niesłychanie delikatne policzki. Nie pocałowała go, tylko trwali w bezruchu. Ona chłoneła jego zapach, dotyk. Na zawsze, na wypadek gdyby na następne spotkanie musiała czekać kolejne długie miesiące. W tym ułamku sekundy zrozumiała, że znalazła swoje miejsce na ziemi i że chce pozostać tam zawsze.

- Hej, przestańcie!

Ktoś stał nad nimi, krępy, z wydatnym nosem, poruszał ustami... Po chwili dźwięk znowu zaczął docierać do uszu Teresy, a Marcin, który sądząc po spojrzeniu, także utracił żelazną samokontrolę, podniósł wzrok i spytał:

- Co mówiłeś?

- Przestańcie - powtórzył Maciej - przestań, stary. Pani jest zajęta, nie podrywaj pani, to nie fair - wskazał kciukiem za siebie na wersalkę, gdzie Krzysiek spał nadal odwrócony plecami do pokoju. Jak za przekręceniem wyłącznika Teresie wróciła jasność myśli, poczuła palący wstyd: nie powinna wyprawiać takich rzeczy, całować się z obcym mężczyzną, podczas kiedy jej chłopak śpi/tuż obok. Jej partner - najlepszy, jakiego do tej pory miała. I najbardziej wart miłości i uczciwości.

- Tak - powiedział Marcin z trudem, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy. - To nie fair.

I dotknął kciukiem jej ust, jakby chciał zmazać z nich dotyk swojej skóry, przekreślić to, co się właśnie stało. Bez efektu. Jeśli wcześniej obserwowali krakę w zwolnionym tempie, to teraz widzieli swoje



zakrwawione zwłoki na asfalcie, potłuczone szkło. To, co miało się stać, właśnie się stało.

Kiedy nazajutrz pojechali we dwoje odwiedzić Andrzeja do jednostki, z której wyszedł na weekendową przepustkę, w świetle dnia próbowali zachowywać się jak zwyczajni znajomi. Uważali bardzo, żeby się nie dotknąć. Nie trzymali się za ręce. Całą drogę do Dworca Zachodniego rozmawiali o niczym. Wspominali wyjazd na przysięgę, oglądali zdjęcia. Wracając, postanowili jeszcze zajrzeć do Zielonej Gęsi, napić się piwa. Siedzieli na ławach po dwóch stronach drewnianego stolika. Po trzech piwach Teresa wyciągnęła z plecaka długopis i pracowicie podpisała się na drewnianej ścianie. Marcin zabrał jej długopis z ręki i wpisał obok jej imienia swoje inicjały. Roześmieli się. Wracali do centrum metrem, świeżo otwartym, czystym i lśniącym, wagony świeciły pustkami, nieliczni pasażerowie patrzyli z dezaprobatą na wysokiego chłopaka ubranego na czarno i niską blondynkę na obcasach, którzy chwiali się lekko od nadmiaru piwa. Dotarli do centrum, do Koszykowej. W bramie oficyny stwierdzili, że trudno im się rozstać. Teresa zdecydowała: „Idziemy do mnie”. W domu przy kuchennym stole siedzieli matka, jej narzeczony i jej znajomi. Było szaro od dymu. Wino, grecka muzyka z taśmy. Bracia w swoim pokoju jak zwykle oglądali telewizję.

- Weź sobie obiad - zatrzymał Teresę głos matki.

- A dla kolegi mogę? - spytała. Bez potrzeby. W domu zawsze było dość jedzenia dla kolegów, koleżanek, niespodziewanych gości, sąsiadek i znajomych. Nałożyła dwa kopiaste talerze ziemniaków, mięsa i gotowanych szparagów. Uwielbiała szparagi, zawsze w maju zajadali się szparagami całą rodziną, jedli je palcami, polaną roztopionym masłem. Miękkie i gorzkawe.

- Co to jest? - spytał Marcin nieufnie. - To warzywo jakieś?

- No - roześmiała się - szparagi, moje ulubione. Jedli te kotlety i szparagi palcami, siedząc na podłodze, oparci plecami - on o komodę, ona o wersalkę. Nie mieli już siły rozmawiać. Wypite piwo powoli ulatniało się, pozostawiając po sobie lekki ból głowy.

- To ja zadzwonię do ciebie - powiedział Marcin na pożegnanie, wynosząc w kieszeniach kilka pożyczonych książek. Wyrzała za nim z balkonu. Pomachała mu, kiedy zniknął w perspektywie ulicy, idąc w stronę Marszałkowskiej.

TERAZ

- Czekanie na telefon w dwudziestym pierwszym wiek znacznie różni się od czekania na telefon w wieku dwudziestym - skonstatowała Teresa, wyjmując komórkę z kieszeni swojej zielonej kurtki i kładąc ją na biurku w czytelni obok rozłożonych prac domowych uczniów, książek d Business English i rozklekotanego magnetofonu. Czytelnia dla lektorów była prawie pusta wczesnym popołudniem. Mało kto przychodził o tej porze, pierwsze zajęcia zaczynały się o siedemnastej, a było ledwie po trzeciej. Teresa rozsiadła się wygodnie nad kubkiem parującej kawy z firmowego ekspresu. Wzięła do ręki czerwony długopis i utkwiała wzrok w wypracowaniu pod ekscytującym tytułem My best Holidays. „Moje najlepsze wakacje...”,

pomyślała i oczywiście jak zawsze poszybowała myślami do la ta 1995 roku - chociaż wtedy nie wyjechała na wakacji w ogóle, jeśli nie liczyć tygodnia w deszczu pod namiotem typu igloo na kempingu numer cztery w Chałupach. „Moje najlepsze wakacje składały się głównie z czekania na telefony”, pomyślała i po raz kolejny zerknęła na ekran komórki. Z ekranu uśmiechał się Krzysiek i zrobiło jej się głupio na samą myśl o tym, że czeka, aż były facet zadzwoni na telefon, na którym jest zdjęcie jej męża. „Mimo wszystko - stwierdziła - czekanie na telefon w roku 2006 jest znacznie wygodniejsze niż dziesięć lat wcześniej”. Nie trzeba warować godzinami przy wysłuzonym czerwonym aparacie, który był niezwykle nowoczesny, bo zamiast tarczy miał przyciski. Nie trzeba ścigać się z matką i braćmi do telefonu, kiedy tylko zadzwonił, ani znosić upokarzających żartów młodszego rodzeństwa, kiedy po raz kolejny odbierała telefon zdyszana po biegu przez całe mieszkanie i natrafiała na głos babci w słuchawce albo, co gorsza, na którąś z ciotek, a potem musiała wydawać z siebie przez kilkanaście minut pomruki w rodzaju „yhy” i „tak”, dopóki rozmówca nie przypomniał sobie, że to rozmowa na jego rachunek. Nie trzeba wreszcie biec z aparatem do swojego pokoju, ciągnąc za sobą dziesięć metrów kabla, chałupniczy przedłużacz sklejonny przez Łukasza taśmą izolacyjną. Jeszcze pamiętała, jak go sklejał. I nadal na dźwięk powiedzonka: „Elektryka prąd nie tyka”, miała ochotę zgrzytać zębami. Zamykała się w pokoju z telefonem, a bracia warowali pod drzwiami i przekrzykiwali się dowcipnymi uwagami. Marzyła wtedy o telefonach bez kabla - telefonach, które można by zabrać ze sobą do miasta i które pokazywałyby, kto dzwoni. Ale w tamtych czasach komórki były atrybutem przedsiębiorców. W reklamach panowie w garniturach przechwalali się dumnie z aparatami wielkości luksusowego wydania Biblii: „Szef pożyczył mi swoją komórkę!”. Normalni ludzie mieli aparaty z przyciskami i poklejonym kablem. Albo korzystali z budek telefonicznych.

Teresa wyrwała się z rozmyślań telekomunikacyjnych i wróciła do tekstu o najlepszych wakacjach. Cóż za niespodzianka, najlepsze wakacje rozgrywały się we Włoszech, a w roli głównej w tekście występował niejaki Gianni and his big black eyes. Teresa rzygała wypracowanymi. Znała je na pamięć. Była w stanie zacytować co głośniejsze fragmenty z ostatnich trzech lat swojej pracy. I z zamkniętymi oczami przewidzieć, gdzie i jaki znajdzie błąd. Znalazła trzy brakujące rodzajniki, jedno niegramatyczne zdanie. Podkreślała je z furią na czerwono, marząc o dniu, kiedy wreszcie straci samokontrolę i napisze na którymś wypracowaniu stek błędów, a następnie da się zamknąć w wygodnym spokojnym szpitalu psychiatrycznym, gdzie nikt, ale to nikt nie będzie mówił z błędami po angielsku. Telefon zadzwonił specjalnym dzwonkiem przeznaczonym dla obcych, a twarz Krzyśka na wyświetlaczu zastąpiło białe okienko z napisem „zastrzeżony”.

- Tak, słucham - rzuciła obojętnie. Standardowe zawodowe powitanie. Dobre dla biura tłumaczeń, dla teściowej i akwizytora.

- Cześć - usłyszała znajomy głos. - Tu Marcin. Dostałem twojego e-maila.

- Aha - udało jej się zachować obojętny ton, jak zawsze w rozmowach z nim. Długie miesiące pracowała nad tym, żeby głos nie zdradzał jej uczuć. - Cześć. Co słychać?

- Mam pomysł - ciągnął. - Umówmy się gdzieś we czwórkę. Sporo ostatnio pracujemy z Paulą, nie spotykamy się z nikim, a nie chcę jej zostawiać samej w domu w jej stanie.

- Stanie?! - Teresa nie wiedziała, co powiedzieć. - Masz na myśli, że twoja żona jest w ciąży?
- No tak... Na to wygląda - zaczął jakby przepraszająco, ale za chwilę dodał: - Teraz nasza kolej, no nie? Wszyscy dookoła już mają dzieci.
- Gratulacje - powiedziała machinalnie.

Umówili się wstępnie i skończyli rozmowę. Jak zwykle z poczuciem, że powiedzieli coś zupełnie innego, niż chcieli powiedzieć. Teresa zawsze zastanawiała się, czy ich związek nie zawalił się właśnie przez tę kompletną nieszczerłość u samych fundamentów; przez to, że zbudowali go na kłamstwie, na udawaniu; że to właściwie nie jest żaden związek, tylko jakieś niedookreślone spotkanie się połączone z chodzeniem do łóżka. Teraz było za późno, żeby zdejmować maski. Zastąpiły im one twarze. Rozmawiała nie kobieta z mężczyzną, a zadowolona trzydziestolatka matka-dzieciom i szczęśliwy mąż robiący karierę.

Teresa wróciła do sprawdzania pracy o włoskich wakacjach i postawiła na górze dużą zamaszystą literę D obwiedzioną kółeczkiem. Pod spodem wykaligrafowała starannie swoim nauczycielskim charakterem pisma, specjalnie zaokrąglanym i bardziej czytelnym niż zwykle gryzmoły: „Proszę poprawić błędy gramatyczne i ortograficzne”. Zemsta na kimś niewinnym, przeniesienie frustracji na przygodną ofiarę. „Nie ma to jak raz a porządnie kopnąć kota po upokorzeniu”, pomyślała z mściwą satysfakcją.

Pauli pomysł spotkania od początku nie bardzo się podobał. Jest zmęczona, ciągle przysypia. Pierwszy trymestr dopiero dobiega końca, a ona już czuje się gruba i ociężała. Przestała mieścić się w dżinsy i musi rozpinąć guzik w spódnicy, kiedy siada. Do tego nadal mdli ją od silnych zapachów. Wejście do sklepu mięsnego jest torturą, a zepsuta śmietana wygoniła ją do łazienki w chwili otwarcia drzwiczek lodówki. Na dodatek boi się konfrontacji z postacią, o której wie bardzo mało, a przeczuwa, że dla jej męża była to kiedyś bardzo ważna osoba. Dlatego Paula szykuje się niechętnie, z ociąganiem. Na ponaglenia Marcina dobiegające zza przymkniętych drzwi łazienki reaguje mruknięciami. Wreszcie wychodzi niezadowolona z efektu. Ma wrażenie, że błękitny sweter opina się niebezpiecznie na biuście, że kilogram, który przytyła przez ostatnie jedenaście tygodni, rozpycha się w dole brzucha. Włosy nie chcą jej się układać, a oczy wyglądają na zapuchnięte.

- Pięknie wyglądasz, aniołku! - mówi Marcin zachwycony, a Paula omal nie wybucha płaczem na te słowa. Nie wie, co się z nią dzieje, ale nagle brzmią one nieszczerze. Ma wrażenie, że powiedział to, aby ją pocieszyć. Paula potrzebuje dotyku, przytulenia; potrzebuje długiej nocy pełnej niespiesznego seksu. Ale wie, że w zasadzie nie ma na co liczyć. Jej mąż boi się o dziecko. I ona też chyba bardziej się boi, niż pragnie. Wychodzą, schodzą na dół. Na obskurnym podwórku czeka taksówka. Paula wsiada z przodu, zapina pasy z pedantyczną dokładnością. Ruszają.

Teresa też boi się spotkania, ale ona się nie ociąga. Wręcz pogania Krzyśka, który z kolei wlecze się i co chwila znika w łazience albo przed komputerem.

- To tylko znajomi - mówi Teresa. - Nie obrażaj się tak.

- E, nie obrażam się - mówi Krzysiek z miną, która wyraża coś wręcz przeciwnego. Wolałby iść gdziekolwiek, tylko nie na spotkanie z tym facetem, który zawsze go denerwował. On w tak oczywisty

sposób fascynował Teresę mimo jej usilnego udawania, że tak nie było. Krzysiek nie ma ochoty na kolejne roztrząsanie pytania, czy jego żona sypiała z tym przemądrzałym przystojniakiem. A jeśli nie, to dlaczego czuje do niego taki sentyment przez te wszystkie lata. Pamięta jeszcze czasy przed ślubem, kiedy słyszał: „Marcin to, Marcin tamto, ale to tylko przyjaźń, nie obrażaj się”. Pamięta, jak tamten z jakąś dziwną dziewczyną składał im życzenia ślubne. Brzmiało to zupełnie jak „oddaję w dobre ręce” czy coś w tym rodzaju. Krzysiek nie ma ochoty na spotkania z takimi ludźmi z przeszłości. Poza tym uważa prawników za krętaczy i kłamców i najchętniej wolałby spędzić ten wieczór, oglądając telewizję przy biegających dzieciach. Dzieci są szczerze, nie kłamią, nie udają. Wdrapują się na kolana, zamiast odwracać się plecami w łóżku i zasypiać nad książką.

- Dlaczego nie pójdziesz sama? - pyta wreszcie z rozdrażnieniem.

- Nie bądź śmieszny! - mówi Teresa z napięciem w głosie i dodaje pod wpływem impulsu: - Puściłbyś mnie samą?

- Skoro to tylko dawny znajomy... - Krzysiek zawiesza głos i brzmi to prawie jak pytanie. Teresa ucieka wzrokiem i zmienia temat. Krzysiek przygląda się jej uważnie. Ubrała się tak, jakby za wszelką cenę nie chciała wyglądać atrakcyjnie: w czarny golf i brązowe sztruksy. Na szyi jakieś drewniane korale na rzemykach, brązowe zamszowe buty. Od bardzo dawna nie ubierała się bardziej wesoło, atrakcyjnie. Zawsze sztruksy, dzinsy, golfy, rzeczy, które miały zakrywać, nigdy odkrywać. Zastanawia się przez chwilę, dlaczego jego żona właśnie na to spotkanie wybrała tak proste, asekualne ubrania. Czy próbuje coś zamaskować, czy czegoś się boi? Sam włożył dzinsy i pasiasty sweter, w którym podobno wygląda młodziej niż w garniturze.

Wreszcie wychodzą. Zostawiają niani ostatnie instrukcje i schodzą przed blok, gdzie już czeka taksówka.

Dwa samochody podjeżdżają z dwóch stron. Parkują, cztery osoby wysiadają z taksówek, idą powoli pod drzwi pubu, Aleje Jerozolimskie o tej porze w piątek jeszcze się korkują. Pałac Kultury jest ledwo widoczny we mgle. Biało-granatowy wieżowiec odbija zielony neon hotelu naprzeciwko. Przed hotelem Sobieski smętnie powiewają trzy flagi. Warszawa w zimowej szacie, hałdy odgarniętego śniegu: powoli czernieją od spalin. Latarnie świecą żółto, płyty chodnikowe są krzywe jak połamane zęby. Łód odbija światło latarni i neonów. Pub, czy może restauracja, ma drzwi z grubego drewna, wystrój w stylu wiejskiej chaty. Miejsce jest starannie dobrane, tak aby nie przywoływało żadnych wspomnień z przeszłości. Witają się przy szatni. Mężczyźni biorą od kobiet płaszcze i podają szatniarzowi. Nawet w przyćmionym świetle Teresa bardzo uważnie studiuje twarz Pauli i znajduje w niej to, co chciała znaleźć - oznaki ciężowego zmęczenia, lekko podpuchnięte oczy. Twarz wydaje jej się bardzo znajoma, mimo zmiany fryzury i braku okularów. Teresa wyteża pamięć, która podsuwa jej obraz lustra i światła jarzeniówek. Błada naga twarz w obramowaniu białego ręcznika, srebrna folia...

- Czy myśmy się nie spotkały u fryzjera? - wypala w stronę Pauliny i widzi w oczach tamtej ten sam błysk rozpoznania.

- Tak - odpowiada Paula. - Na Puławskiej, prawda? Obcinałaś grzywkę.

- O rany! Świat jest malutki! - Teresa cieszy się przez chwilę prawie szczerze, zaczynają rozmowę o sprawach niewiele znaczących.

- Zawsze tam chodzisz? - pyta Paula.

- Tak, pracuję w pobliżu, przy Kazimierzowskiej.

- Uczysz angielskiego, prawda?

- Tak. A ty co robisz?

- Jestem analitykiem, pracuję w firmie konsultingowej - wyjaśnia Paula.

- O, to będziesz miała o czym rozmawiać z Krzysiem - cieszy się Teresa. - Krzyś, posłuchaj, Paula też pracuje .v finansach!

Przez twarz Pauli przelatuje szybki grymas i równie szybko znika. Paula nie lubi rozdawania ról. Boi się, że to jakiś zabieg, przypisanie jej do męża tamtej, żeby tamta jej mąż mogli w spokoju porozmawiać. „Nie wpadaj v paranoję”, karci sama siebie w myślach. Nad stolikiem nachyla się kelner.

- Co do picia dla państwa na początek?

Szybka narada, obie pary zamawiają wino, a dla Pauli wodę mineralną z cytryną. „Najwyraźniej Paula należy do grona tych przewrażliwionych ciężarnych, które odmawiają sobie nawet łyku wina”, notuje w myślach Teresa, zauważa, że tamta bezwiednie trzyma dłoń na ledwo widocznej wypukłości brzucha, jakby chroniła dziecko przed wymyślanym zagrożeniem. Ten gest, naturalny u kobiety w zaawansowanej ciąży, a dziwny, kiedy jeszcze nic nie widać, denerwuje Teresę. Przypomina jej pierwsze tygodnie pierwszej ciąży, kiedy też tak chodziła, jakby była ze szkła, chroniąc niewidoczny jeszcze brzuch; tak ubrana, jakby była pierwszą w historii ciężarną. Teresa czuje się staro, ale jednocześnie uświadamia sobie swoją przewagę.

Mężczyźni rozmawiają o finansach, przepisach i ustawach, jakby codziennie spotykali się na piwie po pracy, mężczyźni jakoś zawsze nawiązują kontakt, wymieniają oglądy, znajdują jakieś neutralne tematy: samochody, filmy, polityka. Potrafią spędzić cały wieczór, gadając, bez wahań, gierki słownych, złośliwości, po czym rozstają się w przekonaniu, że spędzili atrakcyjnie czas. Między Teresą a Pauliną zapada chwila krępującej ciszy. Łowią strzępy rozmowy:

- Nie, stary, zajrzyj do ustawy, tam jest jasno napisane.

- Słuchaj, przecież w świetle tego, co pisali w „Rzecie”, powinno być możliwe...

- Nie jest możliwe, ja ci to mówię. Możecie oczywiście zaryzykować, ale nawet dla tak dużej firmy...

Teresa obserwuje, jak gestykują nad kieliszkami, w których połyskuje głęboką czerwienią wino. Sama sączy powoli ze swojego kieliszka. Dzisiejszy wieczór nie byłby odpowiednim czasem na upicie się, mimo to już pomału czuje przyjemne ciepło i o ułamek sekundy za długo wpatruje się w twarz Marcina, a on chyba wyczuwa jej spojrzenie, bo odwraca się nagle w jej stronę. Teresa uśmiecha się, gubi myśl i

prędko przenosi wzrok na Paulę. Ma tylko nadzieję, że ona nie dostrzeże rumieńca na jej twarzy.

- Wiesz już, gdzie będziesz rodzić? - pyta dla podtrzymania rozmowy. Ale i dlatego że w głowie kiełkuje jej pewien plan.

- Nie wiem - odpowiada Paula. - Pewnie na Madalińskiego, bo to najbliżej... Znasz kogoś, kto tam rodził?

- Urodziłam tam Marysię. To cud, że obie przeżyłyśmy - mówi Teresa. Koloryzuje lekko, ale widzi, że temat chwycił. Teraz planuje opowiadanie Pauli odpowiednio ubarwionej historii swojego porodu. I rzeczywiście, tamta łapie haczyk.

- Właściwie nie powinnam ci tego opowiadać - zaczyna. - Ale czuję moralny obowiązek ostrzec wszystkie kobiety przed tym szpitalem.

Kiedy po paru zdaniach Teresa dochodzi do opisywania nagłej cesarki, widzi, że Paula już robi się zielona, i przerywa.

- Nie powinnam ci tego opowiadać.

- Co? - wtrąca się Krzysiek. - Czy moja żona zabawia cię opowiadaniem o porodach?

- Nie, opowiadaj, opowiadaj - domaga się Paulina. - Chcę wiedzieć, w końcu jestem zupełnie niedoświadczona.

Na szczęście dla niej w tej chwili znowu pojawia się kelner. Chce się zorientować, czy będą coś jedli. Rozdaje jadłospisy. Wszyscy pogrążają się w lekturze. Potem kelner wraca i przyjmuje zamówienia.

- Sałatkę ze szparagami poproszę - mówi Teresa. I dodaje, patrząc na Krzyśka: - Wiesz przecież, jak uwielbiam szparagi.

Kiedy przynoszą sałatki, chleb ze smalcem, talerz serów, zapada cisza. Tematy powoli się wyczerpują. Druga butelka wina jest już w połowie pusta. Nie sposób z pełnymi ustami opisywać trudnych porodów i rozmawiać o ustawach. Teresa czuje, jak powoli robi jej się gorąco od alkoholu. Po urodzeniu dzieci prawie nie piła. Teraz już dwa kieliszki wystarczają jej do rozluźnienia. Obserwuje twarz Pauliny, która w skupieniu wyławia ze swojego talerza listki młodego szpinaku. Obserwuje mężczyzn, którzy jedzą łapczywie, dużymi kęsami. Szczupły łysawy blondyn o odrobinę zbyt nalanej twarzy i postawny kanciasty brunet, jeden o delikatnych rysach, drugi o grubo ciosanych. Jeden w okularach w rogowej oprawce - wzrok Krzysztofa popsuł się szybko od laptopa i czytania dokumentów po nocach; drugi bez okularów. Dwaj mężczyźni jej życia razem przy stole. Zawsze chciała ich obu, nigdy nie chciała wyrzec się żadnego z nich. Jak to się stało, że musiała? Przypomina sobie słowa swojej matki: „Dziecko, jeśli zaczniesz się spotykać z dwoma mężczyznami, to za parę miesięcy będziesz chciała z oboma spać, obu urodzić dzieci i obu gotować obiady, a tak się nie da. Będziesz nieszczęśliwa, dopóki z czegoś nie zrezygnujesz”. Zrezygnowała więc i jak każdy po dokonaniu wyboru miesiącami żałowała oraz wierzyła, że gdyby wybrała inaczej, byłoby lepiej. A teraz, po latach, kiedy na nich patrzy, nadal nie wie, z którym wolałaby wyjść z tej restauracji do wspólnego domu.

Teresa kończy swoją sałatkę, dopija wino z kieliszka i wstaje. Po drodze do toalety zabiera torebkę przewieszoną niedbale przez oparcie ciężkiego dębowego krzesła. Potrzebuje zapalić w spokoju, bez wyrzutów sumienia, że oto zatruwa śmiertelnie przerażoną ciężarną kobietę. Wchodzi do przedsiionka toalety, ściany mają kolor czerwonego wina - na nich gdzieniegdzie złote i srebrne ornamenty. Psychodelicznie. Naprzeciwko dwoje drzwi do toalet - męskiej i damskiej. W kącie korytarzyka stoi kosz na śmieci. Teresa wyciąga paczkę vogue'ów, opiera się o ścianę i zaciąga głęboko dymem. Czuje się już lekko oszołomiona winem. W lustrze na ścianie widzi swoje nienaturalnie błyszczące oczy. Wyjmuje z torebki błyszczki, poprawia usta, pudruje nos. Z damskiej toalety dobiega chichot. Wychodzą dwie postawne dziewczyny w falbaniastych spódnicach, ciągnąc za sobą smugę słodkiego, ciężkiego zapachu. Teresa dopala papierosa, już ma go zgasić, nachyla się nad koszem na śmieci, kiedy czuje na ramieniu lekki dotyk. Nie musi się odwracać, żeby wiedzieć, kto to.

Marcin stoi nad nią, wyższy o dwie głowy. Beżowa sztruksowa marynarka narzucona na czarny T-shirt. Opiera się dłońmi o ścianę po obu stronach Teresy. Zamknął ją jak w klatce.

- Kiedy się zobaczymy tylko we dwoje? - pyta.

- Nie wygłupiaj się - syczy ona. - Co z twoją żoną? Jest w ciąży. Zapomniałeś?

- Nie zapomniałem - mówi on. - Nikt się nigdy nie dowie. Chyba że ty jej powiesz.

- Kiedy chcesz? - pyta Teresa, która nie jest już w stanie myśleć logicznie. „Jedna noc, jedna godzina. Nikt się nie dowie. Nikogo nie skrzywdzimy. To nie grzech”, przelatuje jej przez głowę.

- Może tu i teraz? Zawsze robiliśmy „to” w dziwnych miejscach, pamiętasz?

- Przestań! - szepcze Teresa ze złością. Zła na samą siebie, że znowu ulega jego urokowi; że najchętniej zgodziłaby się na „tu i teraz”. - Przestań, napij się wody. Idź zabawiać mojego męża rozmową o ustawach i przepisach, a ja pójdę do toalety. Wrócę, pogadamy jak kulturalni ludzie i dzwonicmy się jutro.

- Dobrze - mówi i wychodzi z korytarzyka. Teresa w tym czasie poprawia włosy, zapala drugiego papierosa, wreszcie idzie umyć ręce.

Przy stoliku pojawia się kelner z kolejną butelką czerwonego wina i szklanką wody z cytryną dla Pauli.

- Zostawili nas samych - śmieje się nieszczercze Paula, żeby pokryć męczącą ciszę.

- Zawsze będą nas zostawiać - mówi Krzysiek. Po paru kieliszkach wydaje mu się to dowcipne, ale Paula reaguje nerwowo.

- Czy oni kiedyś...? - zawieszają głos.

- Nie wiem i nie chcę się dowiedzieć - macha ręką Krzysztof. I zmienia temat: - Gdzie pracujesz?

Marcin wraca do stolika, kiedy oboje pogrążeni są już w rozważaniach o egzaminach. Zastanawiają się, czy lepiej zdać LCCI czy BEC, żeby znać angielski na poziomie odpowiednim do stanowiska. Po chwili wraca też Teresa. Przysłuchuje się przez chwilę, po czym grzebie w torebce i wyjmuje stamtąd pomietą

wizytówkę.

- Gdybyś chciała coś zdawać, zapisz się do naszej szkoły - mówi. - Mamy wysoką zdawalność i będziesz miała blisko.

- Dobrze, dziękuję - odpowiada Paula. - Zapamiętam.

Jeszcze pół godziny rozmowy o niczym. Jeszcze po kieliszku wina, wreszcie Paulina dyskretnie ziewa i patrzy na zegarek, co dla wszystkich jest sygnałem do wezwania taksówek. Kiedy już wkładają płaszcze - Teresa biało-czarny tweedowy, a Paula długi jasnopopielaty - Teresa rzuca nagle pod wpływem impulsu:

- Wiesz, Paula, może byśmy się spotkały we dwie? Mam trochę ubranek po Jasiu, wózek, leżaczek, może wam się przydadzą?

- Dzięki. - Wygląda na to, że Paula jest naprawdę zadowolona.

Rozchodzą się w dwie strony, do dwóch taksówek. Żegnają się ostrożnymi uściskami dłoni.

Teresa i Krzysiek wracają do domu w milczeniu. Po powrocie też nie mówią wiele, dzieci już śpią, a niania przysypia przy powtórce Casablanki na kanale TCM. W podgrzewaczu stoi naszykowane mleko dla Jasia. Marysia mamrocze coś przez sen. Niania żegna się i wychodzi, a oni bez słowa idą kolejno do łazienki, myją zęby. Spotykają się w sypialni - Teresa jak zwykle ma przygotowany kubek herbaty miętowej i książkę, ale tym razem, zanim otworzy powieść i weźmie kubek do ręki, Krzysztof gasi światło. Kochają się krótko, bez zbędnych słów i gestów. Pasują do siebie od pierwszego spotkania. Klucz i zamek. Tym razem nie jest to zwykły cosobotni obowiązek. Jest inaczej, bardziej intensywnie. Teresa w pewnej chwili zdaje sobie sprawę, że nie jest pewna, czyją twarz widzi nad sobą. Dwa obrazy nakładają się na siebie, mieszają, a potem już nic nie ma. I dopiero po chwili orientuje się, że tży lecą jej ciurkiem spod przymkniętych powiek, że szlocha jak dziecko.

- Teresko - Krzysiek delikatnie dotyka jej pleców. -Czy coś się stało? Sprawilem ci ból? Nie chciałem.

- Nie, nie. Nic mi nie jest - Teresa nie ma siły nic więcej powiedzieć. Zaspia jak kamień chwilę później, zostawiając swojego męża bezsennego na powierzchni oceanu nocy.

DAWNIEJ

- Co właściwie chcesz mi opowiedzieć? - Anka jest zaintrygowana, zdziwiona, przejęta.

Siedzą we dwie w Harendzie. Jest dziesiąta rano. Obie miały zajęcia od ósmej, a potem urwały się na kawę. Teresa przysła piechotę z placu Trzech Krzyży, ze swojego wydziału. Zabrała Ankę z hallu polonistyki. Wyszły tylną bramą wprost na Oboźną - jedyne miejsce w Warszawie, które przypomina San Francisco. Ulica biegnąca stromo w dół, do Harendy, i dalej - do parku i Instytutu Lingwistyki na dole. Siedzą na drewnianych ławach, popijają kawę. W barze panują ciemność i zaduch mimo majowego słońca na zewnątrz, zapach setek tysięcy wypalonych papierosów i rozlanych piw.



- Zakochałam się - mówi Teresa bez wahania. - Zakochałam się pierwszy raz w życiu i pierwszy raz w życiu chyba z wzajemnością.
  - Mówisz o Krzyśku? - dziwi się Anka, znowu bawiąc się tymi swoimi koralikami. Na palcach ma srebrne pierścionki, a jej paznokcie mają kolor głębokiej czerwieni.
  - Nie, nie mówię o Krzyśku. To znaczy Krzysiek jest fajny, jest nam dobrze ze sobą. Mój ojciec go lubi, a jak mój ojciec kogoś polubi, to już coś znaczy. Pamiętasz, jak nienawidził Łukasza?
  - Nie obraż się, ale ja też nie lubiłam Łukasza. - Anka wybucha śmiechem. Przyjaciółka jej wtóruje.
  - Wiem, wiem, dałaś mu to wyraźnie do zrozumienia.
  - Ale o co chodzi z Krzyśkiem? Co jest nie tak?
  - Nic nie jest nie tak - Teresa jest zła, czuje, że do przyjaciółki nie dociera podstawowa prawda. - Wszystko jest jak trzeba. Tylko że się zakochałam.
  - Opowiadaj - rozkazuje tamta, patrząc na nią uważnie. - Widzę, że coś się dzieje, ale pamiętam różne twoje odchyły. Pamiętam jakiegoś typa, z którym chodziłaś do szkoły, a potem rzekomo byłeś w nim zakochana.
  - Nie - zaprzecza Teresa. - To nie ma nic wspólnego z odchyłem, z typem ze szkoły. To jest ktoś całkiem nowy i... - zawiesza głos na chwilę. - I nie wiem, co mam robić. Nie wiem, zupełnie nie wiem. To znaczy jest Krzysiek, jest kochany i dobry. Świetny w łóżku, świetny do rozmowy. Kocham Krzyśka albo mi się wydawało, że go kocham... I jest ktoś nowy. I jak na niego patrzę, to jest jak piorun, jakby coś mnie spalało od środka. Muszę zbierać całą siłę woli, żeby się na niego nie rzucić. I wiesz, co jest najlepsze? On chyba czuje to samo.
  - Nie bądź taka młodopolska, Jezu. Jak piorun, też coś! - Anka wybucha śmiechem, ale już po chwili poważnieje: - Jak ja mam ci pomóc?
  - Nie wiem. Chyba chciałam tylko komuś o tym opowiedzieć, zanim zwariuję.
  - Wiesz, mam pomysł - mówi Anka. - Pamiętasz Beatę? Wysoka blondyna. Jest ze mną na roku.
  - Pamiętam. Ale co ma do tego Beata?
  - Beata ma koleżankę z osiedla, która jest, delikatnie mówiąc, dziwna. Ta koleżanka nazywa się Agata i jest jasnowidzem. Wróży z kart. Zawsze chciałam się do niej wybrać i dać sobie powróżyc, może się zgodzi postawić karty i tobie.
- Teresa jest zachwycona.
- Myślisz, że ta Agata się zgodzi?
  - Zobaczymy. Zadzwonię do niej dzisiaj, umówię się z nią i dam ci znać.

Dopijają kawę i wychodzą na zewnątrz, mrużą oczy oślepione południowym słońcem. Dwie przyjaciółki. Niska i wysoka, blondynka i brunetka. Ta niska w dżinsach ta wysoka w czarnej spódnicy do ziemi - obie wspinają się Obożną w górę i rozchodzą się w dwie różne strony żeby zdążyć na wykłady o dwunastej.

Teresa umówiła się z Marcinem po zajęciach. Zbiega z czwartego piętra szybciej, niż zjechałaby straszną, ciasną, przedpotopową windą w tłumie koleżanek z grupy. Nie zdołała się z nikim tak naprawdę zaprzyjaźnić, więzi z znajomymi ze studiów są powierzchowne. Ledwo pamięta, jak której dziewczynie na imię. Kojarzy Kasie, z którą teraz na wyścigi zbiega ze schodów. Z Kasią chodzi na gramatykę historyczną i na składnię. Kasia słynie z tego, że zamówiła w Burger Kingu hamburgera bez bułki i, o dziwo, go dostała. I z tego, że już studiowała. W Anglii.

- Teresa, masz chwilę? - pyta Kasia. - Może skoczyłybyśmy do biblioteki i na ksero odbić książkę do składni?

- Nie mogę, ktoś na mnie czeka - odpowiada Teresa. Przed nimi już ostatnie skrzydło schodów. Kasia staje jak wryta.

- Nie mów, że to ten facet czeka na ciebie? - wskazuje oczami wysoką, przygarbioną sylwetkę Marcina.

Teresa uśmiecha się:

- Ten, a bo co?

- A nic, tylko ci, kobieto, zazdrozczę! - szepcze Kasia i skręca w prawo, do drzwi na podwórko, w którym mieści się biblioteka. Teresa niemal sfruwa po ostatnich schodach. Marcin wstaje na jej widok z ławki w hallu. Witają się uściskiem dłoni. Od pocałunku w policzek wtedy u niej w mieszkaniu nic się między nimi nie zdarzyło. Utrzymują dystans, zachowują się jak znajomi. Teresa nie wie, co o tym myśleć, czy jej to odpowiada (przynajmniej czuje się mniej winna wobec Krzyśka), czy czuje się odrzucona. Nie chce nic zaczynać. Czeka na pierwszy ruch z jego strony. Boi się, że pośpiechem mogłaby coś zepsuć.

Idą przez Nowy Świat do baru Bajka - maleńkiej klitki, której wystrój pamięta chyba lata sześćdziesiąte. Trzy czy cztery maciupieńkie stoliki ze szkłem na blatach i sztucznymi kwiatami w wazonikach. Liczą pieniądze w portfelach. Nowe złote mieszają się ze starymi. Niecałe pół roku po denominacji cały czas myślą w milionach, ale starają się mówić o nowych złotych. Teresa przegląda utarg zebrany z korepetycji - dwa niebieskie banknoty stutysięczne z Moniuszką, jedna brązowa dziesięciozłotówka; razem trzydzieści złotych i trochę bilonu. Prawie fortuna, ale i tak zamawiają tylko kawę. Kawę podaje się tu w wyszczerbionych szklankach wkładanych w metalowe ażurowe ochraniacze z uszkiem. Fusy sięgają do wysokości ochraniacza. Wyżej brązowa woda. Osiem i pół tysiąca starych złotych, osiemdziesiąt pięć nowych groszy. Cukiernica na bufecie pamięta czasy, kiedy było to miłe, modne, nowoczesne miejsce.

Teresa płaci za swoją kawę, a bufetowa leje powoli wrzątek z aluminiowego czajnika na grubą warstwę fusów, po czym schyla się nad szufladę w bufecie w poszukiwaniu reszty. Wtedy szklanka z kawą wydaje z siebie donośne „ping!” i pęka, prawie eksploduje. Czarna ciecz z fusami rozlewa się nieapetycznie po laminowanej powierzchni bufetu. Wrzątek pryska na rękę Teresy, zostawiając kilka czerwonych plamek na przedramieniu i grzbiecie dłoni. Bufetowa podskakuje jak oparzona, a może też się oparzyła. Wyciera

kawę ściereczką. Teresa zapomina o swojej reszcie, wpatruje się jak zahipnotyzowana w resztki szklanki utrzymywane już tylko dzięki ażurowemu koszyczkowi i, wbrew zdrowemu rozsądkowi, czuje, jakby właśnie dostała jakiś znak.

Już zawsze będzie pamiętała ten dźwięk przewiercający małe, ciasne wnętrza kawiarenki, parzące krople na dłoni skojarzone z ciemnowłosym chłopakiem w czarnym swetrze, który wstaje zza małego stolika z zatroskaną miną i pyta:

- Co się stało? Pomóc ci?

- Nie, nic, nawet mnie nie poparzyło - mówi Teresa beznamiętnie. Odbiera nową kawę, a w głowie dźwięczy jej coś jak ostrzeżenie: „Uważaj, bo się sparzysz!”.

- Kobieto, przestań już nareszcie z tą szklanką! - wścieka się Anka w tramwaju dwa dni później. Tramwaj jedzie przez jakieś kompletnie nieznane Teresie rejony. Za oknem przesuwiają się jakieś kominy, mały kościółek, cmentarz, puste pola. Jadą do Agaty, wróżki. Ledwo wchodzą w drzwi małego mieszkania w bloku z wielkiej płyty, wita je sama Agata - trochę przed trzydziestką, pucłowata, z włosami ufarbowanymi na rudo. Zupełnie nie sprawia wrażenia wróżki ani osoby „dziwnej” - wygląda jak urzędniczka, sekretarka. Zresztą podobno pracuje w jakiejś firmie handlowej.

- Agata, ratuj i uwolnij mnie od tej wariatki - woła Anka, potrząsając głową. Jej czarne loki rozsypują się malowniczo. - Szklanka jej pękła w knajpie i teraz o niczym innym nie mówi.

Teresa rozsiada się na podłodze w jedynym pokoju, jego umeblowanie stanowi regał z książkami, rozkładany fotel i stół jamnik na wysoki połysk. Anka siada obok. Gospodyni rzuca im poduszki z fotela, przynosi kawę i jakieś ciastka. Powoli tasuje karty. Patrzy badawczo na Teresę.

- Wiesz, że ty możesz mieć rację, że to znak... - mówi.

Ma niski, przyjemny głos. Jakby wypaliła w życiu tysiące papierosów. Rzeczywiście, nawet teraz pali. Papieros tli się na popielniczce niewątpliwie ukradzonej z jakiejś knajpy - czarnej popielniczce z napisem „Marlboro”.

- Coś jest przed tobą - ciągnie Agata, odkładając karty na ławę obok popielniczki. - Coś, wielkiego, jakiś związek, który cię naznaczy do końca życia.

Teresa czuje, jak ciarki przechodzą jej po plecach, mimo że przez okno wpada jeszcze wieczorne słońce wydłużające cienie i rzucające czerwone odbłaski na ściany.

- On teraz wyjechał - mówi Agata powoli.

- Wyjechał... do swojej dziewczyny, do Skierniewic czy gdzieś - wpada jej w słowo Teresa, podekscytowana.

- Wyjechał, ale wróci. Do ciebie zawsze wróci. Choćby musiał łapać okazję, to wróci. Tylko czekaj cierpliwie.

Agata wreszcie rozkłada karty, rozrzuca je niedbale. Każe Teresie wybrać dziesięć, po czym odkłada je na bok i układa w kształt krzyża obrazkami do dołu. Pierwsza odsłonięta karta przedstawia nagich kobietę i mężczyznę. Pomiędzy nimi wiję się wąż. Z drugiej karty szczyrzy zęby szatan otoczony złowieszczymi atrybutami swojej władzy. Agata kręci głową.

- Czegoś takiego jeszcze nie widziałam... - mówi z namysłem. Teresa ma w domu talię tarota. Ma też kilka podręczników, ale nigdy dotąd nie odważyła się stawiać sobie kart. Teraz jednak mniej więcej domyśla się, co powie wróżka.

- Ty jesteś mężatką? - zaskakuje ją pytanie Agaty, która zaraz sama sobie odpowiada. - Niiiee, ale masz kogoś. To teraz tylko od ciebie zależy, jak to rozegrasz. Masz decyzję do podjęcia. A i tak, cokolwiek wybierzesz, będziesz cierpieła. Albo ktoś inny będzie cierpiał przez ciebie.

Agata składa karty z suchym trzaskiem i tasuje je jeszcze raz, dla Anki. Zdane egzaminy, sukces zawodowy, ciąża... Odsłaniają się kolejne miecze, puchary i monety. Szatan razem z parą kochanków zasnęli bezpiecznie ukryci wewnątrz talii. Dla Ani przeznaczone są bezpieczne, spokojne karty. A potem już szelest składanych kart, czerwony aksamitny woreczek, w którym zostają schowane do szuflady, wróżka na powrót przemienia się w rudą dziewczynę z lekką nadwagą, na stole pojawia się butelka sofii merlot i rozmowa zbacza na codzienne tematy.

Dwa dni później Teresa i Krzysiek idą do kina, przed seansem popijają kawę, siedząc na białych plastikowych krzeselkach w bufecie kina Polonia, które już podupada, ale jeszcze wyświetla całkiem przyzwoite filmy.

- Wiesz - mówi Teresa - chyba najlepiej byłoby, gdybyśmy się na jakiś czas rozstali.

Mówi to spokojnie. Nie spodziewa się gwałtownej reakcji. W końcu ich związek jest bardzo przyjacielski. Nie ma w nim wybuchów namiętności, nie ma buzujących hormonów. Czasami nawet wydaje się jej, że woli z nim rozmawiać, niż sypiać, choć jak już lądują w łóżku, jest bardzo dobrze. Krzysztof zaskakuje ją kompletnie, wygląda na przerażonego.

- Dlaczego? - pyta. - Co się stało?

- Nie mówmy o tym. Po prostu chyba tak byłoby lepiej...

- Zrozum - mówi on. - Nie chcę się z tobą rozstawać. Kocham cię. Jest nam dobrze. Dlaczego chcesz to zepsuć?

- Nie wiem - odpowiada z wahaniem. - Może zawsze psuję wszystko, co idzie za dobrze. Ale wydaje mi się, że tak będzie najlepiej. Nie mówię na zawsze, na jakiś czas. Chcę sobie coś uporządkować w głowie.

- Czy to ma jakiś związek z tym... Marcinem? Czy chcesz powiedzieć, że spotykasz się z nim?

- Spotykam się - odpowiada ona - ale nie tak, jak myślisz. Chyba... lubię spędzać z nim czas, rozmawiać...

Mówi prawdę, a przynajmniej nie kłamie i sprawia jej to niewyobrażalną ulgę. Nie wie, czy potrafiłaby skłamać, gdyby coś się zdarzyło. To jednak nie wystarczy, twarz Krzyśka jest nagle zmięta, zmęczona do granic.

- Może nie mam racji, ale chyba o to jestem najbardziej zazdrosny - mówi. - Już chyba wolałbym, gdybyś mi oznajmiła, że spaliście ze sobą.

- Tego ci nigdy nie oznajmię. Nawet gdyby tak było - odpowiada Teresa i wstaje od stolika.

Ma dość tej dyskusji. Żałuje, że naprzeciwko niej nie siedzi Łukasz, biedny, głupi Łukasz z prawem jazdy na spychacz, w marmurkowych dżinsach. Łukasz był jak pies przybłąda. Można było go kopać, a on się łaścił mimo ostrzegawczych warknięć, jakie od czasu do czasu wydawał. Łukasza skrzywdziłaby bez namysłu, opowiedziałaby mu ze szczegółami, co jej się podoba w tamtym i dlaczego tamtemu nie dorównuje. Cieszyłaby się jego upokorzeniem. Nie potrafi zrobić tego Krzyśkowi, który siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach nad parującą filiżanką, jakby robił sobie inhalację z kawy. Teraz już wie, że nawet jeżeli coś się wydarzy, on nigdy się o tym nie dowie, jest zbyt dobry, żeby go stracić, skrzywdzić, odepchnąć.

## TERAZ

Paula jakoś zupełnie niepostrzeżenie i na pewno wbrew własnej woli polubiła Teresę. Nie zdawała sobie dotąd sprawy z braku przyjaciółki; z tego, że kiedy w jej życiu wydarza się coś ważnego, nie ma do kogo zadzwonić poza mamą i mężem. Koleżanki z pracy oczywiście są miłe, spędzają razem czas na rozmowach w bufecie albo w małym barze sałatkowym na dole biurowca, czasami, kiedy nie ma zbyt wiele pracy, przesiadują w kuchence firmowej przy dźwięku bulgocącego cichutko ekspresu do kawy, jedzą kanapki z cateringu, owinięte w plastikową folię, alb zupki z kubka, opowiadają sobie różne rzeczy o dzieciach te młodsze o klubach i chłopakach, plotki o firmowych parach, ale więź jest słabiotka i pryska z wybiciem godzin siedemnastej. Wtedy wymykają się pojedynczo do toalet poprawić makijaż i odświeżyć się wodą w sprayu, bo klimatyzacja wysusza im skórę na wiór, nawet oczy pieką po całym dniu. A potem znikają w garażu podziemnym albo idą grupkami na przystanek. „Cześć. Do jutra”. I znikają w swoich samochodach i autobusach.

Paula najczęściej chodzi do domu piechotą. To niedaleko - w dół Goworka do skrzyżowania przy dawnej księgarni Uniwersus, z której został nędzny mały salonik w suterenie banku. A dalej to już kilka minut wzdłuż szarej pierzei ulicy Gagarina. Zapyziałe sklepiki spożywcze, jubiler, zakurzona wystawa zegarmistrza. W drodze zrzuca z siebie wszystkie myśli związane z pracą, rozkoszuje się ciszą, śniegiem, zimnem, widokiem nagich drzew w łązienkach; czuje się odświeżona i wypoczęta. Wędruje sama i ta samotność zaczyna jej dokuczać. Część znajomych dziewczyn z ogólniaka została w Białymstoku. Powychodziły za mąż zaraz po maturze, porodziły dzieci bezrobotnym chłopakom, gdy tylko ci wrócili z wojska. Teraz spędzają czas pomiędzy domem a sklepem spożywczym. Bawią się na weselach młodszych siostr, dorabiają do zasiłku rodzinnego, patrzą, jak ich mężowie nie znajdują trzeciej, czwartej, kolejnej pracy, aż wreszcie ich horyzont ogranicza się do sklepu monopolowego i wypraw z kumplami na giełdy samochodowe. Inne, te bardziej ambitne, powyjeżdżały. Jedna czy dwie za granicę, jedna robi karierę w

Warszawie, już na studiach dostała się - jak Paula - do korporacji, ale w przeciwieństwie do Pauli wyrwała do przodu w warszawskim wyścigu szczurów. Nie można się do niej dodzwonić. Sekretarka informuje miłym głosem: „Dyrektor Łazarek będzie wolna za trzy dni, proszę spróbować. Tak, przekażę. Oddzwoni”.

Po kilku próbach Paula przestała telefonować. Więzy ze studiów nigdy nie były mocne. Koleżanka od spotkania Patriotów odzywa się czasem. Na więcej, na przyjaźnię, nie starczyło czasu przez te pięć lat, wypełnionych przykładowym życiem piątkowej studentki. Potem w jej życiu pojawił się Marcin, jego znajomi, zwykle mężczyźni, wieczory wypełnione nauką do egzaminów, politykowaniem. Koledzy z aplikacji radcowskiej. Obserwowała ich przemianę z hałaśliwych podrostków w statecznych panów mecenasów w garniturach. Przez pierwsze lata ich związku Paula czuła się częścią tego świata, nie miała potrzeby posiadania własnego kręgu znajomych. Właściwie nie potrzebowała nikogo poza Marcinem. Dlatego znajomi z roku rozmyli się gdzieś w tle. Czasem na ulicy widzi znajomą twarz: „Cześć... Co słyszała?... Tyle lat od dyplomu... Zadzwoń koniecznie...” Po czym rozchodzą się w różne strony.

Teresa ujęła ją swoją brutalną szczerością, tym, jak opisywała swój koszmarny poród, tym, że nie wygląda na matkę dwójki dzieci, a swoje doświadczenia macierzyńskie komentuje z humorem, nie robi z siebie matki Polki. A Paula bardzo potrzebuje kogoś normalnego, nienawiedzonego, z kim mogłaby porozmawiać. Bo teraz, w ciąży czuje, że przeżywa doświadczenie, o którym może rozmawiać tylko z inną kobietą.

Dlatego przyjęła zaproszenie Teresy na oglądanie ubranek po Jasiu. Pewnego wilgotnego i zimnego dnia Paula wsiadła do autobusu i wybrała się w kierunku Włoch.

Od razu spodobało jej się nowe osiedle. Skromne, kolorowe bloki tworzące prostokąt, wewnątrz którego znajduje się wesoły plac zabaw dla dzieci. Zimą oczywiście jest tu cicho i spokojnie, zjeżdżalnie i drabinki drzemią pod śniegiem, ale Paula widzi oczyma wyobraźni tłum dzieci biegających dookoła, zjeżdżających i przekrzykujących się radośnie.

- O, tak. Oszaleć można - przytakuje Teresa na te przy puszczenia. - Latem od rana do nocy wrzask i ten cholerny żwirek. Najlepsza zabawa to sypać żwirek na zjeżdżalnię, nie masz pojęcia, jakie to denerwujące! - i wybuch śmiechem. Siedzą przy dużym sosnowym stole w kuchni oddzielonej od salonu tylko niewielkim bufetem. Wszystko tu jest jasne, proste, ikeowska meblościanka w okleinie brzozonej, stolik z Ikei ze szklanym blatem w solidnej sosnowej oprawie, prosta kanapa z kremowym obiciem, beżowy puchaty dywan w brązowe geometryczne wzory. Teresa wędruje wzrokiem za spojrzeniem Pauli, w kierunku kanapy i pasujących do niej foteli.

- Uprane, na twoją cześć. Normalnie jest prawie czarna... Jasiu, nie! - wykrzykuje nagle i podrywa się z krzesła. Za chwilę wraca, trzymając w ręku długopis, a pucułowaty blond dwulatek w zielonych rajstopkach rzuca się na podłogę z okrzykiem: „Oddaj moje pisiu!”

- Moje pisiu, nie twoje. No, już wiesz, co miałam na myśli - uśmiecha się do Pauli. - Piorę te pokrowce raz na dwa tygodnie, jak już nie widać białego spod plam. Kupcie sobie czarną kanapę, zanim urodzisz. I czarny dywan.

Teresa nalewa kawy do filiżanek, wyjmuje z szafki kuchennej ciasteczka, po czym znika na chwilę i wraca z sypialni z dwiema ogromnymi reklamówkami pełnymi niemowlęcych ubranek.

- Jak coś ci się nie podoba, to od razu mów - zastrzega. - Nie obrażę się.

Ubranka wysypują się na kremową kanapę. Sterta śpiochów, body, kaftaników i rajstopek. Każda rzecz przywołuje wspomnienia. Są tu jeszcze różowe, typowo dziewczęce ubranka z pierwszych miesięcy życia Marysi, donoszone przez Jasia. Są poszarzałe od ciągłego prania białe body z ledwo widocznymi śladami po pierwszych soczkach marchwiowych. Są wizytowe sukieneczki i dżinsy, firmowe sweterki założone najwyżej dwa, trzy razy, zawsze „za dobre” na co dzień, zawsze chowane w kącie szuflady na lepsze okazje. A kiedy uroczyste okazje nadchodziły, wszystkie te cuda okazywały się oczywiście już za małe. Paula czuje się jak dziecko w sklepie z zabawkami. Jest oszołomiona obfitością ubranek. Przygląda się uważnie zapięciom, tasiemkom, zatrzaskom. Próbuje dojść, jak się te rzeczy wkłada, zapina; z której strony będzie wystawać mała tyśa główka, a z której dwie tłuściutki nóżki. Odkłada wszystkie. Nie jest w stanie znaleźć takiego, które by się jej nie podobało. Wszystkie mają urok ubranek dla lalki pożyczanych od starszej koleżanki. Paula oczyma duszy widzi te śpioszki i kaftaniki schnące na suszarce rozstawionej na balkonie, wyobraża sobie prasowanie tych ubranek w sierpniowym upale, kiedy będzie już wielka i ociążała, składanie i pakowanie ich do „szpitalnej” torby. Nagle wstrząsa nią dreszcz. Przypomina sobie przesąd zasłyszany od ciotki Haliny albo od swojej chrzestnej matki: „Nie kupuj nic dla dziecka, do póki się nie urodzi, bo ściągniesz na nie nieszczęście!”. Tak to chrzestna matka, ciotka Jadwiga, kuzynka i rówieśniczka jej mamy, boleśnie doświadczona przez los. Paula przypomina sobie jak przez mgłę jej syna, który mając dziewięć lat, wpadł pod pekaes na drodze do miasta. Od tamtej pory ciotka Jadwiga zawsze chodziła w czerni, zapadła się w siebie, a kiedy parę lat później jej mąż zabrał rak płuc (kara za dwie paczki ekstra mocnych bez filtra wypalane co dzień od czasów Gomułki), ciotka stała się kimś w rodzaju pustelnicy. Paula i jej matka były jedynymi osobami, które utrzymywały z nią kontakt. Paula drży na wspomnienie słów chrzestnej - zawsze w rozmowie z nią czuła się nie swojo, miała dziwne wrażenie, że ciotka widzi więcej niż inni, że tragedia wyostrzyła jej wzrok i pozwoliła sięgnąć poza granice tego, co widzialne. Na szczęście, racjonalna strona jej umysłu, „mądra dziewczynka” tkwiąca wewnątrz uparcie powtarza, że to przesąd. Mimo to, kiedy Teresa wraca z sypialni z naręczem bucików, kurteczek i kombinezonów, Paula ma dość nieszczęśliwą minę, gapi się w ścianę i bezwiednie miętosi w dłoniach seledynowe śpioszki.

- Źle się czujesz? - niepokoje się Teresa. Pamięta, jak sama w drugiej ciąży mdlała gdzie popadło. Raz zemdląca w sklepie i po ocuceniu zupełnie nie pamiętała, gdzie zapodziała Marysię. Skończyło się dobrze, córeczka grzecznie stała przy regale z gazetami.

- Nie - Paula uśmiecha się z ulgą. - Zamyśliłam się. Tak się zastanawiam, jest taki przesąd, żeby w ciąży nie kupować nic dla dziecka... No, niby w to nie wierzę, ale nie wiem, czy powinnam brać te ubranka od ciebie teraz...

- Bzdura - ucina Teresa. - Po pierwsze, nie kupujesz ich, tylko dostajesz za darmo. Po drugie, co weźmiesz dla dziecka do szpitala? Kawalek szmaty? Nie wygłupiaj się!

Paulina czuje ulgę i wdzięczność za ten rozsądek brzmiący w głosie Teresy. Polubiła ją. Dziwne. Zwykle

potrzeba jej dużo więcej czasu, żeby się do kogoś przekonać. A tu od razu, po trzecim spotkaniu polubiła tę kobietę, którą kiedyś podejrzewała o romansowanie ze swoim mężem.

- Masz rację - mówi Paula. - Ale wiesz, w pierwszej ciąży chyba każdej kobiecie takie głupoty chodzą po głowie - śmieje się zakłopotana.

- Wiesz - mówi Teresa po chwili wahania - to dopiero brzmi jak przesąd. Jeśli chcesz, mogę cię umówić ze znajomą, która wróży z kart. Wiem, jak to brzmi – teraz Teresa śmieje się lekko zażenowana - wiem, że myślisz sobie, że jestem nienormalna. Ale wszystko, co mi powiedziała, się sprawdziło.

- Serio? - na twarz Pauli wraca radosny uśmiech. Teresa, patrząc na ten uśmiech, czuje się, jakby była nie pięć, a piętnaście lat starsza. Ten absolutnie szczery, radosny uśmiech dziewczynki w połączeniu z jej niebieskimi oczami, szczupłą mimo ciąży i wyprostowaną sylwetką natychmiast daje odpowiedź na nurtujące Teresę pytanie, dlaczego akurat ona. Teraz już wie: akurat ona, bo jest całkowicie szczerą, czystą, nieskazitelną. Nie da się jej nie lubić, choć sprawia wrażenie nieco naiwnej i zagubionej, a przy tym nadmiernie pogodnej. Jest w niej coś, co nie pozwala jej od razu, jednoznacznie znienawidzić, zaklasyfikować jako rywalkę wredną, głupią, gorszą. Wręcz przeciwnie. Teresa w obliczu tego uśmiechu czuje się stara, zła, zepsuta i zgorzkniała i nawet nie ma ochoty jej krzywdzić.

Pojawiły się pod domem Agaty już następnego dnia. Teresa była zła na siebie, kiedy Paula wyszła od niej. Jak zawsze, pochopnie zaoferowała pomoc. Może dlatego że wbrew wszystkiemu polubiła rywalkę choć trochę, a może dlatego że sama potrzebuje wróżby, pocieszenia, kogoś, kto wysłucha i autorytatywnym tonem powie, że wszystko będzie dobrze.

Agata od pierwszego spotkania polubiła Teresę, spotykały się wiele razy, żeby rozkładać karty tarota i rozmawiać o ich znaczeniu. Teresa nauczyła się wszystkiego, czego potrzebowała, ale od chwili urodzenia Marysi nie dotykała swojej talii kart. Bała się zobaczyć coś, czego nie chciałyby się dowiedzieć, więc tylko wchodziła na strony internetowe, które generują losowy rozkład kart i udają gładkimi zdaniem, że przepowiadają przyszłość. Prawdziwe karty przez wszystkie te lata leżały w szufladzie zawinięte w czerwoną flanelową szmatkę.

Agata niewiele zmieniła się przez ostatnie dziesięć lat. Otwiera drzwi do swojego mieszkania - już wiele lat wcześniej przeprowadziła się z kłitki na Jelonkach do niskiego przyjaznego bloku w Ursusie, naprzeciwko stadionu. Mieszkanie jest urządzone ze smakiem, widać rękę dekoratora wewnątrz: kontrastowo pomalowane ściany, ścianki z luksferów pomiędzy korytarzem a kuchnią, proste meble z miękkimi poduszkami. Na ścianach plakaty z filmów z lat pięćdziesiątych, Dorotka podąża z Tchórzliwym Lwem drogą z żółtej cegły, a Gene Kelly tańczy w deszczu pod uliczną latarnią. Sama gospodyni wygląda prawie tak jak dawniej, lekka nadwaga upodabnia ją do siostry przełożonej z ulubionego serialu wszystkich gospodyń domowych, włosy w kolorze ognistej czerwieni obcięte w misternie postrzępione pasemka zdradzają rękę mistrza. Agata dobiega już czterdziestki, a może nawet ją przekroczyła, ale jej zielone przenikliwe oczy nadal są oczami zdziwionej dziewczyny. Z jednego z pokoi wynurza się towarzyska życia Agaty, chuda jak szkielet blondynka ostrzyżona prawie na łyso. Oficjalnie Marta jest współlokatorką i nikt nie dopytuje się głośno, czemu w trzypokojowym mieszkaniu jest tylko jedna sypialnia z podwójnym łóżkiem. Marta przegania z pufy wielkiego puchatego kota w kolorze śmietanki i



rozsiała się wygodnie.

- Co, Aga, znowu będziesz się bawić w czarownicę? - pyta niby żartobliwie, ale jej spojrzenie jest pełne troski.

- Nie męczcie jej za bardzo, dziewczyny - prosi. - Jest roztrzęsiona po tej tragedii na Śląsku.

Teresa przypomina sobie, że Agata oprócz daru czytania z kart ma dar - a może przekleństwo - odczuwania odległych zdarzeń. Katastrofy, wypadki, śmierć innych ludzi zsyłały na nią zawsze koszmarnie sny pełne wizji, głosów błagających o ratunek, obrazów cierpienia. Na szczęście, teraz nie wygląda na roztrzęsioną, wręcz przeciwnie, nalewa kawę do kolorowych filiżanek, a dla Pauli, niepytana, przygotowuje zieloną herbatę. Teresa łapie zdziwione spojrzenie Pauli i wyjaśnia szeptem:

- Ona wie, że jesteś w ciąży.

- Jak to wie? - szepcze Paulina. - Powiedziałaś jej?

- Nie, zwyczajnie wie - uśmiecha się Teresa. - Sama zobaczysz.

Kiedy już siadają wszystkie cztery na miękkich poduszkach wkoło niskiego stolika ze szklanym blatem, Agata sięga do szufladki niewielkiej komody po talię kart. Patrzy badawczo na Teresę i uśmiecha się.

- Bardzo jestem ciekawa, jak to możliwe, że wy dwie jesteście tu razem - mówi. - Ale chciałabym pogadać z wami pojedynczo. Martucha, zrozumiesz, prawda?

- Jasne, już znikam - chuda wstaje z pufy i wycofuje się do sypialni, zgarniając po drodze egzemplarz „Activista” z poręczy sofy. Słychać stuknięcie zamykanych drzwi. Paula też wstaje, rozgląda się niepewnie dookoła, czuje się niepotrzebna.

- U Marty w pokoju jest telewizor - mówi Agata. - I sterta rzeczy do czytania. O ile znam Teresę, nie zajmie mi więcej niż dziesięć minut.

Kiedy Paula wychodzi z pokoju, Agata powoli zaczyna tasować karty, zniża głos do szeptu.

- Wrócił?

- Niedokładnie... - jąka się Teresa. - My jeszcze nic...

- Ale wrócił, tak? Pokazał się, spotkaliście się, a ty teraz przyprowadzasz mi jego kobietę, żebym jej wywróżyła troje zdrowych dzieci i karierę kierowniczkę działu;

- Co ty wyprawiasz? Czasami cię podziwiam - Agata kręć głową z niedowierzaniem i rozkłada karty na dymne szkło stolika. Właściwie nie musi nic mówić. Teresa tylko patrzy, zna te karty na pamięć. Diabeł, pokusy, żądza ciała, romans. Kochankowie. Wybór. Trudna decyzja. Koło Fortuny. Puchary. Mnóstwo Pucharów. Same uczucia. Żadnych Monet, żadnych Mieczycy ani Buław. Na konie triumfalnie rozpycha się karta Wieży. Ta karta kojarzy się Teresie tylko ze stratami: ze śmiercią ojca, utratą pracy. Miała nadzieję więcej tej karty nie zobaczyć, teraz wywołuje w niej strach. Teresa jeszcze się łudzi, że chód, coś

marginalnego, jakąś drobną porażkę, ale Agata odrywa się.

- Proste jak drut - mówi. - Będziesz miała romans i całe życie ci się zawali. Chyba że zadziałasz w porę. Nie wiem, jak się skończy - mówi szybko, widząc przerażone spojrzenie Teresy. - Mam nadzieję, że zejdziesz się znów z Krzyśkiem, bo go zawsze lubiłam, a tego drugiego znam tylko z kart i z twoich opowieści. W każdym razie lepiej, żebyś wróciła do Krzyśka, bo z tamtym już nic dobrego cię nie czeka. Huśtawka do końca życia.

Agata z trzaskiem składa karty na kupkę i z furią zaczyna je sortować kolorami. Teraz Teresa wychodzi do drugiego pokoju, włącza telewizor i machinalnie zaczyna oglądać jakiś talk-show. Nastawia się na kilkanaście minut samotności, więc wgapia się w telewizor i zaczyna wczuwać w problemy ludzi zaproszonych do programu, kiedy dobiega ją wołanie Agaty.

-Już, wracaj!

Paula siedzi z wyraźnie zawiedzioną miną i Teresa czuje wyrzuty sumienia. Nie rozmawiają o kartach, bo o tym się nie rozmawia. Dopiero później, kiedy już wypity kawę, ubrały się i wędrują w kierunku przystanku autobusowego, Paula wybucha:

- Kazała mi na siebie uważać, bardzo uważać. I powiedziała, że nic nie może mi o dziecku powiedzieć, że go „nie widzi” w kartach!

- Wiesz, może za wcześnie... - pociesza ją Teresa, ale w głębi duszy czuje lęk. Karty zawsze pokazywały jej własne cięższe od początku, a Agata przecież już od wejścia zauważyła stan Pauli. Wniosek może być tylko jeden: zobaczyła coś złego i nie chciała nic mówić. Teresa dobrze zna Agatę, pamięta dawne spotkania, rozmowy o przepowiadaniu śmierci, o tym, jak uwiera przymusowe milczenie. Mimo to i mimo własnego lęku przed przepowiednią, jaką dostała próbuje to wyprzeć, zagłuszyć racjonalnym myśleniem.

- Przepraszam cię - mówi. - To chyba nie był najlepszy pomysł. Może ona miała po prostu zły dzień, może tylko tak gadała, bo nie mogła nic zobaczyć. W końcu to tylko zabawa, prawda?

Rozstają się na przystanku. Teresa wraca do domu, odbierając po drodze Marysię z przedszkola. Idzie wolno, obok niej podskakuje dziewczynka z kucykami, szarpie za rękaw, opowiada bez chwili przerwy o wydarzeniach z przedszkola, ale Teresa prawie nie słyszy paplaniny córki. Patrzy w szare, ołowiane niebo, na którym rysują się nagie gałęzie nielicznych drzew podlewanych przez pokolenia siuškami kundli. Spogląda na szare ściany szczytowe fabrycznych bloków z lat sześćdziesiątych i wciąż zastanawia się: „Jak to się stało, że polubiłam Paulinę? Dlaczego już czuję się wobec niej winna?”. Podświadomie wie - Paulina jest prawdziwa, nie ma w niej żadnej skazy, fałszu, Teresa podziwia takie kobiety, te, które kochają prawdziwie bez wątpliwości i wewnętrznych pęknięć. Czasem ich nienawidzi, lecz ukrywa to uczucie głęboko wewnątrz. Wie, że cokolwiek zrobi, skrzywdzi tę dziewczynę, która jej nie wiadomo dlaczego zaufała. Powinna się wycofać, spalić numer telefonu, ale wie, że nie potrafi.

- Mamo, mamo! - Marysia szarpie ją raptownie za rękaw. - Obiecałaś, że kupisz mi chipsy i gazetkę „Barbi”. Chodźmy do sklepu!

Teresa otrząsa się i zauważa, że w zamyśleniu doszły już prawie pod sam blok, niemal wlokąc za sobą ledwie nadążającą za nią córeczkę. Zwalnia, wchodzi do sklepu i pogrąża się w rutynie codziennych zakupów. Soki, pieczywo, gazetka „Barbie”. Piątek, dzień bez zajęć w szkole. Dzień domowy. Dzień matki i żony.

## DAWNIEJ

Teresa dostała pracę na Targach Książki w Pałacu Kultury, sześć dni dźwigania kartonów, ustawiania książek, stania za ladą z przylepionym uśmiechem i odpowiadania na pytania. Pracowała tak już rok i dwa lata wcześniej. Znała doskonale miejsce i obowiązki. Ogromne sale Pałacu o sufitach zdobionych sztukateriami podzielono na niewielkie białe boksy, a w każdym umieszczono książki w najróżniejszych językach, na wszystkie tematy świata, a na stoisku Teresy były to głównie książki medyczne, popularnonaukowe, podręczniki akademickie, po angielsku, lakierowane oprawy zwodzą chętnych, którzy z westchnieniem rozczarowania odnajdują wewnątrz tylko setki wzorów i tablic. Dziesiątki tysięcy zwiedzających przelewają się między stoiskami. Rzeka głów. Klimatyzacja z poprzedniej epoki nie radzi sobie z upałem i wilgocią tysięcy ciał. W toaletach jest chłodniej. W połowie dnia Teresa wymyka się do bufetu na papierosa i do toalety zanurzyć ręce w zimnej wodzie, żeby choć trochę się ochłodzić. Pod koniec dnia, przed zamknięciem, jej biała bluzka jest przesiąknięta potem, włosy kleją się do czoła, ręce są lepkie i brudne, a gardło zasycha od kilkunastu kaw i papierosów wypalonych na zapleczu z koleżanką ze stoiska obok. Wreszcie - ulga. Przez głośnik ogłaszany jest komunikat o zamknięciu wystawy za kwadrans. Niedobitki zwiedzających wędrują do drzwi z torbami wypchanymi zdobycznymi długopisami, kalendarzami, notesami, pocztówkami, książkami z autografem. Teresa po raz ostatni wędruje do toalety, ochlapuje twarz i szyję, ogląda się, czy nikt nie widzi, i zdejmuje mokrą bluzkę. Myje się w kilka sekund mydłem w płynie, wyciera papierowym ręcznikiem, psika dezodorantem. Zdejmuje rajstopy i wyrzuca je do kosza w kącie - oczko nie do uratowania, szkoda prać. W dzinsach i świeżym T-shircie wędruje do wyjścia, schodzi po marmurowych schodach, czując się jak gwiazda rewii.

Marcin czeka na nią tuż przy głównym wyjściu oparty plecami o ścianę przy automacie telefonicznym. Pochylony, zamyślony. Czarne loki zasłaniają mu oczy. Teresa podchodzi znienacka. Witają się tylko uściskiem dłoni. Nic więcej. Jest za wcześnie na cokolwiek więcej. Idą na kawę do baru w Alejach Jerozolimskich. Ciepły wieczór, prawie letni. Nad Warszawą zbierają się granatowe burzowe chmury. Piją kawę, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Wracają już w kropiącym deszczu. Na horyzoncie gdzieś za Wisłą, niebo przecinają fioletowe nitki błyskawic. Idą do Nowego Świata i prosto przez plac Trzech Krzyży Mokotowską do Wilczej. Soczysta zieleń drzew niesamowicie wyróżnia się na tle burzowego nieba. Trzymają się za ręce, niemal jak przyjaciele, choć już wiedzą, że nie będą tylko przyjaciółmi.

- Mówiłaś komuś, że się spotykamy? - on przerywa ciszę.

-A ty?

- Ja nie powiedziałem Agnieszce. Chyba nie zrozumiałaby.

- Ja też nie powiedziałam Krzyśkowi.

- Są takie rzeczy, o których się nikomu nie mówi? - pyta Marcin natarczywie, jakby musiał natychmiast poznać odpowiedź. Teresa to w nim lubi i ma wrażenie, że zbyt wiele zaczyna w nim lubić. Dociekliwe pytania, rozmowy o niczym, dotyk jego dłoni na swojej.

- Chyba tak... - odpowiada. - Chyba nawet w małżeństwie są takie rzeczy... Nie można wszystkiego przeżywać razem, prawda?

Szuka u niego potwierdzenia, ale Marcin milknie. Odzywa się dopiero po kilkuset krokach, gdy skręcają w Wilczą.

- Nie chcę nikomu mówić o nas - mówi powoli - bo mam wrażenie, że coś się zaczyna. Nie chcę tego popsuć.

Deszcz pada już coraz mocniej. Krople bębnią o blaszane dachy przedwojennych kamienic, o kute balkony i rzeźbione gzymsy. Deszcz szumi w koronach nielicznych drzew, wymywa z nich kurz i nadaje im ten jedyny w swoim rodzaju kolor majowej zieleni. Kiedy dochodzą do bramy, są już przemoczeni do suchej nitki. Teresa czuje się oczyszczona świeżą, mimo jedenastu godzin pracy na targach. Pragnie, aby ten wieczór nigdy się nie skończył. Ale oto stoją już przed wejściem do klatki schodowej. Wąskie odrapane drzwi w rogu podwórka, jak zawsze popsuty domofon i liszaje odchodzącej farby na ścianach.

- Zadzwoń do ciebie - mówi Marcin. Teresa podnosi a niego wzrok i patrzy przez chwilę. Dostrzega mokre pasemko przyklejone do czoła i nie jest w stanie się powstrzymać. Sięga w górę i odgarnia mu to pasemko delikatnym, prawie niezauważalnym gestem. Wpatrują się w siebie przez chwilę prawie z bólem.

- Kiedy? - pyta Teresa. Poniża się tym pytaniem. Gdzieś pryska udawanie, że nic a nic jej nie zależy. „Trudno”, mówi sobie i powtarza: - Powiedz, kiedy zadzwonisz. To ważne. Nie potrafię czekać. Umieram, kiedy czekam.

- Jak najszybciej - odpowiada cicho i odchodzi w deszcz.

Teresa poprawia włosy i naciska guzik domofonu. Na górze czekają na nią Krzysiek i jej matka, gorący obiad herbata, łóżko.

- Przepraszam - mówi, wchodząc do mieszkania. - Zasiadłam się na kawie już po zamknięciu.

Wierzą jej, ale w tej chwili nic jej to nie obchodzi. Wymawia się zmęczeniem, odsyła Krzysztofa do domu i pada na łóżko.

Tak zaczyna się najważniejsze lato jej życia. Po latach, kiedy wymienia się wspomnieniami ze znajomymi z forów internetowych, które stały się jej bliższe niż rodzina, niż przyjaciółki ze szkoły - na pytania o najważniejszy moment swojego życia nigdy nie odpowiada tak jak inne kobiety. Powinna wymienić dzień ślubu albo poród pierwszego dziecka, dwa stereotypowo najważniejsze dni życia każdej porządnej kobiety; biały welon, krew, pot i usmarowany mazią płodową noworodek jako szczyty życiowych

osiągnięć - jasne rozbłyski na tle szarej rzeczywistości. Tak naprawdę z dnia ślubu pamięta gorączkowe przygotowania i nagły deszcz, który zakłócił, wydawałoby się, piękną czerwcową pogodę. Poród zapisał się jej w pamięci jako kilkanaście godzin nudy. Przykuta do łóżka pasem od KTG, gapiąca się w sufit, licząca skurcze... A na koniec jedyna atrakcja tego najdłuższego dnia - nagła cesarka zamieszanie, pikające urządzenia wokół, sen. Wybierając najważniejszy dzień swojego życia, Teresa zawsze rozważa dwa dni: ten, kiedy udało jej się uwolnić od Łukasza, lub ten majowy wieczór w deszczu po dniu spędzonym w pracy. Jak zwykle, nikt jej nie rozumie. I znowu czuje się odrzucona, niepasująca do wzorca.

To najważniejsze lato jest gorące jak rzadko kiedy w Warszawie i schizofrenicznie rozdwojone. Jest Krzysiek i życie z nim. Po niespełna roku od poznania się radośnie przewidywalne. Wspólne wyjścia, spotkania na mieście, noce spędzane coraz częściej razem przy milczącej aprobacie matki. Bracia Teresy, bliźniacy, kończą podstawówkę i zdali egzaminy wstępne do liceum. Oszołomieni dorosłością, włączają się po mieście z kolegami, co jakiś czas Teresa i Krzysiek zabierają ich ze sobą, ale częściej dają im na kino, żeby pozbyć się młodych i ich rozkrzyczanego towarzystwa z mieszkania. Ostatnie egzaminy w sesji, plany wakacyjne - kemping w Chałupach z parą niezbyt bliskich znajomych. Plany czekają na realizację z braku pieniędzy. Tymczasem kino, spacer, piwo na Starówce, imprezy przy gitarze. Znajomy Krzyśka ma własne olbrzymie mieszkanie na starym Mokotowie. Grube przedwojenne mury tłumią śpiew i muzykę. W jednym z pokoi urządzono pracownię malarską. Ściany zawieszono są ołówkowymi szkicami. Ktoś fotografuje, więc Teresa i inne dziewczyny pozują do setek artystycznych portretów, oglądają wspólnie stykówki, wybierają ujęcia. Z braku pieniędzy na odbitki portrety zostają na wieki w formie stykówek żółknących z biegiem czasu bezlitośnie. A pod tym wszystkim, jak podskórna rzeka, niewidoczna z zewnątrz, ale rwąca i zimna, dzieje się coś zupełnie innego. Teresa i Marcin spotykają się, wędrują po Warszawie i rozmawiają. Na razie tylko rozmawiają, poznają się wzajemnie. Fascynuje ich odmienność. On jest żarliwy, porywczy, potrafi dyskutować z zapałem zarówno o wierze, jak i o polityce czy filmach. Ona mówi spokojnie, cicho, ważąc słowa. Nie wie, jak bardzo może się przed nim odsłonić, co może go zrazić. Chce uchodzić za kogoś, kim nie jest. Czuje się przy nim głupia, ale nadrabia miną. Czasami traci wątek, nie słucha tego, co on mówi, tylko wpatruje się w jego dłoń - o długich, smukłych palcach chirurga - i zastanawia się leniwie, jak by to było poczuć dotyk tych dłoni nie tylko na rękę, ale i gdzie indziej. Mimo to cały czas utrzymują chwiejny dystans, który pozwala jej mówić z podniesionym czołem: „Jesteśmy tylko przyjaciółmi”. Jak dotąd mówi prawdę. Przesiadują godzinami na ławkach w Łazienkach i na Agrykoli, piją kawę albo cienkie beczkowe piwo w kawiarni na Rozdrożu. Czasem po prostu znajdują jakiś skwer pod blokiem i popijają piwo z puszki. Pewnego dnia siedzą na trawniku w parku na tyłach placu Trzech Krzyży, gdzie parę lat później wyrośnie hotel Sheraton i eleganckie apartamentowce. Kończą się tematy do rozmów? Schodzą na narkotyki, kto czego próbował i z jakim efektem. Wypite w upale piwo szumi Teresie w głowie.

- Paliłeś kiedyś haszysz? - pyta go ni stąd, ni zowąd. I dodaje ze śmiechem: - Wiesz, haszysz sprawia, że w łóżku jest po prostu cudownie.

Za chwilę już wstydzi się tego, co powiedziała. „To piwo, to przez to piwo”, tłumaczy sobie, ale on wstaje i bierze ją za rękę.

- Tyle wiesz, że aż się ciebie boję - mówi. - Chodź, pojedziemy do mnie.

Już po chwili stoją w milczeniu na przystanku autobusowym, trzymając się za ręce. Teresa wyobraża sobie, jak powietrze drży wokół ich złączonych sylwetek. Jeśli jest coś takiego jak aura, to z pewnością w tej chwili mają wspólną aurę, bo przechodnie patrzą na nich z uśmiechem, zatrzymują na dłużej spojrzenia na ich twarzach.

- Spójrz - mówi Marcin - to niesamowite, wszyscy na nas patrzą. Dlaczego?

- Nie wiem... - odpowiada. - Może pasujemy do siebie? - i znowu gryzie się w język, ale jest już za późno. Znowu powiedziała więcej, niż chciała, znowu się odsłoniła. Wsiadają do autobusu. Jadą prawie w milczeniu. Wsiadają gdzieś na Ursynowie, wśród punktowców z wielkiej płyty. Przystanek Imielin. Wejście na stację Łni nowością, płatanina chodników i wydeptanych w trawie ścieżek prowadzi do wysokiego bloku z szarej płyty, którego jedyną ozdobą są żółte i pomarańczowe osłonki balustrad balkonów. Wjeżdżają windą na jedenaste, ostatnie, piętro. Teresa boi się wind, zwłaszcza takich, gdzie nie ma drzwi wewnętrznych i drzwi kolejnych pięter przesuwają się w zasięgu ręki. Ma wrażenie, że winda zatrzyma się i potem złośliwie ruszy dokładnie wtedy, kiedy ona będzie w panice wydostawać się przez uchylone drzwi, przetnie ją na pół. Nic takiego się oczywiście nie dzieje. Przed oczyma przesuwają się jej tylko drzwi pomalowane olejno na obrzydliwy sraczkowaty kolor, upstrzone graffiti pospiesznie rysowanym czarnymi mazakami. Inicjały, wulgarne słowa, „Legia Pany” obok numeru telefonu z dopiskiem: „Kaśka daje dupy”. Im wyżej, tym mniej napisów. Wreszcie winda staje ze zgrzytem, wychodzą na długi lastrykowy korytarz. Jedna jego część odgradzona jest prymitywną kratą, za nią widać blokowe cmentarzysko połamanych sanek, ubłoconych wózków spacerowych, nędzne kwiaty doniczkowe na odrapanych starych komodach wystawionych na powolne rozpadanie się. Na drugim końcu korytarza zza uchylonych drzwi dochodzi charakterystyczny zapach zsypu na śmieci. Witamy w bloku - zdają się ogłaszać krata i zsyp. Marcin wyjmuje klucze z kieszeni czarnych dżinsów, otwiera kratę. Przeciskają się między sankami, paprotkami i spacerówkami. Pod kornie leży miś bez oka - prawdopodobnie pasażer jednego z wózeczków porzucił go po spacerze. Szczęka zamek, ma Gerda. Drzwi otwierają się na inny świat. Ojciec Marcin jest profesorem na politechnice. Ściany niewielkiego dwupokojowego mieszkania zastawione są regałami. Na setki, tysiące książek - w większości albumy, przewodniki turystyczne, pamiętniki z podróży i podręczniki inżynierów, konstruktorów, urbanistów. Ciemny wypastowany parkiet, ciemne meble w salonie, peerelowska kuchnia cała w laminatach i PCV na podłodze. W zlewie stos garnków pamiętających Gierka - jeśli nie Gomułkę.

- Mama wyjechała w delegację - mówi Marcin. - A ojciec pracuje do późnej nocy. Nie przeszkadzamy sobie.

Wchodzą do jego pokoju. Niewielka blokowa klatka w której, tak jak w większości takich pokojów, można z tapczanu sięgnąć po książkę z regału na ścianie naprzeciwko, prawie się nie podnosząc. Meblościanka, prosty tapczan przykryty kolorową narzutą i okno, za którym rozpościera się niewiarygodny widok. Kilka niskich bloków wybudowanych już po upadku komuny, a za nimi mórz drzew Lasu Kabackiego poprzecinane gdzieś ściekami i polanami. Teresa ma wrażenie, że gdyby się wychyliła, mogłaby dostrzec w oddali Powsin i Górę Kalwarię.

- Przepiękne - szepcze. Z wrażenia prawie brakuje tchu. Nie zna takich widoków. Jej rzeczywistość to od zawsze szare mury śródmiejskich kamienic, a wcześniej, od rozvodu rodziców, dom jednorodzinny pod Warszawą.

- Wyobraź sobie noc... Księżyc i gwiazdy, żadnych tarni, żadnych tramwajów - mówi Marcin. - Chciałbym żebyś to kiedyś zobaczyła...

Teresa nie wie, co powiedzieć, więc nie mówi nic. Wpatruje się w morze zieleni za oknem. Oglądają zdjęcia z wyjazdów, z imprez na studiach, ze studniówki. Na nowszych fotografiach pojawia się Agnieszka. Jej pyzata buzia nastolatki jest rozpromieniona uśmiechem, oczy błyszczą pierwszą miłością. Marcin zauważa smutek w oczach Teresy i jej nagłe zamilknięcie.

- No cóż, ty masz chłopaka, ja mam dziewczynę - mówi. - Wiedziałaś od początku.

- Nie od początku, od przysięgi. Ale tak, wiedziałam.

- Nie rozmawiajmy o nich - prosi on. - Oni są teraz daleko. Mają swoje sprawy, nie wiedzą, że my tu siedzimy, rozmawiamy. Nie wiedzą, prawda?

- Prawda - odpowiada Teresa bez przekonania. Jeśli chce pozostać w porządku, teraz jest ostatni moment na wyjście pod byle pretekstem i wyrzucenie jego numeru telefonu na zawsze, mimo to nie jest w stanie tego zrobić.

- Jesteś piękna - mówi on prawie szeptem i zaraz już całują się jak szaleni, nie mogą przestać. Dopiero po chwili odrywają się od siebie i wtedy Teresa nabiera powietrza i mówi:

- Już prawie straciłam nadzieję, że to się kiedyś zdarzy...

A on tylko patrzy na nią z uśmiechem. Ona resztką sił odrywa się z tapczanu, wkłada buty.

- Muszę iść - mówi. - Nie mogę, nie potrafię. Muszę się choć chwilę zastanowić - prawie krzyczy. Wybiega na Korytarz, widzi tę idiotyczną kratę, która zagrażdza drogę do windy, i przez chwilę czuje się jak w pułapce, ale Marcin jest już za nią, otwiera kratę i dotyka lekko jej dłoni.

- Zadzwoń jutro i powiesz mi, czy się namyśliłeś - mówi i dodaje po chwili: - Ja też się boję, nie wiesz nawet jak bardzo.

Zbiegają po schodach na sam dół. Jedenaście pięter, do utraty tchu. On odprowadza ją do stacji metra, macha jej na pożegnanie. Przez osiem przystanków Teresa, siedzi na czerwonej aksamitnej ławce w prawie pustym wagonie, opanowuje emocje, uspokaja oddech. I kiedy wysiada na stacji Politechnika i wjeżdża ruchomymi schodami. Słoneczne późne popołudnie, już wie. Już się zastanowić. Teraz jedyne, czego potrzebuje, to zachować opanowanie.

TERAZ

Przed pierwszym badaniem USG Paulina jest pełna obaw. Nie dzwoniła do Teresy po wizycie u wróżki. Starła się o tym zapomnieć. Nie mogła uwierzyć, że ona, która zawsze w życiu kierowała się rozumem i wiarą, była w stanie uwierzyć w jakieś kolorowe tajemnicze karty. Mimo to nie potrafiła całkowicie pozbyć się lęku przed tym, co zorzy na monitorze.

„Nie widzę dobrze dziecka - powiedziała jej Agata -będziesz potrzebowała wiele siły, bo ciężki okres przed ą, wiele ci zagraża”.

„Właściwie - pocieszała się Paula - to może znaczyć cokolwiek. Nawet gdybym straciła pracę, znajdę nową, jak już dziecko bezpiecznie się urodzi. Teraz tylko to się liczy”. Po badaniu zamierza zadzwonić do Teresy i skorzystać z jej macierzyńskiego doświadczenia, poradzić się, co robić. Nie zna żadnej innej doświadczonej matki, a boi się szukać na forach, przeraża ją anonimowość Internetu. Poszli na badanie razem. Siedzą w ciasnej poczekalni, Marcin trzyma ją za rękę, a Paula opiekuńczym gestem kładzie dłoń na swoim brzuchu. Uważny obserwator nie może już mieć żadnych wątpliwości. Trzeci miesiąc dobiega końca i brzuszek wyraźnie zaczyna się zaznaczać. Przed nimi w kolejce czekają dwie pary - kobiety są w bardziej zaawansowanej ciąży. Jedna z nich siedzi na brzeżku krzesła ubrana w olbrzymi sweter z golfem ledwo mieszczący brzuch wielkości piłki do koszykówki. Trzyma przy tym rękoma za plecy w okolicy krzyża, a przez twarz co jakiś czas przebiega grymas bólu. Dostrzega przerażone spojrzenie Pauli i uśmiecha się z przymusem.

- Proszę się nie bać, mnie tylko kręgosłup boli. Mam nadzieję, że nie urodzę tu, w poczekalni.

Paula spłoszona odwraca wzrok od twarzy dziewczyny i dostrzega jej nogi - monstrualnie opuchnięte kostki wystające z rozdeptanych, niezapiętych adidasów na rzepy. Myśli z przerażeniem, że za parę miesięcy stanie się podobnym rozdętym balonem, ale szybko odpędza myśl.

- Na kiedy pani ma termin? - pyta, aby przerwać cis

- Na jutro - odpowiada nieznajoma ze śmiechem. A jak się jutro nie zacznie, będę biegać po schodach do skutku.

Rozmowę przerywa wołanie z gabinetu:

- Następny.

Spuchnięta ciężarna wtacza się z trudem do środka. Nie mija nawet minuta, kiedy oboje z mężem prawie wybiegają z gabinetu, a lekarz woła za nimi:

- Radzę taksówką, chyba że chce pan odbierać poród na przystanku! Pani się położy, a mąż wezwie taksówkę.

Paula błędnie ze strachu, Marcin ściska jej rękę. Nie musi na niego patrzeć, żeby dostrzec ten sam strach na go twarzy. Jeszcze nie rozmawiali o jego uczestnictwa w porodzie, ale Paula ma wrażenie, że bez niego nie wytrzyma ani minuty na szpitalnej sali, nie poradzi sobie, Kiedy poczuje ten ból w plecach, narastający falami. Rodząca pótleży na sofie w poczekalni i co jakiś czas wydaje z siebie stęknienie, coś



między westchnieniem a tłumionym krzykiem.

- Jest taksówka, Kasiu! - krzyczy jej mąż, pomaga jej się podnieść i prowadzi zgiętą wpół na dół po schodach. Teraz Paula czuje lekką zazdrość, że ta Kasia już dziś wieczorem będzie trzymać w ramionach swoje dziecko. A tymczasem przed nią jeszcze pół roku oczekiwania. Po wyjściu Kasi atmosfera w poczekalni uspokaja się. Do gabinetu wchodzi następna para. Wreszcie po jakichś dwudziestu minutach lekarz prosi Paulę do środka. Wchodzą razem, a Paula jeszcze w drzwiach zauważa łzy w oczach dziewczyny, która właśnie wyszła. Ogarnia ją jeszcze większy strach, nawet nie próbuje dociekać, jaki wyrok usłyszała tamta. Wada serca? Niedorozwój? Wada kręgosłupa? Ale już kładzie się na leżance, lekarz smaruje jej odsłonięty brzuch zimnym żelem i włącza monitor. Marcin uważnie obserwuje żonę, i czarno-biały ziarnisty obraz na ekranie. Nie jest to najmodniejsze obecnie USG trójwymiarowe, ale podobno najlepszy gabinet lekarski w Warszawie, a sądząc po cenach - na pewno dobry. Ściany są obwieszane dyplomami i certyfikatami, a „dr” przed nazwiskiem lekarza tytuł naukowy, nie grzecznościowy. Lekarz ma rzadką bródkę - a la Artur Żmijewski. Nie uśmiecha się. Pewnymi, powolnymi ruchami prowadzi głowicę po wydętym brzuchu Pauliny i cały czas mówi, niby do nich, ale tak cicho, że trudno go usłyszeć:

- Tu mamy dziecko, proszę zobaczyć... Serduszko bije, miara kości udowej... Tak, dwunasty-trzynasty tydzień, jeszcze raz data ostatniej miesiączki?... Tak, dziękuję, wymiary zgodne. Tu mamy głowę, tu kręgosłup, rączki, nóżki... Pici jeszcze nie widać, to ustalimy na następnej wizycie... A tu, pani Paulino, mamy niewielki problem, proszę spojrzeć - lekarz przesuwając kursor na ekranie w stronę niewyraźnej czarnej plamy i zatrzymuje go tam. Paulina sztywnieje ze strachu, jej dłoń w dłoni męża jest zimna i spocona, lekarz uśmiecha się po raz pierwszy.

- Proszę się nie bać, to na razie nic poważnego. Łożysko jest bardzo nisko usadowione. Właściwie to dopiero załazek łożyska, mimo to jest nisko. Na tym etapie ciąży to się jeszcze bardzo często zdarza, ale jeśli się nie zmieni, to prawdopodobnie będzie pani musiała bardzo na siebie uważać, bo może nam się z tego zrobić łożysko przodujące, a to oznacza leżenie i możliwość krwawień, i prawie na pewno cesarskie cięcie. Oczywiście, w tej chwili jeszcze wszystko może się zmienić, ale zalecałbym, żeby pani jakiś czas poleżała, pooszczędzała się, absolutnie żadnego wysiłku fizycznego ani, rzecz jasna, żadnego współżycia - tu lekarz patrzy przenikliwie na Marcina, jak gdyby upewniał się, czy został właściwie zrozumiany.

- I żadnej pracy, idzie pani na zwolnienie od dzisiaj. Pierwsze wypiszę pani ja, a po kolejne proszę iść do lekarza prowadzącego. Jeśli łożysko się podniesie, będzie można wrócić do pracy. Czy macie państwo pytania? - Zawiesza głos, Paula i Marcin patrzą na siebie przez chwilę. Wobec ciszy lekarz konkluduje: - To dziękuję. Do zobaczenia za miesiąc. Zwolnienie L4 odbierze pani w recepcji za jakieś dziesięć minut.

Przez całą drogę do domu Paula jest przerażona i otępiła. Nie tak miało być. Zawsze była zdrowa. Myślała, że takie problemy przytrafiają się tylko starszym kobietom po trzydziestce, palącym, pijącym, a nie jej, która w liceum wygrywała ze swoją klasą turnieje siatkówki. Nigdy w życiu nie zapaliła papierosa, a do lekarza chodzi raz w roku, bo nawet nie łapie przeziębień. Siedzi na przednim siedzeniu hondy pogrążona w myślach przede wszystkim o tym, co powie w pracy. Nikt przecież jeszcze nie wie o jej ciąży, a tu od razu zwolnienie najprawdopodobniej na kilka miesięcy. Paula dopiero od roku zajmuje w

miarę odpowiedzialne stanowisko. Miała nadzieję na pracę do porodu, krótki macierzyński i powrót, może awans. Jeśli teraz zniknie na pół roku plus macierzyński, to firma weźmie kogoś na zastępstwo, wyszkoli go, a jej po powrocie wręczy wypowiedzenie albo przeniesienie na gorsze stanowisko. Paula wyjmując komórkę, ścisza radio grające w tle, wybiera numer do kadr, do Marysi. Stoją na czerwonym świetle. Marcin też bierze swoją nokię i zaczyna wystukiwać SMS-a. Paula wreszcie słyszy w telefonie:

- Póme conslting Maria Reszczyk, w czym mogę pomóc? - Powitanie prosto ze szkolenia na temat komunikacji z klientem.

- Cześć, Marysiu, tu Paula - mówi.

- A cześć, miło cię słyszeć. Już po badaniu? - w głosie Marysi słychać uśmiech. Jest jedyną wtajemniczoną i zdaje się, że wbrew reputacji firmowej plotkary nikomu jeszcze nie zdradziła tej nowiny.

- Tak, już po i mam problem - mówi Paula z wahaniem.

- Spóźniesz się? Jak chcesz, mogę ci dać wolne na dziś, urlop okolicznościowy.

- Nie w tym rzecz... Muszę iść na zwolnienie. Nie wiem na jak długo. Mąż przywiezie ci zwolnienie do kadr, a teraz gdybyś mogła połączyć mnie z szefową...

- Jasne - teraz Maria jest zaniepokojona. - A co się dzieje? Coś poważnego? Nie poroniłaś chyba?

- Nie - odpowiada Paula. - Na razie nic poważnego, ale muszę się oszczędzać, leżeć, przynajmniej miesiąc.

- Rozumiem. Trzymaj się - mówi koleżanka ciepło A teraz przełączam cię do Uli.

Rozmowa z szefową działu jest krótka, powierzchowna, serdeczna, ale Pauli wydaje się, że w głosie Urszuli słyszy urazę, jakby uważała, że ona specjalnie odczekała do następnego tygodnia, żeby od razu iść na zwolnienie. Czuje, że zawiodła jej oczekiwania. Wyłącza telefon, dojeżdżają już do domu. Czuje ciepłą dłoń męża na ramieniu.

- Nie martw się, kwiatuszku. Wytrzymamy to jakoś mówi Marcin i całuje ją na pożegnanie, bo jedzie na umówione spotkanie z klientem. Na odchodnym rzuca: - A może zadzwonisz po mamę? Może przyjedzie ci trochę pomóc?

Mimo jego czułości i dobrych chęci Paula czuje się trącona. Niemal słyszy, jak zamykają się za nią drzwi więzienia. Teraz jej świat skurczy się do czterech ścian mieszkania. Będzie zależna od innych nawet w kwestii codziennych zakupów, zdana na ich pomoc i troskę, a przez większość dnia będzie więźniem łóżka, podczas gdy za murami będą wieść życie pełne atrakcji, spotkań, ciekawych zajęć. Przez jedną okropną chwilę Paulina oddałaby wszystko, byle nie być już w ciąży, ale zaraz odrzuca tę myśl. Po wejściu do mieszkania zaparza sobie herbatę i dzwoni do mamy, która, o dziwo, zgadza się przyjechać już za parę dni.

- Pozamykam parę spraw, czeka parę operacji, a potem tata przejmie sklepik - mówi mama ciepło. - I

przyjadę do ciebie, córuś, jesteś dla mnie ważniejsza niż psie i krowie choróbska - śmieje się. - Może tata sobie poradzi z odrobaczaniem i zastrzykami.

Paula uśmiecha się do mamy niewidocznej przez telefon, ale tak bliskiej, jakby była tuż obok. Mama jak zwykle żartem rozładowuje napięcie.

To ona uczyła się od taty wszystkiego, co weterynarz musi wiedzieć o zwierzętach, i to ona na początku istnienia maleńkiej rodzinnej kliniki zajmowała się głównie odrobaczaniem i szczepieniami. Od operacji był tata. Dopiero gdy tacie wzrok się pogorszył, mama przejęła operacje i usypianie starych podwórzowych kundli.

Paula odkłada słuchawkę i zaczyna nastawiać się psychicznie na przyjazd mamy. Nie wie, jak to zorganizować. Mama prawdopodobnie zatrzyma się u ciotki Haliny na placu Konstytucji - to zaledwie cztery przystanki od nich - i będzie dojeżdżać. Z jednej strony Paulina cieszy się. To będzie trochę jak powrót do dzieciństwa, kiedy leżała chora z anginą w swoim pokoiku na piętrze, a z dołu dobiegały głosy z kuchni. Mama pojawiała się w pokoiku co parę minut z lekarstwami, obiadem, książką do wspólnego czytania. Z drugiej strony Paula przywykła do niezależności i boi się trochę, jak sobie poradzą dwie dorosłe kobiety na maleńkim, czterdziestoparometrowym terytorium. Odrzuca jednak wątpliwości. Jest przekonana, że będzie dobrze. Przecież zawsze było.

Krzysztof właśnie wrócił z pracy, kiedy zadzwoniła komórka Teresy schowana jak zwykle na samym dnie jej ogromnej „pracowej” torby. Telefon znalazł się dopiero po kilku dzwonekach i wytrząśnięciu całej zawartości torebki na granatowe płytki w przedpokoju. Teresa próbuje jednocześnie rozmawiać i zbierać z podłogi stos książek, pomiętych kserówek, kartek w kratkę z pracami domowymi uczniów, jeszcze monety, spinacze, trzy różne grzebienie, okulary słoneczne i szminki.

Po drugiej stronie telefonu była Karolina, z którą zaprzyjaźniła się w pierwszej prawdziwej pracy, a potem, kiedy obie urodziły dzieci i zmieniły szkołę, kontakt ograniczył się do paru spotkań w roku i telefonów z życzeniami. Po wymianie kurtuazyjnych uprzejmości na początek po wszystkich „jak leci” i „a dzieci zdrowe?” Karolina mówi dość niepewnie:

- Wiesz, Teresa, chciałabym pogadać tak po babsku. Może znalazłabyś chwilę?

- Co się dzieje? - niepokoi się Teresa.

- A, nic... Nic wielkiego... Tylko ostatnio nie mam zbyt wielu przyjaciółek, w pracy nikogo normalnego, same w malowane dziumdzie, wiesz, tipsy z brokatem... A chciałabym z kimś rozsądnym porozmawiać.

- Jasne, rozumiem - Teresa zgadza się. - To kiedy? M że jutro po zajęciach?

I tak spotykają się po zajęciach, wieczorem, w niewielkim pubie na zapleczu hotelu Forum. Teresa czuje lekką zazdrość, bo dawna przyjaciółka podjechała nowiutkim czerwonym renault, a ona - tramwajem, jak zwykle. Ale już przyzwyczała się do myśli, że prawo jazdy przy jej wzroku jest nieosiągalne. „Może lepiej jeździć tramwajami, niż rozbić się na pierwszym skrzyżowaniu”, pociesza się.

Karolina jest niską, drobną brunetką o ogromnych, przykuwających uwagę zielonych oczach w ciemnej oprawie. Po jej figurze nie sposób odgadnąć, że pięć lat wcześniej urodziła bliźnięta, a niedługo po nich dziewczynkę. Jest zadbana, czarne włosy ma starannie wystrzępione i nastroszone, gdzieniegdzie przebłyskują blond pasemka. Ma też idealnie równe białe zęby i doskonale utrzyma paznokcie. Teresa czuje się przez chwilę jak Kopciuszek. Przypomina sobie, że parę lat temu obie bardzo dbały o siebie. Spuszcza wzrok z zakłopotaniem na swoje dłonie, paznokcie króciutkie, polakierowane jak zawsze na zbyt jaskrawy kolor, nie wiadomo po co.

Karolina sprawia wrażenie bardzo zdenerwowanej. Ledwie siada przy stoliku, a już zapala papierosa. Nie widziały się chyba od roku, więc rozmowa zaczyna się od wymiany wiadomości, ploteczek. Kelnerka przynosi kartę, którąś z tych modnych kaw z kożuszkim mlecznej piany na wierzchu dla Karoliny i zwykłą espresso dla Teresy. Wreszcie Karolina wybucha:

- Muszę komuś o tym opowiedzieć... Po prostu muszę. poznałam kogoś. - Odchyła się do tyłu na krześle i miesza z furią swoją kawę w oczekiwaniu na reakcję.

- Hm - Teresa nie wie, co odrzec. - Czego oczekujesz ode mnie?

- Nie wiem. Po prostu muszę o tym komuś opowiedzieć.

- A co z Piotrem? - Teresa jak przez mgłę przypomina sobie męża Karoliny, łysiejącego okularnika wyglądającego jak szczuplejszy klon Krzysztofa. Widziała go tylko kilka razy, pod wejściem do szkoły, i raz na wspólnym spacerze z dziećmi zamienili parę słów.

Karolina zapala kolejnego mentolowego papierosa i zaczyna opowiadać:

- Chyba muszę zacząć od początku. Dwa lata temu poroniłam. Nie opowiadałam ci o tym, bo nie mówiłam nikomu. Właściwie wstyd przyznać, ale po bliźniakach i Oli,

nie chciałam już żadnej ciąży i byłam prawie szczęśliwa, kiedy to się stało. Zresztą to była wczesna ciąża. Ósmy dzień, nie zdążyłam się przyzwyczaić do tej myśli. Wydawało mi się, że nic wielkiego się nie stało. Żyłam normalnie, ale...

- Ale jednak się stało? - przerywa jej Teresa.

- No właśnie. Straciłam chęć do życia. Wpadłam w depresję. Obwinałam się. Wydawało mi się, że już nic nie czuję. Nie było we mnie żadnych uczuć poza miłością do dzieci. One trzymały mnie przy życiu. Zresztą możesz sobie wyobrazić, że przy trójce, nawet mając babcię całodobowo do opieki - bo mieszkamy przecież z teściową - trudno sobie pozwolić na depresję, na leżenie w łóżku, płacz. Chcesz czy nie, musisz wstać, nakarmić, poczytać, bawić się. Ale przestałam czuć cokolwiek do Piotra. Bez emocji, bez seksu. Od tamtej pory spaliśmy ze sobą może ze trzy razy i zawsze to samo, nic, nic zupełnie. Myślałam, że może po paru latach małżeństwa to ma tak być, ale patrzę na moją siostrę, dwanaście lat po ślubie, a oni cały czas za rączki i buzi-buzi, na dzień dobry, na do widzenia, nie mogą się odkleić od siebie. Doszłam do wniosku, że to ze mną jest coś nie tak, i... Przed Bożym Narodzeniem spotkałam kogoś niesamowitego i nie wiem, co robić dalej!

Karolina w trakcie tyrady stopniowo przeobrażała się. Napięcie gdzieś zniknęło. Teraz wręcz promienieje, ogromne oczy wydają się jeszcze większe.

- A co chciałabyś zrobić? - pyta po namyśle Teresa.

- Pomyśl tylko! - Karolina wybucha prawie histerycznym śmiechem. - Co ja chciałabym robić z nowo poznanym wysokim blondynem, który nazywa mnie kaczuszką i pisze do mnie trzy SMS-y na dzień?!

- No to na co czekasz? A kto to w ogóle jest?

- Ubawisz się, to uczeń. Uczę go francuskiego na kursie dla zaawansowanych. Rany, jak to brzmi... Jest menadżerem czegoś tam w jakiejś tam korporacji. Ma na imię Paweł i - co najgorsze - jest żonaty.

- Ty też jesteś mężatką - zauważa Teresa trzeźwo.

- No właśnie!

Karolina upija łyk swojej kawy i zastanawia się przez chwilę.

- Powiedz, Tereska, jak jest w twoim małżeństwie. Jesteś szczęśliwa?

Teresa zastanawia się przez chwilę, co odpowiedzieć. Nie potrafi, tak jak Karolina, wyrzucić z siebie całego swojego życia prywatnego prosto do ucha osobie, którą widuje raz na parę miesięcy. Nie jest w stanie nawet wspomnieć o ostatnim spotkaniu z Marcinem, o dziwnej kiełkującej przyjaźni z jego żoną ani o tym, że znowu napisał do niej e-maila i chce się spotkać. Tym bardziej nie opowie o tym, że sama marzy o tym spotkaniu.

- Wiesz... - odpowiada - jesteśmy dziewięć lat po ślubie, mamy dwoje dzieci, ja nie oczekuję już buzi-buzi, nazywania mnie kaczuszką i trzymania się za rączki. Wydaje mi się, że z moim mężem, o ile jest w domu, dobrze się rozumiemy. Mamy wspólne tematy do rozmowy... i tyle. Przyjaźń, zrozumienie, trudno to nazwać uczuciem, namiętnością. Ale mnie to mniej więcej odpowiada. Nie oczekuję wiele więcej od małżeństwa.

- Szczęściara z ciebie - wzdycha Karolina. - Ja tak nie umiem żyć. Zwłaszcza teraz, kiedy poznałam Pawła... Marzę o nim, ale mimo to nie jestem w stanie tak po prostu iść na całość. Boję się stracić to, co mam.

- Zrób to tak, żeby nikt się nie dowiedział - sugeruje Teresa. Ma dosyć tej rozmowy. „Dlaczego kobiety nie umieją nic zrobić bez wiecznego gadania, gadania, gadania?”, przemyka jej przez myśl. Ma niejasne wrażenie, że dawna przyjaciółka wcale jej nie potrzebuje. Potrzebuje natomiast czegoś w rodzaju elektronicznego spowiednika - wrzuci monetę i opowiadaj o tym, co cię gnębi. Mężczy ją jej niezdecydowanie, a jednocześnie zazdrości jej jasnej sytuacji. Karolina przynajmniej wie, że ten blond Paweł menedżer czegoś tam ją uwielbia, a ona będzie musiała znowu przedzierać się przez rafy niedomówień, udawania, starannie chronionej dumy Marcina, żeby uzyskać potwierdzenie, że on chce tego samego co i ona. Na domiar złego, ona nie ma w naturze paplania i będzie się męczyć sama, nie zdręczy swoimi wątpliwościami żadnej potulnej przyjaciółki. Co najwyżej wyleje swoje żale pod jednorazowym nickiem na jakimś forum internetowym.

Dlatego Teresa jest zadowolona, kiedy rozmowa wreszcie dobiega końca, i odmawia Karolinie, gdy proponuje podwiezienie swoim wychuchanym kolorowym samochodzikiem. Teresa boi się jeździć samochodem jako pasażer, a tym bardziej z kierowcą, który na dźwięk dzwonka telefonu radośnie podskakuje i zaczyna grzebać w malutkiej, ale zaskakująco zagraconej beżowej torebeczce; z kierowcą, który na zmianę paple i zamyśla się głęboko. Dlatego z uczuciem ulgi idzie na przystanek i w chłodnym, jeszcze zimowym powietrzu czeka dwadzieścia minut na autobus sto dwadzieścia siedem, który zawiezie ją prawie do samego domu.

Brakuje jej przyjaciółki, której mogłaby się zwierzyć. Agata od kart nigdy nią nie była. Karolina też nie do końca. Zawsze zaabsorbowana sobą. Najlepiej rozumiały się, rozmawiając o dzieciach. Ten temat je zawsze łączył. Anka, gdyby Anka była w Polsce... Ale Anka już kilka lat temu zamieszkała w Holandii. Zabrała tam swoje korale i zwiewne suknie. Jej mąż robi karierę w międzynarodowej korporacji, a Anka siedzi w domu z wypieszczoną jedynaczką Anastazją i w wolnych chwilach wynajduje sobie artystyczne hobby: tworzenie biżuterii, malowanie na szkle, ceramika artystyczna. Biega na kursy i wystawia swoje prace w Domu Kultury Polskiej. Widują się raz czy dwa razy w roku. Piszą e-maile, ale ich drogi rozeszły się tak bardzo, że przestały rozumieć się w pół słowa, przestały śmiać się z tych samych dowcipów. Kiedy Anka przyjeżdża do Polski, zawsze ma na sobie jakiś etniczny strój, który wygląda, jakby uszyto go ze starego dywanu. Za to czteroletnia Anastazja wygląda jak z katalogu mody dziecięcej, w związku z czym nie wolno jej się schylać, kucać, grzebać w piachu, jeść czekolady, więc dzieci Teresy nie chcą się bawić z tą dziwną, chudą, wystrojoną dziewczynką, która mówi trochę po polsku, a trochę w języku brzmiącym jak otwieranie starej szafy. Ostatnim razem Anka znalazła czas tylko na szybką kawę i Teresa czuje, że przy kolejnym pobycie w Polsce nawet i na to zabraknie jej chęci. Przegląd pozostałych znajomych nie wypadł zachęcająco. Teresa spostrzega z przerażeniem, że po dziewięciu latach małżeństwa jedyną osobą, którą może nazwać przyjacielem, jest Krzysiek. I znowu - jak kiedyś - dziesięć lat wcześniej, czuje pokusę, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Jednak kiedy wraca do domu, przekręca klucz w zamku, zastaje go kąpiącego Jasia i czuje się winna, że się zasiedziała na spotkaniu.

- Cześć - rzuca, a on podnosi się znad wanny, w której puszcza kolorowe gumowe zwierzaki na wodę, cały ochlapany. Jaś ma na bródce trochę piany z szamponu. Wygląda jak malutki, pucułowaty Święty Mikołaj z białą bródką.

- Cień, mamo! - cieszy się Jaś, pokazując paluszkami na swoją buzię. - Zobać, mam bjądkę! - Teresa czuje nagły przyptyw czułości do nich obu, do synka i do męża, mimo pustki, jaka ich ostatnio dzieli. „Może tak powinno być - zastanawia się - może po paru latach małżeństwa, po dzieciach, ten mężczyzna w domu staje się jak brat, niesforny brat, którego się darzy pewną czułością, przyjaźnią. Jest jak lubiany kolega... ale sypia się z kimś innym, bo przecież nie sposób sypiać z bratem...”

- I jak było? - pyta Krzysiek.

- E, nijak - zbywa go. - Karolina romansuje i chciała się komuś wygadać.

- Ty jeszcze nie romansujesz, mam nadzieję? - rzuca Krzysiek żartem, a Teresa czuje ulgę, że może odpowiedzieć, też żartem:

- Nie, jeszcze nie.

Teresa kładzie Jasia spać. Mleko, bajka, buziak na dobranoc. Potem usypia Marysię i szykuje jej na rano ubranie. Kiedy sama idzie się wykąpać, Krzysiek już śpi jak zwykle na kanapie. Dopiero teraz ma odwagę wyciągnąć komórkę z torby i odpisać na SMS-a: „W piątek w południe mam szkolenie, możemy się potem zobaczyć”.

Jest potwornie zdenerwowana, choć doskonale wie, że nie widać tego po niej. Natychmiast kasuje wiadomość otrzymaną i wysłaną i kładzie się spać z poczuciem winy prawie tak silnym jak oczekiwanie na piątek. Zazdrości Karolinie tej łatwości, tej pozornej bez troski, z którą opowiadała o swoim romansie. Zazdrości jej też tego, że - jak mówiła - nic nie czuje do męża.

DAWNIEJ

W połowie lipca Teresa spędziła z Krzyśkiem i znajomymi ponad tydzień w Chałupach. Kemping numer cztery, schowany w lesie od strony zatoki. Dwa namioty typu igloo. Akurat tyle miejsca, żeby położyć dwa plecaki i dwie kari-maty. Wałęsali się po plaży. Było zimno. Na zdjęciach zawsze mają na sobie przynajmniej swetry. Lał deszcz, więc na noc przykrywali namioty wielkimi płachtami niebieskiej plastikowej folii. Wieczorami siedzieli we czwórkę przy piwie. Dwie pary pogrążone w rozmowie. Na noc szli do swoich namiotów kochać się, bo nic innego nie było do roboty. Rano, o szóstej, budził ich dźwięk syreny pociągu na Hel. Wtedy z braku innego zajęcia znowu się przytulali, Teresa wychodziła z namiotu pod prysznic nasycona, promienna, a mimo to czegoś jej brakowało. Nocą w mroku namiotu zamykała oczy i wyobrażała sobie inną twarz nad sobą. Zdarzało się jej krzyczeć tak głośno, że musiała wtulać twarz w zwinięte bluzy służące za poduszkę.

Kupiła w Chałupach pocztówkę przedstawiającą osadę z lotu ptaka. Drobne skupisko domków stłoczonych na pasemku lądu wzdłuż szosy i torów kolejowych, na środku obskurna pizzeria udekorowana sieciami rybackimi -ze stołem bilardowym na zewnątrz, na którym rozgrywali wieczorami apatyczne partie poola, pilnując, żeby opłata za stół wystarczyła na jak najdłużej. Na pocztówce napisała swoim ukośnym, drobnym pismem jakieś nic nieznaczące pozdrowienia, na dole dopisała: „Myślę dużo o Tobie”, i wysłała, razem z innymi niezobowiązującymi pozdrowieniami dla ciotek, babć i rozrzuconych po wakacyjnych kurortach znajomych.

Po dziesięciu czy jedenastu dniach, kiedy obrzydł im już mokry piasek, wilgotne zimno w namiocie, a pieniędzy nie starczyło na kolejną noc na kempingu, wsiedli po prostu do pociągu do Warszawy i wrócili do domów opaleni mimo zimna i przesiąknięci morską solą niesioną przez zimny wiatr. Rozstali się z parą znajomych na Dworcu Centralnym i wdychając smród moczu i tanich barów z podziemi dworca, ruszyli z plecakami do mieszkania Teresy. Matka była na działce u znajomej, chłopcy na obozie letnim gdzieś w górach. W mieszkaniu panowała lekko zatęchła cisza, na komodzie w przedpokoju obok telefonu stały pocztówki, które przysły pod nieobecność Teresy. Widok pocztówki z miasteczka pod Tomaszowem ukłuł ją boleśnie. Kartka z neogotyckim kościółkiem wyrastającym nad zielone skłębione korony drzew przypomniała jej, że jej nadawca należy do kogoś innego, że spędzał lato ze swoją dziewczyną o

brązowych włosach, że prawdopodobnie co noc kochali się pod nieobecność jej rodziców. Przyszło otrzeźwienie: „Nie mam prawa być zazdrosna, nie spędziłam tego tygodnia sama, spędziłam go z moim oficjalnym chłopakiem, sypiam z nim co noc”.

Na odwrocie kartki zobaczyła niezdarne, prawie oficjalne pozdrowienia, jakie pisze się do dalekiej koleżanki, kiedy narzeczona patrzy przez ramię... Gdyby nie to, że na dole napisane było zwyczajnie: „Tęsknię”.

Zadzwoniła jeszcze tego samego wieczoru, kiedy Krzysiek pojechał do swoich rodziców, którzy i tak bardzo niechętnie patrzyli na ich „życie w grzechu” - jak nazywali wspólne pomieszkiwanie i wypadki pod namiot.

- Cześć - odpowiedział. - Już jesteś?

- Jestem.

- Chciałem tylko zapytać, czy myślałaś o mnie czasem.

Zawahała się. Zawsze miał jej towarzyszyć ten lęk, że wyjdzie na idiotkę, że za bardzo się przed nim odsłoni, stanie się pośmiewiskiem. „To nie tak miało być. To miała być przygoda, a ja brnę w to coraz głębiej i nie umiem wrócić...”, pomyślała, a na głos powiedziała:

- Czasem o tobie nie myślałam. Przez chwilę.

Mniej więcej wtedy zaczęła śnić ten sen o lataniu, snach fruwała nad Warszawą, unosiła się w powietrzu i lekko, jakby pływała w basenie. Wystarczyło odbić się stopami, wziąć zamach ramion jak do żabki i już wzbija się w powietrze, w zawsze błękitne niebo ponad miarę. Z góry widziała drobniutko odwzorowane kamienice Marszałkowskiej, ceglane wyrwy oficyn na Hożej i Mokotowskiej, potyskującą złotawo w słońcu kopułę kościoła Świętego Aleksandra na placu Trzech Krzyży. Dachy Nowego Świata, brudnoszary sześcian Polskiej Agencji Prasowej, kremowy narożnik Empiku, dalej, nad Alejami Jerozolimskimi, w dole przemykające pokotem tramwaje jak zabawki na szynach, rondo przy hotelu Forum. Następnie frunęła nad Alejami, po prawej mając ciąg obskurnych bud z ubraniami i kasetami. Dworzec Śródmieście, po lewej ciąg secesyjnych kamienic, ich dachy jak porozrzucaną układankę, podwórka jak chusteczki, plac Starynkiewicza, i dziwne prowadzące donikąd tory tramwajowe; wreszcie ceglany czerwony masyw Filtrów ledwie widoczny pośród rozbuchanej, wilgotnej zieleni drzew. Warszawa z góry, nieskazitelna, piękna mimo dziur w zabudowie i blizn zarastających świeżą tkanką stali i szkła. Warszawa zielono-ceglana, poprzecinana błękitnawymi strumieniami asfaltu i powleczone pajęczyną torów tramwajowych...

W snach zwykle lądowała gdzieś w okolicy placu Zawiszy, zdumiewając się na nowo twardością połamanych płyt chodnikowych wyczuwanych pod stopami.

Jedno było szczególne, w tych marzeniach potrafił, frunąć tylko do Marcina, na jego wezwanie. Gdy dotykał stopami ziemi, on już czekał, po prostu stał tam i czekał lekko przygarbiony i zamyślony. Nie całowali się na powitanie, nie obejmowali, czasem tylko brali się za ręce i wtedy pojawiała się zawsze to



samo uczucie - jak powrót do domu po długiej nieobecności.

Pewnego upalnego wieczoru siedzieli na Polu Mokotowskim, niedaleko stacji Politechnika, wokoło przechadzały się stateczne starsze panie z maleńkimi leciwym pieskami na krzywych nóżkach, opalające się na górcie licealistki powoli zbierały koce i ręczniki, wkładały dzinsy i bez pośpiechu grupkami zbierały się do domów, matki zaganiały rozbiegane dzieci do wózków, niebo powoli ciemniało, a oni siedzieli na jakiejś ławce, trzymając się za ręce. Wtedy opowiedziała mu o swoich snach, znów przerażona własną śmiałością, zdziwiona, że odważył się coś takiego powiedzieć. On w odpowiedzi ujął obie jej ręce w swoje duże dłonie i przez chwilę po prostu patrzył na nią:

- Dobrze, to dobrze, że jestem w twoich snach. Tak po winno być, to znaczy, że to dzieje się naprawdę.

- Co z nami będzie? - tyle zdołała odpowiedzieć, zanim znowu zaczęli się całować. Bez pośpiechu, powoli, rozkoszując się swoim smakiem i dotykiem, zapachem zmieszonym z wonią rozgrzanej trawy i asfaltu.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem - odpowiedział powoli. - Chciałbym wiedzieć, ale tak bardzo się boję... Niech po prostu tak zostanie - poprosił. Nie umiała mu odmówić. Gdyby ją poprosił, pofrunęłaby nad Polem Mokotowskim i dalej, nad placem Konstytucji. Straciła jakąkolwiek wolę, czuła się jak w tańcu, kiedy pozwala się partnerowi przejąć kontrolę nad każdym najmniejszym poruszeniem obu ciał złączonych w jedną całość. I rzeczywiście, Marcin znów dotknął jej dłoni, pomógł jej, oszołomionej, wstać z ławki. Szli do przystanku objęci, nie przejmując się tym, że na każdym rogu mogli natknąć się na jej babcię, ciotki, sąsiadów, szkolnych kolegów jej braci.

- Musimy znaleźć sobie jakieś miejsce - powiedziała prawie szeptem.

- Nie ma takiego miejsca - westchnął. - Chyba że pójdziemy w te trawy na górcie i pomodlimy się, żeby nikt nas nie znalazł.

- A u ciebie w domu? - spytała niepewnie.

- Nie, wykluczone - roześmiał się. - Mama akceptuje Agnieszkę, pod warunkiem że śpi w salonie. Nie wiem, co by było, gdyby nas złapała.

- U mnie to samo - odparła smutno Teresa. - To znaczy Krzysiek śpi, gdzie chce, ale on jest na innych prawach.

- To my, kochankowie bez dachu nad głową - roześmiał się.

Pożegnali się na przystanku, całując się tak długo, jak się dało. Kiedy wsiadał do autobusu, nad placem Konstytucji świeciły już gwiazdy, tocząc z góry przegraną walkę z jaskrawymi sodowymi latarniami. Innego wieczoru, gdy poszarzałe liście dawały już znaki, że lato wkrótce przerodzi się w jesień, siedzieli na Ursynowie, pod Kopą Cwila, paląc ognisko przy murku. Właściwie ognisko palił jakiś kolega Marcina, chudy i bez wyrazu. Teresa nie mogła zapamiętać jego imienia. Artur? Adam? Marcin przyniósł jej swoje opowiadania. Próbowała je czytać, podczas kiedy on, wpatrzony w ognisko, popijał kolejne piwa z puszki.

Było tam opowiadanie o jakimś mężczyźnie błąkającym się po zaśniewanym lesie, coś o śmierci, mgle i poczuciu braku celu wędrówki. Lubiła czytać to, co pisał. To było prawie jak zagłębienie w jego myśli. Próbowała odgadnąć, co chciał napisać, ale przeszkadzała jej jego fizyczna, namacalna bliskość. Ich dłonie musiały się co chwila szukać. Było coś naturalnego w tym, że tak po prostu siedzieli obok siebie na murku, przytuleni, pijąc piwo, patrząc w płomienie. Nie mogła się oprzeć, żeby znowu nie pomyśleć: „Tak powinno być. Innych nie ma. Krzysiek i Agnieszka nie istnieją. Musieliśmy ich sobie tylko wyobrazić”.

- Nic nie istnieje poza nami - wyszeptła w stronę ognia. Potem nagle spadł deszcz i szukali schronienia na klatce schodowej któregoś z bloków, identycznych jak porzrzucone białe klocki. Nacisnęli przypadkowy przycisk na domofonie, Teresa powiedziała:

- Ja do babci na trzecie piętro, tam domofon nie działa. - I zapraszające brzęczenie pozwoliło otworzyć ciężkie oszklone drzwi. Pojechali windą na samą górę, siedzieli na ósmym piętrze, Teresa i ten chudy palili papierosy. Marcin przyglądał się jej posępnie, bez słowa.

- Chciałbym móc cię dokądś zabrać - powiedział jej tamtego wieczoru na pożegnanie, na stacji metra Służew absurdalnie jasnej, czystej i błyszczącej w porównaniu z mrokiem podwórka i klatki schodowej.

Przez następne tygodnie jednak nigdzie jej nie zabrał, koniec wakacji spędzili, błąkając się po warszawskich podwórkach i pubach, popijając piwo, całując się i trzymając za ręce. Czasem rozmawiali, ale nigdy o rzeczach naprawdę ważnych. Teresa łapała się na tym, że prawie go nie zna, że nie wie o nim nic - jaki jest, jak to byłoby z nim mieszkać, budzić się co rano, parzyć kawę i rozmawiać o niczym przy muzyce z radia. Marzyła, żeby choć raz spędzić z nim dzień zwyczajnie, jak spędzała z Krzyśkiem, żeby dostać cokolwiek więcej niż te kradzione chwile, z konieczności intensywne i wypełnione dotykiem, zapachem, pożądaniem tłumiącym wszystko inne. A jednak podświadomie wiedziała, że na nic innego nie może liczyć; że jej przyszłość jest przesądzona, a jedyne, co może jeszcze zrobić, to zbierać te momenty jakby wyrwane z rzeczywistości, magazynować w pamięci na lepsze czasy. Następne łąta miały jej pokazać, że miała rację, choć może gdyby wtedy oboje nie przybrali masek, nie udawali, że nic poza feromonami ich nie łączy - może dostałaby ten jeden wymarzony dzień.

## TERAZ

Szkolenie miało się rozpocząć o czternastej. Marcowy dzień zapowiadał nadchodzącą wiosnę, pomimo we zalegających hałd starego śniegu zmieszanego ze żwirem niedopałkami i psimi odchodami. Słońce świeciło tak jasno, że na przekór kilkustopniowemu mrozowi chciało się rozpiąć płaszcz i z powiewającym szalikiem - bez czapki - biec ulicami. Teresa, jak zawsze przy takich okazjach usiłowała wypchnąć z myśli czekające ją półtorej godziny wykładu, a skupiła się na tym, co nastąpi później. Była umówieni z Marcinem jak za dawnych lat. Na godzinę miała wyrwać się ze swojego życia. Rzeczywistość miała na chwilę rozstać się i przepuścić ją do świata marzeń. Na godzinę, tylko na godzinę. Ale obiecała sobie nie myśleć o tym, jak to boli, kiedy taka godzina się kończy. A trwa w rzeczywistości zatrzaskuje się, a światło z jaskrawego zmienia kolor na brudnoszary. Wiedziała, że po spotkaniu będzie żałować, ale odmawiała zastanawiania się nad tym. Na przekór zimie rozpięła zieloną kurtkę i rozwiązała kolorowy

szal, aby frunął za nią jak jej świeżo umyte włosy. Dawno nie czuła się tak... Młodo? Radośnie? Nie znała określenia na ten stan i przypomniała sobie dawne sny o lataniu nad Warszawą.

Żeby dojść do szkoły, musiała z Rakowieckiej skręcić w Wiśniową i przejść jeszcze kawałek do przedwojennej dwupiętrowej willi schowanej w ogrodzie. Drzewa, teraz bezlistne, pewnie pamiętały jeszcze czasy budowy domu, a modne w latach trzydziestych zaokrąglenia narożników budynku i taras na pierwszym piętrze zdradzały jego wiek lepiej niż metryka. Szary tynk nosił gdzieś tam ślady pocisków, najprawdopodobniej z czasów powstania warszawskiego. Jedynie jaskrawopomarańczowa tablica z logo szkoły - statkiem „Santa Maria” pod pełnymi żaglami

- informowała, że to tu mieści się Centrum Językowe.

Teresa otworzyła ciężkie drzwi ozdobione witrażem i weszła do hallu. Powiesiła płaszcz na wieszaku na ścianie. Wewnątrz stała już grupka lektorów, paląc przy drzwiach do sekretariatu. Palenie na piętrze, przy salach lekcyjnych, było zabronione - chyba że na tarasie, ale ten był zamknięty zimą. Teresa dołączyła do grona palaczy. Omawiali po angielsku jakiś zawiły problem słownikowy, na uboczu stała nieco zagubiona germanistka Gosia, znana ze swojej skłonności do narzekania. Już otwierała usta, żeby wygłosić jakąś krytyczną uwagę na temat spędzania piątku na beznadziejnie nudnym szkoleniu, ale na widok rozpromienionej Teresy zmieniła zamiar.

- A co ty taka zadowolona? - zapytała z lekkim przekąsem, poprawiając okulary.

- Piękny dzień, wiosna! - uśmiechnęła się Teresa w odpowiedzi.

- Taaak, rzeczywiście. Zaraz widać, że nie musiałaś rano na siódmą jechać na kursy do firmy - burknęła Gosia.

- Myślałam, że się utopię w tym błocie w Jankach! Zobacz, jak zniszczyłam buty. Jeden spacer z przystanku do firmy i już do wyrzucenia.

Teresa roześmiała się na widok przybrudzonych kozaczków na szpilce.

- No, bo kto wkłada takie szpile, żeby się przedzierać przez błoto?

- No wiesz, nie każdy może sobie uczyć na placu Bankowym jak ty - obraziła się Gosia, co Teresa zbyła śmiechem, chociaż normalnie jękliwa koleżanka zawsze psuła jej humor.

Z góry dobiegł głos szefa wzywający do sali. Pogasili papierosy, powlekli się po przedwojennych wyślizganych schodach do małej, ale nowoczesnej salki. Składane plastikowe krzesła w wesołym czerwonym kolorze wokół owalnego białego stołu, na podłodze popielata wykładzina, w oknie czerwone płócienne wertikale - teraz zasłonięte, żeby chronić oczy przed nisko padającym marcowym słońcem. Szef, Andrzej, po czterdziestce - kiedyś siatkarz, obecnie alpinista z zamiłowaniem, a dyrektor jakby przy okazji, w przerwach między wyprawami w skałki - szpakowaty, o szczupłej sylwetce, siedział już za biurkiem, na którym stał rzutnik. Obok niego usiadła niska, pyzata i zawsze uśmiechnięta zastępczyni - Ola, dobra dusza szkoły, powiernica wszystkich lektorów, najcieplejszy człowiek, jakiego Teresa znała. To

dlatego tak chętnie przychodziła tu do pracy. To szefowie sprawiali, że ta szkoła - mimo że bez ambicji zdobycia wielkiego rynku, bez perspektyw wspaniałej kariery - była miejscem ciepłym, przyjaznym i wesołym. Naklejka w czytelni lektorów na parterze: „strefa życzliwości” tylko potwierdzała istniejący stan rzeczy. To była pierwsza praca, do której Teresa chodziła chętnie - nawet jeśli nie znosiła niektórych uczniów, to chłonęła atmosferę miejsca. Jakże inna od pierwszej prawdziwej pracy, gdzie w małym biurze wszystkie pięć osób nieustannie kopało pod sobą dołki i obmawiało się wzajemnie.

Szkolenie trwało niedługo. Ot, kilka aspektów nowego internetowego systemu obsługi, nowe funkcje, prezentacja laptopa, kilka ćwiczeń praktycznych, na stole krakersy, soki. Gosia siedząca obok całe półtorej godziny syczała

Teresie do ucha zrzędlawe uwagi:

- I po co oni nas tu sprowadzili? Jakby nie można było e-maila wysłać, zamiast gadać przez godzinę. I ten cały system. Już dziennik nie wystarcza? Jeszcze do komputera mam wpisywać, rany, a kiedy ja mam niby znaleźć czas na to wszystko?

- Wiesz, to trwa całe pięć minut, wpisanie obecności i ocen do systemu - odparła pogodnie Teresa.

- No tak, dla ciebie to wszystko jest łatwe i proste - prychnęła germanistka. - Pewnie jakbym miała bogatego męża i uczyła sobie dla rozrywki, też by mi się wydawało proste.

Teresa nie odpowiedziała, ale zrobiło jej się przykro. Nie na tyle, żeby zmącić radość oczekiwania, ale na tyle, żeby wprawić ją w złość. Wszystko zaczęło się od zadanego kiedyś żartem pytania o zarobki męża, na które nie odpowiedziała. Potem któraś koleżanka rzuciła w żartach: „Ty to chyba nie musisz pracować?”, na co odparła, że nie, rzeczywiście nie musi... Ale chce, bo praca daje jej satysfakcję. Teraz przynajmniej widziała, jak niektórzy ją postrzegają. Żona bogatego japiszona, która sobie pracuje dla rozrywki, żeby wyjść z domu. Oczywiście nie mieli pojęcia o latach, kiedy bogaty japiszon był na stażu w korporacji za pół darmo, a ona uczyła od siódmej rano do dwudziestej pierwszej w renomowanej, bezdusznej szkole angielskiego w centrum miasta; o latach, kiedy zakup dezodorantu robił dziurę w budżecie, a za samochód służyła im rozklekotana toyota z wczesnych lat osiemdziesiątych. Toyota teraz dokonywała żywota w postaci zardzewiałego wraka na parkingu przed blokiem - jak smutne memento gorszych czasów, kiedy z dziećmi do lekarza jeździło się autobusem nocnym, bo samochód akurat stał po raz pierwszy w warsztacie.

Nie pozwoliła sobie jednak zepsuć nastroju. I po szkoleniu, kiedy wszyscy palacze znów zbili się w grupkę na korytarzu, uśmiechnęła się do nich, zgasła papierosa w blaszanym koszu na śmieci i wyszła w popołudniowe słońce.

Czekał na nią - tak jak się umówili wcześniej - kawałek dalej. Zaparkował przy wejściu do jakiegoś budynku ambasady i stał oparty plecami o czarny samochód. Ta sama znajoma wysoka sylwetka co kiedyś. Ciemne okuła nadawały mu wygląd pilota z amerykańskiego filmu. Przywitali się cmoknięciem w policzek. Jeszcze wszystkie drogi były otwarte, nadal mogli udawać po prostu dawnych znajomych, którzy sentymentalnie wspominają minione lata.

Wsiadła do samochodu na przednie siedzenie. Następna nowość: nigdy nie jeździła z nim samochodem, choć kiedyś chwalił jej się prawem jazdy i tym, że ojciec pożyczał mu czasem rodzinnego wychuchanego opla astrę. Ciekawa była, jak prowadzi, ale w popołudniowym korku na Puławskiej nie miała szans się tego dowiedzieć. Włączył radio, jakąś rockową stację. Z czterech głośników sączył się jeden z nowszych kawałków U2: Vertigo. Obserwowała zza okularów słonecznych jego profil: skupione na drodze spojrzenie, prawą dłoń spoczywającą niemal bez przerwy na dźwigni zmiany biegów. Tuż obok radia w uchwycie połączonym z ładowarką tkwił telefon, identyczna złoto-czarna nokia jak Krzyśka. Żadnych bajerów, aparatów cyfrowych, kolorowych wyświetlaczy - klasyczny, porządny telefon biznesmena. W pewnym momencie nokia wydała z siebie cichutki pisk. Marcin uśmiechnął się przepraszająco.

- Oficjalnie jestem w pracy, niektórzy klienci nie uznają przerwy obiadowej.

Jednak kiedy odebrał telefon, zaczął od:

- Cześć, skarbie.

- Tak, późno - ciągnął dalej. - Przepraszam cię, ale jadę na spotkanie. Nie, nie wiem kiedy. Nie czekajcie z obiadem. Coś ci przywieźć czy mama wyjdzie na zakupy? Aha. Tak, leż i odpoczywaj. Pa.

- Paula leży? - spytała Teresa, gdy skończył rozmowę.

- Tak, do odwołania - skrzywił się niechętnie. - Jakieś tam łożysko. Podobno grozi komplikacjami, więc leży, aż się podniesie czy przeniesie. Nie wiedziałem, że ciąża to tyle problemów - obrzucił ją uważnym spojrzeniem. - Pamiętam, że ty w ciąży żyłaś zupełnie normalnie, prawda?

- W pierwszej tak. Widzieliśmy się wtedy kilka razy. Miałam szczęście. W drugiej ciąży też leżałam, nawet miesiąc w szpitalu. Wiesz, zadzwonię do Pauli może jutro spróbuję ją pocieszyć.

- Wiesz, ja chyba nigdy nie zrozumieję was, kobiet powiedział w zamyśleniu. - Jak wy możecie się zaprzyjaźnić w takiej sytuacji?

- lubię ją - odparła Teresa po prostu. - Jakoś ją polubiłam, sama nie wiem kiedy. Ty i mój mąż też rozmawiacie, zamiast rzucić się na siebie z pięściami.

Potrzęsnałą głową i roześmiał się.

- Nie, my to zupełnie co innego. My właśnie rozmawiamy, zamiast się bić. Nigdy was nie zrozumieję, Paula bez przerwy o tobie opowiada: Teresa to, Jaś tamto. I podobno nawet postawiłaś jej karty?

- Nie ja - odpowiedziała. - Agata, moja znajoma. Ja już prawie nie pamiętam kart, nie dotykałam mojej talii od urodzenia Marysi. Boję się.

- Szkoda... Ciekawe, co karty powiedziałyby o nas - powiedział. - Jeszcze pamiętam, jak wywróżyłaś mi kiedyś blond żonę z innego miasta...

- Dawne czasy - ucięła. Dojechali do centrum. Marcin powoli wprowadził samochód na wielopoziomowy parking na tyłach hotelu Forum. Kiedy wysiedli, spojrzeli na siebie.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Najpierw na jakąś kawę, a potem gdzieś, gdzie będziemy sami? - powiedział prawie pytająco.

Kiwnęła tylko głową, bo nie potrafiła nic odpowiedzieć. To była propozycja. Odrzucenie jej teraz byłoby odrzuceniem go na zawsze, a tego by nie zniosła. Była już prawie zdecydowana wreszcie zerwać tę maskę, którą zawsze wkładała dla niego - raz się odsłonić nawet za cenę upokorzenia.

Usiedli w pubie Patrick's tuż obok parkingu, po dwóch stronach ciężkiej, typowo piwiarnianej drewnianej ławy -tak wąskiej, że ich kolana zetknęły się ze sobą. Nie cofnęła nóg, czuła bijące od Marcina przyjemne ciepło, spojrzała na niego ponad świeczką płonąca w szklanym lichtarzyku na środku ławy.

- Wiesz, sam w to nie wierzę - powiedział powoli. -Nigdy nie spotykałem się z byłymi dziewczynami... To znaczy z Agnieszką właściwie nigdy. Ale kiedy tak siedzimy, wydaje mi się, jakbyśmy się nigdy nie rozstali.

Ujął jej dłoń w swoją i delikatnie pogładził palcem jej grzbiet - przesuszoną skórę i kilka wystających błękitnych żyłek, których nie było kilka lat wcześniej.

- My się prawie nie znamy... - powiedziała z wahaniem. - Czuję się tak, jakbym cię jednocześnie świetnie znała i jakbyś był zupełnie obcy. Czytałam twoje artykuły w gazetach, w Internecie. Są błyskotliwe. Mało z nich rozumiem. Przez te lata stałeś się kimś innym.

- Chciałbym cię poznać na nowo - odpowiedział po prostu. - Żebyśmy mieli szansę poznać się jeszcze raz, teraz, kiedy już dorośliśmy, i przekonać się, co właściwie było między nami.

Nie powiedzieli sobie wiele więcej, wypili po kawie i wyszli z powrotem na ulicę. Przeszli kawałek Żurawią i weszli w jedno z podwórek.

- Co to za miejsce? - spytała Teresa.

- Znajomy ma tu biuro tłumaczeń, zamyka je o szesnastej i idzie do domu. Był mi winien przysługę, więc poprosiłem go o klucze.

Weszli na czwarte piętro po wyślizganych marmurowych stopniach i otworzyli solidne drzwi antywłamaniowe. Za nimi znajdowało się niewielkie, zagracone biuro - w jednym pokoju biurko z komputerem, w drugim jeszcze dwa biurka i dwa fotele, na ścianach półki pełne słowników, segregatorów, w przedwojennych oknach białe żaluzje.

Usiedli w dwóch podniszczonych skórzanych fotelach, które ustawili naprzeciwko siebie, bardzo blisko. Faks stojący w kącie na biurku ze zgrzytem wypluwał z siebie rolki zadrukowanego papieru. Włączyli stojące na regale radio, żeby zagłuszyć ten dźwięk. Gdy radio wybuchło Madonną czy Anastazją, przyciszyli je. Znowu zapadło milczenie. Tym razem jednak nie dzieliło, a łączyło. I już po chwili całowali się.

Teresa zdała sobie sprawę, że było inaczej niż kiedyś, Teraz całował ją trzydziestotrzyletni mężczyzna,

bez pośpiechu dwudziestolatka, bez tej nieporadności, która ją kiedyś urzekła. Teraz był spokojny, zdecydowany. Pocałunek trwał długo. Zamknęła oczy i przesunęła dłoń po jego skroni, po włosach nadal gęstych i lekko falujących. Poczowała dotknięcie jego dłoni na policzku, palce zsunęły się na szyję, dekolt. Zabrakło jej tchu, odsunęła się.

- Co się stało? - zapytał.

- Muszę... musimy się najpierw poznać na nowo -szepnęła. - Teraz to jak z kimś obcym, nie potrafię tak...

- Ale jest tak samo jak kiedyś, prawda?

- Prawda... tak, przyciąganie jest takie samo - roześmiała się nerwowo.

- Dobrze. Nie ma pośpiechu. Możemy się poznawać na nowo, rozmawiać. Ale możemy też się całować jak kiedyś?

- Tak - zgodziła się i wreszcie zadała to pytanie: - Ale znowu będę tylko zastępstwem, prawda?

Zamyślił się na chwilę, zanim odpowiedział.

- Nigdy nie byłeś zastępstwem... To ja zawsze miałem wrażenie, że jestem ten drugi; ten w zastępstwie, ten niepotrzebny. Przecież to ty podjęłaś decyzję o naszym rozstaniu, to ty zawsze podkreślałaś, że chcesz wyjść za mąż... A teraz ty masz dzieci, ja mam żonę w ciąży... Nie możemy liczyć na nic więcej niż takie spotkania, prawda?

- Masz rację - powiedziała. - Ale jeszcze nie dzisiaj. Nie chcę się z tobą kochać na jakimś fotelu w cudzym biurze. Chcę, żebyśmy raz mieli to, na co zawsze zasługiwaliśmy, spokój i wygodne miejsce; żebyśmy nie musieli zaraz potem ubierać się i uciekać. Wiesz, co mam na myśli, prawda? - roześmiała się tym razem szczerze, bo z wyrazu jego twarzy domyśliła się, że przypominał sobie teraz dokładnie te same chwile co ona. Te wszystkie ławki, murki i klatki schodowe, chwile, kiedy jego rodzice wychodzili do kościoła, i imprezy, na których zamykali się w sypialni gospodarzy, żeby choć przez chwilę побыć sami.

- Dobrze - zgodził się. - Mogę czekać. Jestem dobry w czekaniu. Czekaliśmy na to tyle lat, że jeszcze kilka dni nie zaszkodzi. Postaram się znaleźć jakieś miejsce.

Znowu ją pocałował i tym razem nie odsunęła się. Chłonęła dotyk i zapach całą sobą, z zamkniętymi oczami. Przez chwilę znowu była tamtą dziewczyną w indyjskiej sukience, która siedziała na brzegu tapczanu w pokoiku z widokiem na Las Kabacki. Potem siedzieli jeszcze przez chwilę w fotelach, po prostu patrząc na siebie i milcząc, aż wreszcie wyszli z opuszczonego biura, zamykając masywne drzwi na zamek i trzymając się za ręce, zbiegli po schodach. Dopiero na ulicy rozdzielili się i pożegnali, rozchodząc się w dwie różne strony.

Teresa wróciła do domu, zwolniła nianię i zajęła się dziećmi, które od razu zauważyły, że mama jest lekko rozkojarzona i tylko na wpół uczestniczy w czytaniu i budowaniu z klocków. Gdy wrócił Krzysiek, niczego nie dostrzegł. Przywitał ją jak zwykle krótkim „Cześć” rzuconym w progu. Kiedy razem kąpali dzieci, myślała o tym, jak łatwo jest zdradzić, jak dziecinnie prosto jest zawieść zaufanie człowieka, który

niczego złego się nie spodziewa. Po południu całowała się w pustym mieszkaniu z dawną miłością swojego życia, a trzy godziny później pije herbatę na kanapie u boku męża czytającego gazetę i leniwie przerzuca kanały w telewizorze, a przy okazji omawia z nim sobotnią listę zakupów.

Po filmie poszła do łazienki i przed kąpielą przyjrzała się sobie w lustrze. Nie dało się ukryć - nawet w przyćmionym świetle - że nie była już dwudziestolatką. Mimo to stwierdziła jednak, że czas jak dotąd obszedł się z nią dość łaskawie. Nadal mogła pokazać swoje ciało, może poza brzuchem pokrytym delikatną siateczką rozstępów i skórą, która nieco utraciła jędrność. Reszta wytrzymała nawet bardzo krytyczną ocenę. Nie pozwoliła sobie na żadne dalsze rozmyślenia i po prostu poszła spać, jak zwykle sama, choć tym razem wcale jej to nie przeszkadzało.

Paula obserwuje nadchodzącą wiosnę przez okno. Śnieg znika z podwórka, odśnając pokłady zeszłorocznego brudu, piwniczne koty wyją nocami, nie dając spać. Nie miała pojęcia, że dni mogą tak się dłużyć. Jest przyzwyczajona do zapewniania czasu pracą, spacerami z pracy do domu, zakupami, krzątaniem się. Z przyzwyczajenia budzi się o siódmej rano, robi Marcinowi kawę, przygląda się leniwie, jak się ubiera, szykuje do wyjścia. On następnie żegna ją pocałunkiem w policzek, aż wreszcie drzwi trzaskają i Paula zostaje sama z monotonnym tykaniem kuchennego zegara. Włącza telewizor - Kawa czy herbata? albo Dzień dobry TVN - i z książką w ręku odlicza minuty do przyjścia mamy.

Mama pojawia się punktualnie o dziesiątej, wnosi powiew energii. Mimo przekroczonej parę lat wcześniej pięćdziesiątki i kilkunastu kilo nadwagi wręcz tryska młodością i werwą. Jej rumiana twarz jest ogorzała od jeżdżenia po wsiach i długich spacerów z psami, blond włosy przetykane śladami siwizny, nadal gęste i kręcone, z trudem dają się upiąć w gładką fryzurę. Mama nocuje u ciotki Haliny. Tak jak Paula przewidywała, po pierwszych dwóch nocach spędzonych w jednym mieszkaniu pokłóciły się. Marcin z naburmuszoną miną przeciskał się między nimi. Miały wrażenie, że zajmują za dużo miejsca w ciasnym mieszkanku we dwie. Próby porozumienia każda z nich kwitowała nadąsanymi burknięciami. Teraz jest lepiej, u ciotki mama ma własny pokój, studenckie lokum Pauli z rozklekotaną wersalką i dwoma bambusowymi taboretami, z regałem na książki i małym czarno-białym telewizorkiem.

Mama otwiera drzwi kluczem Pauli, rzuca futrzany płaszcz na szafkę z butami w przedpokoju i bierze się do rozpakowywania siatek. Pauli przypomina się dzieciństwo i wstaje, żeby pomóc.

- Leż, dziecko, masz leżeć! - gromi ją matka.

- Nie leżeć, tylko oszczędzać się... – próbuje sprostować Paula, ale mama zbywa ją niecierpliwym ruchem ręki.

- To jedno i to samo. Leż. Ja ci zaraz zrobię śniadanie, herbaty zaparzę. „Wyborczą” ci kupiłam i jeden plotkarski magazyn. Fajny film dodają w tym tygodniu. Paula próbuje ukryć uśmiech, doskonale wie, że mama wstydzi się czytania plotkarskiej prasy i udaje, iż kupuje ją dla niej ze względu na film, ale Paula jest już tak znudzona, że zabiera się do przeglądania kolorowych stron. Mandaryna i Wiśniewski, Doda i Radek. Pary i ich perypetie, gwiazdy źle ubrane. Kto wygląda grubiej w czerwonym: Nicole Kidman czy Salma Hayek? Mama w kuchni robi śniadanie, wszystko zdrowe i pożywne, ciemne pieczywo na zaparcia i biały ser dla wapnia. Paula czasem ma ochotę na coś niezdrowego, na czekoladę, tosta z nutellą, ale



dławi w sobie te chęci z troski o dziecko. Zjada pożywne i zdrowe śniadanie, potem siedzą, rozmawiając i oglądając telewizję, spierają się z nudów o imię dla dziecka.

- Martyna, a co to za imię! - obrusza się mama. - Tyle innych imion: Joasia, Agnieszka, Andżelika... Dlaczego te wydumane? Dajcie jej normalnie: Marta.

- Martyna - uśmiecha się Paula. - Bo tata Marcin, więc ta Martyna. Chłopczyka nazwiemy Pawełek.

- No, to chociaż normalne - cieszy się mama. - Ale na drugie powinien mieć Henryk. Po dziadku.

Na takich rozmowach mijają im przedpołudnia. Ponadto mama jest kopalnią plotek na temat rodziny i sąsiadów, dawnych kolegów szkolnych Pauli i jej kuzynów. Ten się ożenił, ta ma bliźniaki, ten na bezrobociu, a jeszcze inny się rozpił.

Potem przychodzi pora obiadu. Mama sieka, kroci, smaży i zmywa, Paula zjada, leżąc w łóżku, mama zostaje do wieczoru do powrotu Marcina z pracy. Robi uwagi na temat godziny powrotu, Paula próbuje bronić męża.

- Mamo, nie masz pojęcia, jak ciężko trzeba pracować, mając własną kancelarię.

- Może i nie, ale mam pojęcie, jak się pracuje, mając lecznicę dla zwierząt, i wiem jedno, że twój ojciec zawsze wracał do domu na siedemnastą!

Pewnego popołudnia mamie wyrywa się zdanie w rodzaju:

- Ja bym na twoim miejscu uważała. Bardzo lubię twojego męża, ale boję się, żeby on sobie kogoś nie znalazł na boku. Założę się, że są setki dziewczyn, które by za nim poleciały, a ty tutaj w łóżku nawet nie możesz z nim wyjść na spacer.

To jedno zdanie wystarczyło, żeby obudzić w Pauli jakąś drugą naturę, coś niesympatycznego, czego się trochę wstydzi. Nie czuje się dobrze, zastanawiając się, dlaczego jej mąż wraca późno z pracy. Czy spotkanie z klientem na pewno miało charakter biznesowy? I jak wygląda nowa recepcjonistka? Jest zła na samą siebie, że w ogóle dopuszcza takie myśli do głosu, więc stara się mężowi wynagrodzić tę skrywaną nieufność. Próbuje więcej rozmawiać o jego pracy, okazywać mu czułość, ale niejako na potwierdzenie jej podejrzeń odkrywa, że Marcin stał się jakby nieobecny, zdarza mu się zamyślać w pół zdania, a czasem, gdy rozmawiają, patrzy na nią i nagle ten jego zwyczajny, skupiony wyraz twarzy zaczyna się prawie rozmywać, spojrzenie wędruje gdzieś w dal, po czym wraca - a on, wyraźnie zawstydzony, prosi: „Powtórz, co mówiłaś”. Paula oczywiście nikomu nie przyzna się do swoich, mglistych przecież i niesformułowanych wyraźnie, podejrzeń. Czasami czuje się zupełnie samotna i opuszczona. Wie, że to irracjonalne, więc zrzuca wszystko na hormony ciąży we i huśtawkę nastrojów.

Pewnego dnia dzwoni z pracy Ula, szefowa działu. Po krótkim wstępie, pytaniach o zdrowie i samopoczucie przechodzi do rzeczy:

- Powiedz, proszę, ile planujesz tego zwolnienia.

- Nie wiem - odpowiada Paulina. - To zależy od wyniku kolejnego badania USG, ale jest niestety możliwość, że będę leżeć do końca.

- No cóż - Ula nawet nie próbuje złagodzić ciosu. - Postanowiliśmy czasowo przyjąć na twoje miejsce Milenę,

I nową stażystkę. Pamiętasz ją, prawda?

- Tak... - Paula nie wie, co odpowiedzieć, znowu hormony ciążowe najwyraźniej, bo nagle ma łzy w oczach i gulę w gardle.

- Gdybyś wróciła przed porodem, znajdziemy ci jakieś inne zadania, ale mówiąc szczerze, w obecnej sytuacji wołałabym, żebyś została w domu do rozwiązania - ciągnie Ula. Paula już prawie jej nie słyszy, dociera do niej tylko: - Milena skontaktuje się z tobą w ciągu paru dni i poprosi o przekazanie najpilniejszych projektów.

Paula odkłada słuchawkę i pozwala sobie na płacz. Czuje się kompletnie odrzucona, odstawiona na boczny tor. Wyobraża sobie tę młodziutką, ledwie po dwudziestce, dziewczynę za swoim biurkiem, na którym pewnie nadal stoi ślubne zdjęcie jej i Marcina, jak z satysfakcją grzebie w jej szufladach, zapasowe rajstopy, kilka tamponów w pudełku, dezodorant w kulce, guma Orbit i w komputerze zdjęcia z wakacji nad morzem, e-maile od koleżanki z Białegostoku, e-maile od mamy, kilka świńskich dowcipów przesłanych z innego działu, na szczęście żadnych e-maili od męża, co to, to nie, te kasowała od razu po otrzymaniu, umarłaby ze wstydu, gdyby ktoś obcy je przeczytał). Wyobraża sobie, jak ta cała Milena zajmuje jej przestrzeń, a ona sama po powrocie trafia do opuszczonego pokoiku na końcu korytarza, gdzie jej zadaniem jest kserowanie i wpinanie dokumentów w segregatory, praca kolejnych stażystów i studentów, praca, od której sama zaczynała kilka lat wcześniej. Przeraza ją perspektywa spędzenia kolejnych pięciu miesięcy w mieszkaniu, w łóżku, miesiące wypełnionych czytaniem plotkarskich magazynów i oglądaniem porannych programów w telewizji, miesiące pogawędek z mamą i czekania do wieczoru na powrót męża - miesiące bez wyjść, bez zakupów, bez seksu, bez przyjaciół. Minęły dopiero dwa tygodnie od wyroku, jeszcze drugie tyle do decydującego badania, a ona już czuje się tak, jakby minęły wieki. Przed przyjściem mamy Paula dzwoni do Teresy. Liczy na zrozumienie. Ma nadzieję, że to, co nawiązało się między nimi, nadal trwa, że Teresa jej coś poradzi. Rzeczywiście, początek rozmowy jest serdeczny, ale wyczuwa w jej głosie coś jakby chłód, wahanie, brak zainteresowania. Nie potrafi tego dokładnie określić.

- Nie przejmuj się aż tak - radzi jej Teresa. - Dziecko jest teraz najważniejsze. Praca to tylko praca. Znajdziesz lepszą, jak odchowasz malucha. - I dodaje: - Ja też leżałam. W drugiej ciąży ostatnie sześć tygodni w szpitalu, cholestaza, problemy z wątrobą, zagrożenie dla dziecka. Tylko się nie daj zapakować do szpitala, tam się dopiero zanudzisz.

Zaraz kończy rozmowę, w tle słychać płacz, chyba wrzaski starszego dziecka. To musi być Marysia, którą Paula widziała tylko raz, jako tyse dwumiesięczne niemowlę w foteliku samochodowym. Przyniosła jej wtedy grzechotkę kaczorka i siedziała całą wizytę, pół godziny, onieśmielona i spięta. Dziecko krzychało w tle co jakiś czas, mężczyźni rozmawiali, ona nie miała nic do powiedzenia. Teraz to niemowlę drze się

rozkazująco: „Oddaj mi natychmiast MOJĄ Barbie!”, a młodsze krzyczy niezrozumiale. Paula ma wizję siebie za kilka lat pomiędzy dwójką dzieci: bez pracy, gotującą obiady dla męża w ramach jedynej dostępnej rozrywki, rozmowy telefonem z wrzaskiem w tle. Gładzi machinalnie coraz większy brzuch. Jest ciekawa, kiedy wreszcie poczuje ruchy dziecka, te „cudowne kopniaczki”, jak to określają dziewczyny na forum dla ciężarnych. Jest przerażona, ale mimo to ciekawa, jak to będzie, kiedy dziecko się urodzi... I w tej samej chwili czuje, że jej praca, jej wątpliwości i podejrzenia są kompletnie nieważne w porównaniu z tym, co dzieje się wewnątrz niej. Może to znowu hormony, ale tym razem Paula czuje pełnię szczęścia i zapomina o wszystkim.

Tego wieczoru, kiedy mąż wraca z pracy, a mama idzie do siebie, wita go inaczej niż ostatnio. Jest czuła i pełna miłości, a jego oddalenie tłumaczy sobie nawałem pracy, i przestaje o tym myśleć.

## DAWNIEJ

Dwudzieste drugie urodziny Teresy wypadają tuż przed rozpoczęciem roku akademickiego, 28 września. Wszyscy zdążyli już wrócić z wakacji. Lato zmierza ku końcowi. Upały zelzały, ustępując miejsca przenikliwie chłodnym porankom i wieczorom. Teresa od miesiąca ma pierwszą etatową pracę. Jest asystentką w firmie składającej się głównie z prezesa i dyrektora, i jeszcze dwóch pań koło czterdziestki zajmujących się księgowością. Codziennie siedem godzin za biurkiem w kupionej na tę okazję białej bluzce i szarej spódnicy pamiętającej maturę. Siedem godzin odbierania telefonów i parzenia niezliczonych kaw.

- Pamiętaj, żona prezesa to Danka, a dziewczyna prezesa to Małgosia - pouczyła ją jedna z księgowych.
- Nigdy nie łączysz Małgosi, kiedy w gabinecie siedzi Danka, bo prezes zawsze gada z nią o świństwach.
- Jak w gabinecie siedzi Małgosia, nie łączysz nikogo i nie wchodzisz, bo wtedy prezes robi te świństwa, o których opowiada - dodała druga i obie parsknęły śmiechem.
- I nigdy nie idziesz na kolację z prezesem. Chyba że masz na niego ochotę - pierwsza mrugnęła porozumiewawczo.

Teresa nie miała ochoty ani na prezesa, utlenionego blondyna po pięćdziesiątce, który zaczynał dzień od kieliszka koniaku, ani na dyrektora, który ledwo przekroczył trzydziestkę, a już miał pokaźny brzuszek i łysinę na czubku głowy. Obaj zajmowali się czymś, co określali jako bing w czasach, kiedy to pojęcie jeszcze z niczym się nie kojarzyło. Jej zadanie polegało na uprzejmym odbieraniu telefonów, odsyłaniu niechcianych interesantów i robieniu kawy grubym rybom, przed którymi obaj panowie padali niemalże plackiem na dywan.

W ramach ochrony przed prezesem, który najwyraźniej lubił młodsze i nie zamierzał zadowolić się tylko słynną Małgosią, Teresa starała się, żeby zawsze czekał na nią po

pracy Krzysiek. Jednak tydzień po niej i on znalazł pierwszą pracę, w biurze rachunkowym. Miał elastyczny czas pracy, tak aby mógł dalej studiować - oboje zaczęli trzeci rok studiów - i nie zawsze

mógł po nią przychodzić. Pewnego dnia, gdy wyszła z biura w podcienia długiego budynku z restauracją na parterze, rozejrzała się dokoła i zamiast Krzyśka ujrzała obco wyglądającego chłopaka w garniturze, pod krawatem, z krótkimi włosami ściętymi niemal przy samej skórze.

- Coś ty zrobił? - jęknęła z rozpaczą na wspomnienie jego długich ciemnoblonde włosów, które nadawały mu wygląd pomiędzy Jezusem a Johnem Lennonem i idealnie pasowały do niewielkich okularów w owalnej oprawie.

- Wymagania pracodawcy - roześmiał się w odpowiedzi. - Co, nie podobam ci się?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale wystarczyły jej dwa dni, żeby przyzwyczaić się do jego nowego wyglądu. Czuła się prawie dumna, gdy szli razem ulicą, on w garniturze i z tandetną, kanciastą, plastikową teczką - dopiero po latach miała ją zastąpić pojemna aktówka z mięciutkiej cielejącej skóry w kolorze kawy z mlekiem, symbol stanowiska podobnie jak garnitur od Zegny. Ale też czuła żal. Przeczuwała, że z chwilą kiedy oboje zaczęli pracować, powoli kończy się pewien etap szaleństwa, wolności, możliwości że zmieniają się w panią w garsonce i pana w garniturze. Z drugiej strony odkrywała nową wolność, którą dawały regularnie zarabiane pieniądze, siedemset nowych złotych miesięcznie wydawało się jej majątkiem w porównaniu z nieregularnymi wypłatami z korepetycji. Krzyśkowe pięćset pięćdziesiąt składało się na nowe nieograniczone możliwości. Teraz mogła bez wyrzutów sumienia kupić sobie nowe spodnie czy bluzkę, już nie tylko w India Shopie, ale w niedawno otwartym butikiu młodzieżowym na Krakowskim Przedmieściu. Starczało i na piwo, i na kino, i na wyjście - niekoniecznie do fast foodu - na kolację.

W dni, w które Krzysiek zostawał w pracy do wieczoru, przychodził po nią Marcin. Też czekał w podcieniach pod filarami. Był przeciwieństwem Krzysztofa: wysoki, długowłose i posępnie zamyślony, ubrany w jakieś strzępiące się džinsy z dziurami na kolanach w strasznie żółtą bluzę.

Szli razem przez miasto, trzymając się za ręce, korzystając z ciepłych wczesnojesiennych dni, przesiadywali na podłodze na ławkach. Przytuleni, rozmawiali marząc o miejscu, gdzie mogliby spędzić godzinę sami. Starannie omijali rejon placu Unii Lubelskiej, gdzie pracował Krzysiek, i plac Politechniki, by nie natknąć się na jej babcię, matkę, braci czy niezliczone sąsiadki i znajome. A potem, wieczorem, wracali od niespełnionego pragnienia. Ona do domu, czasem czekał Krzysiek, a częściej tylko mama. W weekendy przyjeżdżała Agnieszka, która właśnie zaczęła klasę maturalną. Czasami on do niej. W te weekendy Teresa nie mogła znaleźć miejsca. Gryzła się i wściekała, wyobrażając sobie, że wreszcie znajduje ulgę w objęciach tej nastolatki, jak po wszystkich spaceruje z nią po lesie; jak w niedzielny poranek towarzyszy jej rodzicom na mszy i zostaje na obiedzie; jak przy rodzinnym stole Agnieszki, pod czujnym okiem przyszłego teścia i teściowej, zjada rosół, schabowego i buraczki, a potem żegna się z Agnieszką długim pocałunkiem na peronie dworca. Sama spędzała weekendy z Krzyśkiem - czasem po prostu w domu, czasem u jego rodziców - zawsze sztywno. Kawa przy stole jadalnym, biały obrus, wiecznie nieobecny duchem ojciec, zwykle pochylony nad książką, i matka serdeczna, ale jakby nieufna w stosunku do Teresy - może ze względu na jej śmiałe stroje, a może po prostu jej nie lubiła. Potem rozmowa w jego pokoju. Drzwi cały czas uchylone, mama wpadająca z ciasteczkami na tacy, odjazd autobusem o dwudziestej trzydzięci, spacer do przystanku zwykle z rodzicami, wymuszone rozmowy o

pogodzie i studiach. Teresa nie czuła się dobrze w tym domu, choć z biegiem lat polubiła jego mieszkańców, a z matką Krzysztofa znalazła wspólny język i pojawiła się nawet między nimi pewna naturalna serdeczność. Ale jeszcze nie wtedy, dopiero po urodzeniu dzieci. Przedtem była nieustannie sprawdzana. Albo tylko tak się czuła.

W ostatnią sobotę września Teresa wyprawiła urodziny. Jak się później okazało, miała to być ostatnia huczna impreza w wysokim mieszkaniu w starej kamienicy. Zaprosiła wszystkich, których znała - z pracy, szkoły, studiów. Grono było mocno wymieszane - od Aśki i Ewy z podstawówki, poprzez Ankę, wróżkę Agatę i jej dziewczynę, kilku znajomych ze studiów, kilku kolegów Krzyśka. Wszyscy przyprowadzili swoich chłopaków, dziewczyny. Po ogromnym, stuczterdziestometrowym mieszkaniu rozpełzły się grupki mniej lub bardziej znajomych osób. Marcin pojawił się w towarzystwie przyklejonej doń Agnieszki, szeregowego Andrzeja M. na przepustce z jednostki i Macieja, tego z baczkami, zasiedli w kółeczku w pokoju, pili wódkę prosto z butelki. Teresa lawirowała między znajomymi, wstawiała kwiaty do butelek, częstowała sałatkami. Co jakiś czas wymieniała tylko uwagi z Anką.

- No i gdzie ten twój piorun? - spytała Anię ożywioną po kilku kieliszkach wina. - To ten z tą małolatą? - Tak. - Teresa była przerażona. Powinna pamiętać, że przyjaciółka po alkoholu rozkręca się i gada za dużo. Uciekła więc na chwilę, w korytarzyku do salonu wydzielonym regałami na książki natknęła się na Marcina, na jego ręce i spojrzenie, zatrzymał ją prawie w biegu.

- Chodź, zatańczymy.

Nie miała siły się oprzeć, chociaż czuła, że nie może ulegać, na pewno nie pod okiem Krzyśka i przyjaciółek, przeciwnie, trzeba udawać, że to tylko przyjaźń. Bawiła się jednak myślą o tym, co by było, gdyby wszystko się wydało, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nagle wszedł do pokoju Krzysiek, zobaczył ich razem. Zastanawiała się: czy mamy wypisane na twarzach, że chcemy tylko jednego, czy potrafilibyśmy skłamać? Właściwie byłoby łatwiej, gdyby się wydało - pomyślała - nigdy więcej kłamstwa, udawania, mogłabym wreszcie bez wyrzutów sumienia być tam, gdzie naprawdę chcę. Ale czy tego rzeczywiście chcę? Przecież nawet nie wiem, jaki on naprawdę jest. Nie wiem o nim najbardziej podstawowych rzeczy, co lubi jeść na śniadanie i jaką pastą myje zęby, ulubiony zapach, dotyk, wygląd. Znam go tylko z rozmów na ławkach i długich pocałunków. Nie mogę ryzykować? Czy warto? Ale już po chwili w jej głowie odzywał się: „Nie znasz go, stracisz, jeśli się nie odważysz, będziesz do końca życia żałować”.

Lekko, dotknął jej twarzy. Jego oddech pachniał alkoholem, spojrzenie wyrażało coś jakby ból. Chodź teraz – powiedziała. - Nie mogę. W pokoju obok jest Agnieszka, a w kuchni twój chłopak zabawia waszych znajomych. Nie dzisiaj.

- Proszę! - nalegała otumaniona wypitym winem i jego bliskością. - Wyjdźmy na balkon, nikt nas nie zobaczy. Zgodził się z westchnieniem. Wyszli na balkon w pokoju chłopców. Wieczór był zimny - zapowiedź nadchodzącej jesieni. Na niebie gwiazdy zwiastowały pogodny ranek. Teresa oparła się o kutą balustradę, spojrzała w dół rusztowania oplatającego parter kamienicy i bramę, na płyty chodnika poniżej. Sklep spożywczy po drugiej stronie ulicy nadal zapraszał otwartymi drzwiami.

Wiedziała, że za dwie-trzy godziny goście jej imprezy zaczną się ustawiać w kolejce po następne wino czy wyborową. Potem podniosła wzrok i popatrzyła na dachy kamienic, wieżę kościoła Świętej Barbary mającą w mroku tuż obok kanciastej sylwetki hotelu Marriott. Czuła dotyk ciepłych dłoni na ramionach, zatraciła się w tym dotyku, straciła poczucie rzeczywistości, kiedy drzwi balkonowe uchyliły się ze skrzypnięciem.

Odskoczyli od siebie jak oparzeni. Ale to była tylko Anka, Anka w indyjskiej sukni i z czerwonym pasmem w kręconych czarnych włosach, Anka na wpół pijana, z długim brązowym papierosem w ręku. Wyciągnęła paczkę w kierunku Teresy, ta wyjęła takiego samego papierosa.

- Ty nie palisz, prawda? - rzuciła niedbale w kierunku Marcina. - A w ogóle miło cię wreszcie poznać na żywo.

Marcin mruknął coś, odwrócił się i zniknął w jej oświetlonym pokoju. Anka roześmiała się.

- Kompletnie nie mój typ - stwierdziła. - No, na razie masz alibi. Jakby ktoś pytał, to paliłaś na balkonie. A właściwie - zainteresowała się - co w nim widzisz? Warto dla niego stracić Krzysztofa?

- Nie wiem - tylko tyle umiała odpowiedzieć przyjaciółce. - Nie umiem ci odpowiedzieć... Jedno wiem, potrzebuję ich obu. Nie umiem wybrać jednego, jeszcze nie teraz. Jeden jest zwyczajny i dobry, drugi jest... no nie wiem co. Jak jazda na diabelskim młynie. Trochę się boję, ale nie wysiądę, muszę pojechać.

- Jak uważasz - pokiwała głową Anka. Misterne kolczyki w jej uszach zakołysały się w rytm poruszeń głową. - Tylko żebyś siebie nie skrzywdziła najbardziej. - Po czym wyrzuciła niedopałek z balkonu, celując z chirurgiczną precyzją w kratkę ściekową, i wróciła do mieszkania.

Teresa poszła za nią, ale już w pokoju braci natknęła się/ na Maćka. Trzymał w ręku kieliszek wina, w drugim jakąś książkę o filozofii zdjętą z jej półki. Wiedziała, że studiował nauki polityczne, i w zasadzie nic więcej. Nie sprawiał wrażenia osoby, która dobrze się bawi. Teresa słyszała, że niedawno rozstał się z dziewczyną, z którą był od czasów szkolnych.

Teraz zagroził jej drogę, trzymając tę książkę jak tarczę przed sobą.

- Usiądź na chwilę, muszę z tobą pogadać - wskazał jej jeden z bliźniaczych tapczanów nakryty kocem w kratę. - Bo z nim się ostatnio nie da rozmawiać - pokazał kciukiem za siebie, na drzwi do jej pokoju, gdzie jak wiedziała, siedzieli Marcin z Agnieszką i pewnie Andrzej.

- Czy wyście zwariowali? - ciągnął dalej. - Co wy właściwie wyprawiacie?

Próbowała coś odpowiedzieć, ale wino wirowało jej w głowie. Zanim cokolwiek powiedziała, przerwał jej z irytacją:

- Ja was nie rozumiem... Nie potrafię. Co by było, gdyby on miał żonę?

- Ale nie ma żony - parsknęła wściekle. - Ma tę... dziewczynkę.

- A ty masz chłopaka, zapomniałaś? Jak wy możecie tak traktować innych ludzi, którzy o was myślą,

którzy was kochają?

Natychmiast zrozumiała przyczynę jego złości, wystarczyło to, co powiedział.

- Ona cię zostawiła dla kogoś innego, tak? - zaatakowała.

- Co to ma do rzeczy? - pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą. - Ja... Ja nie rozumiem, po prostu nie rozumiem. Przecież to, co robicie, krzywdzi dwie osoby...

I was też krzywdzi. Nikt nie wyjdzie z tego cało, wszyscy są się pokaleczycie!

- Posłuchaj - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy - To, co dzieje się między mną a Marcinem, działałoby się choćby on miał żonę i sześcioro dzieci. To jest... - szukała słowa przez chwilę. - To jest większe i ważniejsze niż cokolwiek innego, niż ktokolwiek inny.

Z tymi słowami wyszła i zostawiła go siedzącego na tapczaniku, z książką o filozofach amerykańskich na kolanach i kieliszkiem wina w ręku. Chyba nie zobaczyła go już więcej po tamtej imprezie. Zniknął gdzieś, po latach z trudem przypominała sobie jego imię. Był tylko tłem dla tego, co się działo, cieniem na ścianie. I niczym więcej.

Jeszcze później, kiedy większość gości już wyszła, niektórzy niemrawo siedzieli w kuchni, a pozostali poszli spać na podłodze w dużym pokoju, Teresa, już oszołomiona winem, pijana właściwie, błąkała się po pokojach, zbierając porzucone kieliszki, paczki po papierosach. Noc dogorywała, muzyka grała ciszej. Krzysiek i kilku kolegów od dobrego kwadransa stroili gitarę, monotonne brzdąkanie działała jej na nerwy. Natknęła się niespodziewanie na odbicie swojej twarzy w lustrze, zniekształconej i bladej, z błyszczącymi oczami. Chwilę później znalazła ją Agnieszka, której starannie unikała od powitania, ze strachu przed spojrzeniem jej w oczy.

- Zawsze chciałam z tobą porozmawiać – powiedziała. I ona już odczuła wpływ zbyt dużej ilości alkoholu, przeciągała wyrazy. Jej brązowe oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń, jakby nie mogła skupić wzroku. - Teraz mamy okazję, Marcin gada z chłopakami.

- O czym chcesz pogadać?

Usiadły w pokoju chłopców. Teresa starała się zminimalizować straty, ale dostrzegła plamę na jednym z koców.

Wino? Sok? Jak po każdej imprezie następował ten nieubłagany moment otrzeźwienia, kiedy nagle budzi się świadomość, że nadchodzi nowy dzień i ktoś, do cholery, będzie musiał ten cały bałagan posprzątać. Odepchnęła od siebie myśl o praniu. Położyła się wygodnie na tapczanie, Agnieszka usiadła po turecku na podłodze - smukłe nogi w czarnych sztruksach niedbale skrzyżowane, na ręce bransoletka upleciona z kolorowych nitki, bezbarwny lakier na dziecińczych jeszcze paznokciach, delikatne plamki piegów na prostym nosie. Teresa, ledwie trzy lata starsza, pozazdrościła jej tej świeżości jak zawsze, kiedy ją widziała.

- Chcę pogadać, po prostu. Wiele o tobie słyszałam.

- Co o mnie słyszałaś?

- Że jesteś mądra, masz fajną pracę, znasz angielski. Marcin bardzo wiele o tobie mówi... Czasami aż za wiele.

- I co z tego? - spróbowała zamaskować niepokój atakiem. - Lubimy się.

- Tylko? - spytała Agnieszka. W jej oczach coś na chwilę błysnęło.

- Tylko - Teresa zwalczyła pokusę, żeby dodać słowa „na razie”.

- Wiesz, ja mieszkam daleko i... Czasem nie jestem pewna... Co on... Co ty... - nie dokończyła zdania. - Nie jestem zazdrosna ani nic. Po prostu... Czasem się boję, że... go stracę.

- Stracisz go. Obie go stracimy. Albo jedna z nas. Taka jest prawda - Teresa wlepiła spojrzenie w rozszerzone zdumieniem oczy młodszej dziewczyny. - Prawda jest taka, że jesteśmy siostrami. Możemy się lubić albo zabić.

Roześmiała się trochę histerycznie, po pijacku, i wstała z tapczanu. Kiedy się odwróciła, wyczytała w twarzy Agnieszki, że tamta nic nie rozumiała. „Może to i dobrze”, pomyślała i poszła do kuchni umyć kieliszki.

## TERAZ

Pierwsze dni wiosny przyniosły deszcz i ciepło. Strugi lejące się z nieba w pierwszym tygodniu po wiosennej zmianie czasu zmyły resztki śniegu, a powietrze pachniało mokrą ziemią, nawet w centrum Warszawy. Miasto lśni jak świeżo umyte. Ludzie w autobusach wyglądali bardzo kolorowo bez ciężkich zimowych płaszczy. Za oknem autobusu, wlokącego się powoli w korku w Alejach Jerozolimskich, przesuwały się biurowce, szklane twierdze jak kopce pełne zapracowanych termitów. Teresa odwiedza te świątynie wydajności i profesjonalnych prezentacji tylko jako gość - czy to z okazji kolejnego kursu w firmie, czy kiedy wpadała do Krzysztofa do biura. To jednak zdarza się coraz rzadziej. On nie miał czasu na wychodzenie i obiad, ona wołała w przerwie między kursami powłóczyć się po sklepach, niż spędzać pół godziny z mężem na milczeniu przerywanym rozmowami o dzieciach, pieniądzach, rozkładzie dnia.

Za Blue City korek jak zwykle się kończył. Autobus zaczekał, aż wsiądą tłumy, w większości złożone z roześmianych, opalonych dziewczyn w dżinsach, obwieszonych firmowymi reklamówkami i komórkami wydającymi nieustannie jakieś dźwięki, a po chwili ruszył z kopyta, jak gdyby chcąc nadrobić czas stracony w korku. Dziewczyny na obcasach z piskiem powpadały na siebie, podczas gdy spóźniony czterysta pięć nabierał prędkości na wiadukcie nad rondem Zesłańców.

Teresa poprawiła słuchawki w uszach i nerwowo zerknęła na zegarek. Odwołała zajęcia na placu Bankowym pod pretekstem wizyty u lekarza. Pierwszy raz w życiu kłamała w pracy i miała nieprzyjemne uczucie, że za chwilę zostanie przyłapaną na oszustwie, jak wtedy kiedy w pierwszej klasie liceum wybrała się na węgry i na pierwszym skrzyżowaniu spotkała profesora od chemii, rozejrzała się



nerwowo, a potem uprzytomniła sobie, że jeśli rzeczywiście stanie się to, co przypuszczała, że przyłapanie na lewym zwolnieniu z zajęć jest najlichszą możliwą konsekwencją, jaka może ją spotkać, po dzisiejszym popołudniu będzie się raczej bała spojrzeć męża, najniewinniejszych rozmów, każdego uśmiechu.

Jej odtwarzacz mp3 zmienił utwór. Po pierwszych sekundach rozpoznała ten kawałek. Rozpoznałaby go zawsze i wszędzie. Narastający dźwięk, klawisze, ściszony prawie do szeptu, ale hipnotyczny głos wokalisty, niepozornej chłopaczka o szalonych oczach. Is there a way... she knows, and she knows, she knows, she knows... Aż do krzyku. The Smashing Pumpkins. Piosenka symbol jej związku z Marcinem; piosenka, przy której jeden jedyny raz w życiu zatańczyli jak para na jedynej w życiu imprezie, na którą poszli razem i z której razem wyszli; piosenka, przy której wszystko się zaczęło i skończyło zarazem, której przez ostatnie dziesięć lat słuchała zawsze ze wspomnieniem tamtego wieczoru.

Teresa wierzyła w moc przypadków, zbiegów okoliczności - w to, że zdarzenia przyszłe i przeszłe odzwierciedlają się w pozornie nic nieznaczących drobiazgach, urywkach piosenek w radiu, zdaniach, na które pada wzrok po otwarciu nieznanej książki na dowolnej stronie. Jej odtwarzacz mp3 miał opcję losowego odtwarzania utworów i między innymi za to go lubiła, bo każdy nowy utwór niósł ze sobą obietnicę nowych skojarzeń, znaczeń, wspomnień przywołanych jakimś dźwiękiem, przypadkowo, a może celowo wybranym z trzystu możliwości. Teraz, kiedy usłyszała znajomą, hipnotyczną melodię, nie mogła się oprzeć myśli, że to musi być znak. Coś się zaczęło tam, gdzie się wcześniej skończyło. Kiedy wysiadała z autobusu przy Forum, poczuła się głupio i nie na miejscu. Rozejrzała się dookoła, ale nie dostrzegła znajomej wysokiej sylwetki i poczuła się jeszcze gorzej - jak zwykle była za wcześnie. Zapaliła papierosa, Przez cienkie podeszwy wiosennych butów poczuła zimne bijące od chodnika, zadrżała. Wyobraziła sobie, że on nie przyjdzie albo, o zgrozo, przyjdzie i zaraz odejdzie tak jak kiedyś przy ich pierwszym rozstaniu, nieudanym i szczeniackim. Kiedy skończyła papierosa, zerknęła na telefon i z wahaniem zaczęła wpisywać SMS-a. „Czekam przed Forum, T." Nacisnęła: „Wyślij". W tej samej chwili ktoś dotknął jej ramienia, odwróciła się, a on stał za nią. I dopiero teraz miała wrażenie, jakby nie było tych dziesięciu lat przerwy. Jedno się zmieniło. Trzymał w ręku tulipana owiniętego w plastikową folię. Musiał go kupić od któregoś z handlarzy stojących w śródmieściu. Na widok tego tulipana, żółtego i pachnącego, poczuła coś, czego nie potrafiła nawet nazwać. Nigdy w czasie ich znajomości nie dostała od niego kwiatka. Rozmawiali o tym wiele razy, niby to przekomarzając się, a jednak po trosze na serio. Wiele razy, kiedy przesiadywali w ciemnych salkach pubów, staruszki sprzedające kwiaty podchodziły do nich. „Nie, dziękujemy". Popatrzyła na tulipana z niedowierzaniem. Przeniósła wzrok na jego twarz. Zobaczyła w jego oczach coś, czego już nigdy nie spodziewała się zobaczyć... I nagle powitalny zdawkowy pocałunek w policzek stał się pocałunkiem zakochanych. Stali tak, nie wiedziała jak długo. Wreszcie oderwała się od niego. Oszołomiona, przerażona, szczęśliwa - wszystko naraz.

- Tyle czasu czekałam, tyle lat... - powiedziała, nie zdając sobie sprawy, że powtarza własne słowa sprzed lat; słowa dziewczyny, której kilka miesięcy czekania wydawało się wiecznością.

- I ja czekałem - odpowiedział, wpatrując się w nią uważnie.

- Pamiętasz - spytała - jak mówiliśmy, że nawet po sześćdziesiątce, z wnukami w wózkach, i tak

będziemy razem?

- Pamiętam - potwierdził. - Chodź, pójdziemy.

- Dokąd? - spytała.

Roześmiał się bez cienia wesołości.

- Do hotelu. Kupimy butelkę wina po drodze. Widzisz, minęło tyle lat i znowu nie mamy dokąd pójść. Nie możemy być sami, na ławki w parku jesteśmy za starzy, a w domu zawsze ktoś czeka. Pomyślałem... dziś albo nigdy. Znam takie jedno miejsce, chodź.

- Dobrze - zgodziła się jak we śnie. Zawsze się tak zgadzała. W tym tańcu tylko on prowadził. Wsiedli do tramwaju i pojechali gdzieś za rondo Babka, na pogranicze Woli i Żoliborza. Niewielka nowa kamienica, a w niej hotel o nic niemówiącej nazwie Studio, małeńka recepcja, tania beżowa wykładzina, drewniany kontuar, a za nim gładko wygolony blondyn o zaczerwienionych oczach, w garniturze.

- Witam państwa, czym mogę służyć?

- Mam rezerwację, nazwisko Kosecki, jedna noc.

- Mecenas Kosecki? - recepcjonista upewnił się, stukając w klawiaturę komputera. - Z żoną?

- Zgadza się - potwierdził Marcin pewnym, zdecydowanym głosem. Teresa była przekonana, że w tej samej chwili ktoś odkryje ich mistyfikację, że ze schodów zbiegnie policjant z rottweilerem na smyczy, krzycząc groźnie „Stać, ta kobieta podaje fałszywe dane. Ta kobieta zdradza:: swojego męża, aresztuj panią!”.

Oczywiście nic takiego się nie stało. Zamiast tego nie niepokojeni przez nikogo, weszli schodami na drugie piętro do małeńkiego pokoju z widokiem na tory tramwajowe i mur cmentarza Powązkowskiego, czerwony na tle szarych deszczowych chmur. Ogromne podwójne łóżko, tandetna sosnowa rama i materac - wszystko przykryte beżową supełkową narzutą - do tego niewielki stolik, szafa w ścianie składały się na całą wystrój. Tylko w oknie raziły niedopasowane wściekle kolorowe zasłony.

W lustrze obok łóżka Teresa zobaczyła własną twarz, oczy rozszerzone strachem i oczekiwaniem. Miała nienaturalnie bladą cerę, zaczerwieniony czubek nosa.

- Zestarzeliśmy się - spróbowała się roześmiać.

- Dorośliśmy - powiedział on. - Dla mnie wyglądasz tak samo pięknie jak wtedy.

- Przestań! - zaczerwieniła się znowu, ale tym razem nie wstydziła się tego. Usiadła na brzegu łóżka, rzuciła płaszcz na stolik. Siedziała sztywno jak uczennica na egzaminie. Nogi w cienkich rajstopach miała skrzyżowane w kostkach, sztruksowa spódnica zakrywała kolana, na których położyła splecione dłonie. Zapragnęła zapalić, żeby zająć czymś ręce, bo miała wrażenie, że za chwilę zacznie obgryzać paznokcie. Marcin podał jej szklanekę z łązienki. Nalał do niej czerwonego wina. Pociągnęła kilka łyków, przymknęła oczy, poczuła przyjemne ciepło, a po chwili niepewny, lekki dotyk jego dłoni na policzku, na szyi, na

ramieniu. Otworzyła oczy, patrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Chcesz tego? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała po prostu i już znowu całowali się, jak tyle razy wcześniej, a jednak inaczej: dorośle, świadomie, bez dawnej niecierpliwości. Pewniej. Jego palce przesunęły się po jej szyi, w dół, spokojne, poszukujące. Nowość - w jego dotyku nie było śladu dawnego pośpiechu, szorstkości, więc i ona poddała się temu powolnemu poszukiwaniu. Wsunęła dłoń pod kołnierzyk jego niebieskiej służbowej koszuli, rozpięła guzik, potem następny. Delikatnie dotknęła ustami miejsca, gdzie szyja łączy się z ramieniem, i jak kiedyś zaskoczyła ją delikatność jego skóry, znajomy zapach, smak. I wtedy niecierpliwość wróciła. Zaczęli pozbywać się ubrań, walcząc z haftkami stanika i klamrą paska jak nastolatki, a ona czuła

przez chwilę strach przed całkowitą nagością, przed tym, że nie spodobają mu się zmiany, jakie poczynił w niej czas i ciążę. On przesunął tylko palcem po bliźnie na jej brzuchu, pionowej kresce w kolorze srebra, biegnącej od pępka w dół.

- Co to? - zapytał.

- To po Marysi i Jaśku - odpowiedziała po prostu. - Zwykle tną poziomo, ale nie było czasu.

- Aha - uśmiechnął się tylko i nie powiedział już ani słowa, poza westchnieniami. Czas przestał płynąć. Był tylko zapach i dotyk, a w pewnej chwili ich dłonie splotły się mocno, jej długie paznokcie wbiły się w jego dłoń. On zamknął oczy, a ona krzyknęła cicho. Po chwili oderwali się od siebie i spojrzeli jeszcze raz, nowym spojrzeniem. Jeszcze nie byli w stanie nic powiedzieć. Leżeli tylko nago, w świetle wczesnego wieczoru wpadającym przez kolorowe zasłonki. Teresa poczuła łzy płynące jej po policzkach. „Coś za dużo tych łez ostatnio”, przemknęło jej przez głowę. Bariera znikła. Teraz mogła powiedzieć wszystko.

- Zawsze chciałam, żebyśmy tak leżeli - powiedziała. - Żeby nie trzeba było się zaraz ubierać i uciekać, bo ktoś mógł nas zobaczyć, bo rodzice wracają z kościoła. Zawsze o tym marzyłam.

- Wiem.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się.

- Ja marzyłem o tym samym. Czasem śniło mi się, że tak po prostu leżymy obok siebie.

- Mnie też. Wiele razy.

- Myślałem, że zapomniałaś o mnie.

- Ja byłam pewna, że ty zapomniałeś.

- Zapomnieć o tobie? - roześmiał się. - Nie potrafię, a wierz mi, że próbowałem.

Leżą chwilę w milczeniu, nie patrząc na siebie. Jak kiedyś, powoli wraca świadomość, że za chwilę muszą się rozstać, że nie będzie im dane zostać razem na dłużej niż dwie, trzy wykradzione godziny. Zaczynają

się ubierać, zbierają porozrzucane części garderoby, jego czarne bokserki, jej biały koronkowy stanik i czarny golf, jego niebieską służbową koszulę. Teresa idzie do malutkiej łazienki. Poprawia makijaż, patrząc w lustro. Kiedy wraca do pokoju, on, już ubrany, siedzi na brzegu zaścienionego łóżka i wyciąga w jej stronę niedopitą butelkę wina.

- Chcesz się jeszcze napić?

- Prawdę mówiąc, wołałabym kawę i papierosa - odpowiada ona i schodzą do hotelowej kawiarni, gdzie jest kilka stolików, przy których siedzą smutno wyglądający ludzie w garniturach - najwyraźniej w delegacji - zjadający pospiesznie na kolację gotowe dania podgrzane w mikrofalówce. Teresa i Marcin tu nie pasują. Ich oczy jeszcze błyszczą od tego, co zdarzyło się tak niedawno. Patrzą na siebie, jakby dopiero co się poznali, ale gdzieś w głębi tego spojrzenia jest rozpacz. Zamawiają kawę przy bufecie. Młodziutka kelnerka o tlenionych włosach podaje dwie filiżanki. Teresa ma wreszcie okazję zapalić papierosa. Zaciąga się głęboko i mówi:

- Zdajesz sobie sprawę, że to nie ma najmniejszych

szans, prawda?

- Prawda - przytakuje on, kiwając głową.

- Paula potrzebuje cię teraz bardziej niż zwykle.

- Wiem. I ja jej potrzebuję. A ty masz męża, który potrzebuje ciebie.

-1 tak zostanie, prawda? - pyta Teresa. Nie spodziewała się oczywiście, ale gdzieś w podświadomości tkwiła myśl: „A co będzie, jeśli on zaproponuje coś więcej?”. 1 od razu znała pierwszą intuicyjną odpowiedź; szybszą niż myśl: „Wtedy pójdę za nim na koniec świata”. Tylko że na koniec świata łatwo się idzie w książkach, w życiu można dojść za kimś najwyżej na rondo Babka. Dalej piętrzą się trudności, napinają się nici łączące z rzeczywistością, nawet te pozornie najsłabsze - jak tęsknota za ulubionym żółtym kubkiem do herbaty stawianym zawsze w tym samym miejscu na tym samym kuchennym stole obok czyjegoś niebieskiego kubka.

- Tak musi zostać... Kiedyś myślałem, że będę mógł dać ci więcej, że dam ci to wszystko, na co zasługiwałaś. Ale ty już wtedy wybrałaś i nie przyjęłabyś tego.

- Mogłam wybrać inaczej. Nie pomagałeś mi. Nigdy nie dałeś do zrozumienia, że byłam czymś więcej niż przygodą... Niż zastępstwem za tamtą dziewczynę... Agnieszkę.

- A co miałem ci powiedzieć? Jak miałem ci to dać do zrozumienia, skoro ty zawsze, codziennie, wracałaś do swojego narzeczonego? Skoro opowiadałaś mi o planach ślubu? Skoro było wiadomo, że ze ślubu nie zrezygnujesz?

Teresa odkłada papierosa na popielniczkę i patrzy w oczy Marcina, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Coś, czego sobie nigdy nie uświadamiała, dociera do niej z pełną mocą.

- Marcin... Czy ja ciebie skrzywdziłam? Zraniłam? To chcesz mi powiedzieć?

- No, mniej więcej. - Śmieje się z zakłopotaniem, nerwowo przeczesuje palcami gęste włosy nad czołem. Ona dotyka nieśmiało jego dłoni spoczywającej na stoliku tuż obok nietkniętej kawy. - Nie umiałem ci tego powiedzieć. Nigdy nie chciałem, żebyś wiedziała, co czułem, a może po prostu się bałem, że jak zawsze obrócisz to w żart.

- A nie myślałeś nigdy, że gdybyś cokolwiek powiedział, to wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej? Byłeś taki... Taki... Niezaangażowany. Żadnych kwiatów, żadnych wyznań. Zawsze wiedziałam, że to zachowujesz dla tamtej, a ja mogę liczyć tylko na okruchy z jej stołu, na reks i namiastki.

- Ty też nic nie powiedziałaś - odpowiada po prostu. - Wiesz, to zabawne. Byłem pewien, że spotkamy się po paru latach jak przyjaciele, że zobaczę w tobie tylko znajomą z dawnych lat, dziewczynę, z którą rozmawiałem i chodziłem po Polu Mokotowskim. Kiedy cię zobaczyłem, wtedy w tramwaju, jeszcze wierzyłem, że tak będzie, że porozmawiamy o pracy, o dzieciach. Ale okazało się, że jest strasznie trudno przejść na... inny poziom znajomości. Że nie potrafię o tobie myśleć jak o znajomej.

- Ja też nigdy nie myślałam o tobie jak o znajomym. Nawet nie próbowałam. Byłeś... zawsze w tle. Nawet w pierwszym, najszcześniejszym okresie mojego małżeństwa zawsze byłeś gdzieś, jak cień, jak skaza, nawet kiedy byłam w ciąży, śniłeś mi się co jakiś czas, niekiedy w różnych miejscach dopadały mnie wspomnienia...

- To dobrze - mówi Marcin. - Wiesz, jeszcze zdążymy porozmawiać. Jeżeli jeszcze zechcesz mnie kiedyś widzieć. Teraz dopij kawę i spróbujemy wrócić do naszego prawdziwego życia, dobrze, kwiatku?

Płacą. Wychodzą, trzymając się za ręce. Na przystanku tramwajowym żegnają się pocałunkiem w policzek. Kiedy Teresa siada na wolnym miejscu, rzeczywistość z hukiem wraca na swoje miejsce, czas z powrotem zaczyna płynąć i okazuje się, że jest ledwie wpół do ósmej wieczorem, już prawie ciemno. Za oknami tramwaju przesuwiają się światła, samochody, ludzie wracający do domów - wszystko jak teledysk do muzyki w jej słuchawkach. Żona wraca do domu po pracy. W torbie podręczniki, telefon, nikt nie dzwonił przez ten czas. Żona wysiada, robi zakupy w spożywczym, bułki, wędlina i olej słonecznikowy, żona otwiera drzwi kluczem i wita się z nianią i nadbiegającymi dziećmi. „Wrócić do naszego prawdziwego życia”. No więc tak. Wróciła.

Do innego mieszkania, na dolnym Mokotowie, wraca mąż, otwiera drzwi kluczem i wita teściową. Paula jest niespokojna. Coś ją pobolewa, więc leży prawie nieruchomo na łóżku i czyta jakieś kolorowe pismo. Mieszkanie pachnie płynem do mycia podłóg i obiadem. Zapach smażonego mięsa prawie tłumi zapach czystości. Mama Pauli w fartuchu - ikona matki, dość tęga, z blond włosami spiętymi w nieporządną kok, w okularach zsuniętych na czubek nosa, niecierpliwie pogania go, żeby zdjął płaszcz, usiadł do stołu. Obiad się podgrzewa. Co to było za spotkanie? Takie ważne, że trzeba siedzieć do wieczoru? O tak, bardzo ważne, wiele od tego spotkania zależało. Paula nasłuchuje z łóżka, kiedy mąż przychodzi do niej i całuje ją w policzek, przygląda mu się uważnie.

- Długo cię nie było. Jadłeś coś chociaż? Siadaj, mama i tak nie pozwoli ci nie zjeść.

Kiedy Marcin zasiada do jedzenia, dzwoni jego komórka. Odłożył ją jak zwykle na stolik nocny. Paula wychyla się z łóżka, sięga po telefon, odbiera.

- Tak, słucham? Dobry wieczór. Tak, pamiętam... A mógłby pan zadzwonić za kwadrans? Mąż dopiero wrócił. Oczywiście, przekażę. Oddzwoni - kończy połączenie i krzyczy do kuchni: - To twój współnik, masz od-dzwonić - i już ma odłożyć telefon, kiedy jej uwagę zwraca migająca kopertka „Nowe SMS-y w twojej skrzynce”. Paula nienawidzi siebie za to, co robi, ale gorączkowo naciska klawisze, odnajduje nową wiadomość. „Czekam przed Forum, T.” Chciała jeszcze sprawdzić numer nadawcy, ale nie miała już odwagi. Nie „kocham” ani nie tęsknię”, nic podejrzanego z pozoru. T. najprawdopodobniej oznacza Tomka, Tadeusza, Tytusa - jakiegoś klienta, znajomego, pracownika, kogokolwiek. Mimo to me daje jej spokoju do zaśnięcia. Paula zasypia przed jedenastą wieczorem. Zmęczona całym dniem spędzonym w łóżku, obolała od szukania najwygodniejszej pozycji do leżenia, zaniepokojona bólem brzuchem. Niby nic, a jednak pobolewa, nie chce przestać, dzwoniła do lekarza, wzięła nospę i trochę przestało, ale cały czas odzywa się słabiutko gdzieś w tle. Paula zasypia dręczona wątpliwościami, czy pytać męża o SMS-a od tajemniczego T., ale decyduje się milczeć, bo gdyby spytała, wyszłoby na jaw grzebanie w jego telefonie. Musiałaby się przyznać, że zrobiła coś, czego się wstydzi, nienawidzi wścibstwa i podejrzeń, więc litera „T” musi pozostać tajemnicą. Paula śni o telefonach, wiadomościach, Tomkach i Tadeuszach defilujących przed hotelem Forum, aż wreszcie w tej paradzie męskich sylwetek dostrzega sylwetkę kobiety, niskiej blondynki i z przeraźliwą jasnością zdaje sobie sprawę, że od początku wiedziała, co to T. może oznaczać. Paula budzi się z krzykiem, a potem czuje ciepło, spostrzega krew i krzyczy coraz głośniej. Nie może przestać krzyczeć, ale krzyk jej nie budzi, bo już się obudziła, krew jest prawdziwa i upiornie czerwona w świetle nocnej lampki.

- Proszę się uspokoić, to się zdarza - położna w izbie przyjęć jest zniecierpliwiona histerycznym szlochem Pauli, która od tego płaczu cała się trzęsie. Ma zapuchniętą twarz, czerwone oczy i wbija sobie paznokcie we wnętrza dłoni, tak że zostają purpurowe wgłębienia. - Zaraz zrobimy USG i zobaczymy, jak dziecko się czuje. Proszę się położyć.

Znowu zimny żel na brzuchu, napiętym już i wypukłym. To osiemnasty tydzień i Pauli się już wydawało kilka razy, że czuje jakieś delikatne poruszenia dziecka. Ziarnisty obraz na ekranie jest ledwo widoczny. Monitor nachylony jest tak, żeby tylko lekarka widziała dokładnie.

- Dziecko żyje, tu mamy bijące serduszko - lekarka pokazuje czarną strzałką kursora na rytmicznie kurczące się serce dziecka. - A tu mamy problem. Łóżysko podnosi się do góry i przy tym podnoszeniu prawdopodobnie kawałek się odkleił, stąd krwawienie. Zatrzymamy panią na oddziale na jakiś czas i zobaczymy, co będzie dalej.

Pół godziny później, kiedy noc dopiero zaczyna szarzeć za oknem, Paula jest już na sali na oddziale patologii ciąży z zaleceniem leżenia bez ruchu. Sąsiadka z drugiego łóżka najwyraźniej śpi. Mruknięta tylko „Cześć”, kiedy przywieźli Paulę, i znowu się położyła. Paula nie może usnąć. Odesłała męża do domu. Nie zapytała w końcu, czy jej podejrzenia były uzasadnione, teraz ma ważniejsze zmartwienie. Dziecko. Jej myśli krążą obsesyjnie wokół dziecka. To dopiero czwarty miesiąc ciąży. Gdyby cokolwiek się stało, nie ma najmniejszych szans na uratowanie go. Dopiero teraz czuje, jak już zdążyła pokochać i

przyzwyczać się do tej milczącej, niewidocznej obecności wewnątrz siebie, jak wielką stratą byłoby, gdyby dziecko umarło... Choć nawet nie wie jeszcze, czy to będzie cni: piec czy dziewczynka.

Powoli świta. Do sali co jakiś czas po cichu zagląda położna, co powoduje gniewne pomruki sąsiadki z drugiego łóżka po każdym otwarciu drzwi. Położna każe pokazywać sobie wkładki. Krwawienie ustaje powoli, ale Pala boi się poruszyć, żeby znowu się nie zaczęło.

Rano szpital się budzi. Współlokatorka Pauli wstaje z trudem, jest okrągła jak dobrze nadmuchana piłka, nie widać, żeby coś poważnego jej dolegało. Przedstawia się szybko („Beata jestem”) i znika za drzwiami z ręcznikiem i mydłem pod pachą, i - na tyle, na ile Paula potrafi wyczuć wyostrzonym ciężą węchem - z paczką papierosów w kieszeni szlafroka. Zza niedomkniętych drzwi dobiegają strzępy rozmów.

- No, dziś nad ranem. Tak, następne warzywo, jedna ostała i wyszła, to wsadzili mi drugą...

- A Aśce dziś w nocy wody odeszły...

- Nie, jeszcze nie, jeszcze się biedna męczy...

- Mam nadzieję, że choć ta będzie normalna, a nie jakaś następna histeryczka...

i - Ile ci zostało?

- Sześć dni do cesarki, chyba że się samo zacznie wcześniej...

- A co z tą twoją nową?

- Nie pytałam, nie chciało mi się. A tak mi, kurde, było dobrze samej, całe dwa dni sobie pobyłam sama.

Słychać włączanie telewizora, szum wody spod prysznica. Do sali wchodzi położna z gąbką i miską wody.

- Zapraszam do mycia! - woła wesoło, a za chwilę dostrzega łzy Pauli i pociesza ją: - No, kochana, nie ma co płakać. To nie wyrok, zleci. Leżysz na łóżku po trojaczkach. Ta od trojaczków leżała plackiem od czwartego miesiąca do samego porodu, a ty masz jedno, to i wstaniesz wreszcie.

Sąsiadka wraca z łazienki, pachnie szamponem i papierosami. Uchyła drzwi i zaraz je zamyka. Wraca po chwili gramoli się ciężko na łóżko.

- Nie wolno ci wstawać? - interesuje się. Rozmawiają chwilę, potem obchód i śniadanie. Beata najwyraźniej jest lana lekarzom, ordynator ogranicza się do pytań: „Krwawienie było? Skurcze były?”. Tamta odpowiada. „Nie, nic nie było”. Natomiast przy Pauli zaczyna się ciąg pytań, odpowiedzi, wyjaśnień, zapisywania. Po wyjściu obchodu Beata wgryza się w kanapkę z serem i oznajmia:

- Już jedna taka z łożyskiem była tu przed tobą. Poleżała pięć tygodni. Potem wstała i wyszła do domu. Ma rodzić normalnie, w terminie. Tak że spoko. Ja to mam przerąbane, bo u mnie się już nie podniesie, żeby nie wiem co. No i we wtorek mam planową cesarkę.

Rozmawiają jeszcze przez chwilę. Paula dopiero ma się nauczyć, jak wolno mijają dni w szpitalu,

odmierzane obchodami, dietetycznymi posiłkami bez smaku, dwa razy dziennie monotonnym szumem aparatu do kardiokografii i na koniec dnia jazgotem telewizora na korytarzu i paplaniną innych pacjentek - tych szczęściar, którym wolno chodzić. Przez kilka dni odwiedza ją mama, codziennie rano, przynosi gazety, książki, pozdrowienia od ciotki Haliny. Wreszcie któregoś dnia mama stwierdza, że wyjedzie do domu.

- Tata się stęsknił, potrzebuje pomocy w klinice - wyjaśnia. - A teraz ze mnie tutaj żaden pożytek. Będę przyjeżdżać, może i tata przyjedzie.

Paula po wyjeździe mamy czuje się osamotniona. Beata pojechała na cesarkę, wróciła po trzech dniach pożegnać się, bez brzucha, jakby nigdy go nie miała. Życzy Panuli powodzenia i opowiada o swoim nowo narodzonym synku. Przyszła inna dziewczyna, też w bardzo zaawansowanej ciąży, z cukrzycą, pomstujaca na szpital, na wieczne klucie się w palec, podjadająca czekoladę w ubikacji. Ta wiecznie czyta jakieś straszliwie naukowe książki i sprawdza jakieś wydruki, które jej mąż co wieczór odbiera i przywozi nowe. Paula marzy o uczestnictwie w co wieczornych seansach telewizyjno-pogaduszkowych na korytarzu. Wreszcie pewnego dnia Marcin przywozi jej firmowego laptopa i kartę internetową do

komórki, parę płyt z filmami. Marcin przyjeżdża co wieczór, po pracy, przynajmniej Paula chce wierzyć, że po pracy... Jest troskliwy, choć w widoczny sposób przytłoczony sytuacją, nie bardzo wie, co robić. Zawstydzia się, kiedy przypadkiem usłyszy którąś z nieustannych korytarzowych rozmów o szyjkach macicy, łóżyskach i nacięciach. Nie rozmawiała dużo, najczęściej tylko siedzą. On opowiada jej trochę o tym, co w pracy, ona milczy. Słucha, trzyma go za rękę, zastanawia się, czy on jeszcze należy do niej, czy robi to wszystko z poczucia obowiązku, bo myślami jest przy kimś innym. Jednak nie odważy się zadać tego pytania, które chce mu zadać, pytania o wiadomość podpisaną „T.” i woli wierzyć, że wtedy po prostu zareagowała historycznie na coś zupełnie normalnego. Pewnego wieczoru dziecko kopie ją po raz pierwszy - ma uczucie, jakby w jej brzuchu pękła bańka mydlana, potem coraz częściej Paula bierze dłoń swojego męża i kładzie na wypukłości brzucha. On nie jest w stanie nic wyczuć, ale nasłuchuje, wpatruje się i po raz kolejny czuje się obco w obliczu tej tajemnicy, której nigdy nie pozna od wewnątrz.

Dzwonią telefony. Z pracy - praktykantka, żeby wdrożyć się w sprawy, które Paula prowadziła przed zwolnieniem, Marysia z kadr wpada na chwilę z bukietem kwiatów i kartkami od całego działu, wszyscy pamiętają i życzą jej zdrowia i „cudownego dzidziusia”.

- Teraz dziecko jest najważniejsze, nie wolno ci się martwić - mówi koleżanka i odpowiada na niezadane pytanie. - Nie, nie czeka na ciebie wypowiedzenie. Jak wrócisz po macierzyńskim, młodą się przesunie gdzie indziej. Resztą ona jest jakaś taka nie za bardzo. - Marysia spieszy się, zerka na zegarek, szybko ucieka, zostawiając bukiet. Dziewczyna z cukrzycą marudzi, że od zapachu boli ją głowa, a za zimno, żeby otworzyć okna, bukiet i tak wędnie po dwóch dniach i ląduje w szpitalnym koszu.

Wreszcie dzwoni Teresa ze standardowym pytaniem o samopoczucie. Obiecuje, że wpadnie któregoś dnia przed zajęciami. Paula przyrzeka sobie, że zada jej pytanie o jej kontakty z Marcinem. Ale kiedy Teresa przychodzi i siada na stołku obok łóżka, rozmawiają tylko na typowo ciężowe tematy. Pytanie wisi niezadane w powietrzu jak topór. Wreszcie Paula już wie, że nie znajdzie odwagi, i pyta tylko:



- Skąd wiedziałaś, że jestem w szpitalu?

- Twój mąż zadzwonił do mnie - odpowiada tamta i tyle. Więcej pytań Paula nie ma odwagi zadać. Kiedy widzi Teresę, ubraną i lekko umalowaną, wie, że przyszła z innego, rzeczywistego świata, w którym ludzie wstają z łóżek, chodzą sami siusiu do ubikacji i myją włosy co drugi dzień z modelowaniem. Ludzie z tamtego świata za oknem mogą w każdej chwili wstać, iść, dokąd chcą, zrobić sobie kawę albo kanapkę, mogą też spotykać się z cudzymi mężami, podczas gdy ona jest uwięziona w elektrycznie podnoszonym łóżku, skazana na basen, szpitalne jedzenie, a jedyne, co jej wolno, to czytać gazety i spać. Teresa wychodzi do prawdziwego świata, który dzieli z wolnymi ludźmi („I z moim mężem!", podpowiada Pauli natrętna wyobraźnia), a ona zostaje w niewoli, ograniczona ścianami salki.

## DAWNIEJ

Jest listopad, wyjątkowo zimny i śnieżny. Rok akademicki w pełni. Teresa próbuje znaleźć czas na studia i pracę naraz. Prezes żąda zostawiania po godzinach, wykładowcy wymagają usprawiedliwień. Skończyły się czasy długich spacerów i przesiadywania na ławkach. Ojciec zabiera ją któregoś dnia po pracy, żeby kupić jej płaszcz na zimę. Płaszcz jest długi do ziemi, czarny, rozkloszowany, z aksamitnymi wyłogami kołnierza. Nie chroni przed zimnem, ale od tego jest puchówka, która pamięta czasy liceum. Dumna z nowego zakupu Teresa chodzi do pracy, na zajęcia, z pracy do domu. Krzysiek i Marcin pojawiają się już właściwie tylko po drugiej stronie kabla telefonicznego, ten pierwszy czasem w domu, ten drugi wyciąga ją do pubu albo kawiarni. Siedzą przytuleni na pięterku pubu na Górskiego. Na stole świeczka skapuje malowniczo z lichtarza, tworząc stearynowy wodospad, w szklankach grzane piwo. Mogliby tak siedzieć cały dzień i noc. Trzymają się za ręce, milczą. Na piętro wchodzi staruszka z naręczem róż w celofanie. Zbliża się do nich, Marcin potrząsa głową:

- Nie, dziękujemy.

- Czemu nigdy nie kupisz mi kwiatka? - droczy się Teresa. Ma zarumienione policzki. Włosy potargane na wietrze ledwo zdążyły jako tako ułożyć się z powrotem.

- Nie mogę tego robić - odpowiada on. - Nie mogę kupować kwiatów dwóm dziewczynom naraz. Jak by to wyglądało?

- Normalnie. Przecież to tylko kwiatek, głupi kwiatek za dwa pięćdziesiąt.

- Nie mogę.

Zawsze tak z nim jest. „Nie mogę" - to ostateczna odpowiedź. Nic nie zdarzy się wcześniej, niż zaplanował.

- Czy wszystko zawsze musi być po twojemu? - wścieka się Teresa. - Co by się stało, gdybym dostała od ciebie jednego pieprzonego kwiatka?

- O co ci chodzi? To tylko kwiatek! - on jest wyraźnie zdziwiony tym, że rozmowa zamienia się w

klótnię.

- To nie tylko kwiatek, to aż kwiatek - ona też jest zła. Miała się z nim nie kłócić. Wie, że to wszystko jest zbyt ulotne, że byle klótnia może to zburzyć, ale już zbyt długo czuje się zawieszona, pomiędzy nimi dwoma; jest zła na sytuację i sama na siebie.

- Przestań już, pocałuj mnie. Kiedyś będziesz dostawać ode mnie kwiaty - obiecuje. - Przrzekam.

Całują się. Znowu na chwilę jest dobrze. Popijają piwo. Ich kolana w dżinsach dotykają się pod stołem z grubych desek, dłonie splótły się na blacie.

- To takie niesprawiedliwe - wzdycha ona. - Nie mamy swojego miejsca. Nie możemy kupować sobie kwiatów. Jesteśmy bez przydziału, bezdomni, bez sensu.

- Chcesz to skończyć?

- Skończyć? - patrzy na niego z niedowierzaniem okrągłymi oczami, w których odbija się płomień świecy.

- Nie.

- To mam pomysł. W sobotę jest impreza u moich znanych z roku. Myślę, że możemy pójść tam razem.

Wracają do domu pogodzeni. Całują się pod bramą. Najchętniej nie rozstaliby się wcale. Ona wchodzi na czwarte piętro, a on patrzy w górę jeszcze długo po tym, jak jej sylwetka ukazuje się w wysokim, łukowym podejściu od strony ciasnego podwórza. W kuchni czeka na nią matka, a z pokoju chłopców wyjątkowo nie dobiega ryk telewizora. Matka ma podkrążone oczy. Pasemko siwiejących czarnych włosów wymknęło się z ciasnego koka, okulary na czubku nosa. Płakała, to widać.

- Co się stało? - pyta Teresa. Od razu czujna. - Janusz cię zostawił?

- Nie, córeczko - matka uśmiecha się z trudem. - Janusz wyjechał do Francji, ale za tydzień wraca. Chodzi o ciotkę Wandę. Miała wylew. Jest w szpitalu, ale lekarze nie dają jej szans. Niedawno od niej wróciłam. Jest nieprzytomna, pod respiratorem.

- Ciotka Wanda? Wylew? - Teresa pyta z niedowierzaniem. Ciotka Wanda, siostra babci, wydawała jej się wieczna. Jeszcze tydzień wcześniej pełna energii pojechała z nimi na groby dziadka i swojego męża. Odkurzała nagrobki spaliła na cmentarzu śmierdzące stołeczne, a potem zmówiła „Wieczne odpoczywanie...” za wujka Mietka i odeszła, machając w stronę grobu: „Cześć, stary draniu, niedługo się spotkamy!”

- Czy mam do niej pojechać? - pyta Teresa.

- Nie warto - uśmiecha się matka. - Lepiej zapamiętaj taką, jaką ją widziałas w niedzielę. Oczywiście wiesz, mieszkanie ciotki jest twoje?

Teresa wie o tym, ale odrzuca od siebie tę myśl. Rzeczywiście, bezdzietna ciotka przepisała mieszkanie na Teresę już parę lat temu, zaraz po jej osiemnastych urodzinach.

- To fajne mieszkanie - mówi ojciec - gdy dorośniesz, będzie jak znalazł.

Teraz jednak mierzi ją myśl, że lubiana, energiczna ciotka, która nauczyła ją szydełkować i robić na drutach, piec ciasto piaskowe i skracać spodnie na przedwojennej maszynie do szycia, ciotka, która zajmowała się nią i chłopcami, kiedy jeszcze mieszkali w piątkę z ojcem, teraz ma odejść w szpitalu pod respiratorem, a ona ma dzięki temu zyskać miejsce dla siebie. Mieszkanie ciotki... Regały pełne bibelotów, zdjęcie ślubne jej i wujka Mietka w złotej ramie, stół nakryty koronkową serwetą, bukiet sztucznych kwiatów na telewizorze Rubin, który odbiera tylko dwa programy, wersalka pokryta żakardową narzutą... To wszystko miałyby być jej? Teresa wybuchła płaczem, ale matka tuli ją mocno do siebie.

- Nie płacz, córeczko - mówi. - Ciocia przeżyła wspaniale życie, była kochana i nie zrobiła nigdy nic złego. Teraz będzie szczęśliwa, wiedząc, że u niej zamieszkaś.

- Wiem - szlocha Teresa.

Matka odsuwa ją na odległość wyciągniętych ramion i zza okularów patrzy jej uważnie w oczy.

- Będziesz musiała zdecydować, z kim tam zamieszkaś. Nie da się żyć z dwoma mężczyznami naraz, choćbyś nie wiem jak się starała. W końcu zechcesz im obu gotować obiady i rodzić dzieci, a to niemożliwe. Popatrz na mnie i ojca. Kiedy pojawił się Janusz, wszystko się rozpadło. Wybierz tego, z którym masz o czym rozmawiać, nawet jeśli tego wieczoru nie idziecie do łóżka.

Teresa patrzy na matkę ze zdumieniem. Dopiero za kilka lat sama przekona się o sile matczynej intuicji, o tym, jak trudno cokolwiek ukryć przed pozornie roztargnionym spojrzeniem zza grubych szkielek. Na razie wybuchła jeszcze głośniejszym szlochem jak małe dziecko.

- Połóż się - mówi matka. - Zrobię ci herbaty. Nadchodzi sobota. Krzysztof jest w Lublinie. Przyjemne z pożytecznym - jak to określił - koncert jakiegoś chóru z orkiestrą, coś, czego „nie można przegapić”, a przy okazji zamierza skorzystać z biblioteki KUL-u i wypożyczyć jakieś pozycje do zaliczenia z filozofii. Teresa przyjmuje to z ulgą. Wieczorem przychodzi po nią Marcin, idą do metra, jadą na Ursynów. Impreza jest w bloku, jednym z wielu podobnych. Ulice spotykają się i krzyżują, numery domów nie mają nic wspólnego z logiką, po kwadransie błądzenia docierają na miejsce, drzwi otwiera im podchmielona dziewczyna o krótkich marchewkowych włosach, w ręku trzyma szklanekę z czymś zielonym i na oko wysokoprocentowym.

- Cześć, Marcin, cześć, Agnieszka! - wita ich wylewnie. - Ścięłaś włosy?

- Cześć - mówi rozbawiona Teresa. - To chyba nie o mnie mowa.

Ruda chichocze wcale nie zawstydzona, wyciąga rękę.

- Elka - wita się mocnym, męskim uściskiem.

- Teresa.

- Fajne imię. Właźcie już.

Po chwili siedzą w fotelu w dużym pokoju - Marcin z puszką piwa, Teresa z zielonym drinkiem, nie wie, co w nim jest, ale jest słodki i bardzo mocny. Z głośników dobiega ostra rockowa muzyka, grupki ludzi rozmawiają pod ścianami, czas przestaje płynąć, po prostu siedzą i słuchają. Jego ręka obejmuje ją mocno, gestem posiadacza. Ona wsuwa dłoń za kołnierz jego czarnego swetra. Znowu pocałunek.

- Nie potrafię w to uwierzyć - szepcze wtulona w jego szyję. - Jesteśmy razem, jak para. Należymy do siebie.

- Chodź, zatańczymy, szkoda imprezy - mówi, on i ciągnie ją na środek pokoju.

- Co to za muzyka?

- To Smashing Pumpkins. Nie do tańczenia, ale możemy spróbować.

Kiwają się przez chwilę w rytm narastającej, zupełnie nietanecznej muzyki, ten obraz będzie już zawsze do niej wracać, pożyczony od Marcina wszystkie kompaktki tego zespołu i poprzegrywa sobie na kasety, których będzie potem słuchać nocami w małżeńskim łóżku, próbując odtworzyć tamten wieczór i ten dotyk, jego dłonie błędzące po jej plecach, wślizgujące się pod cienki materiał bluzki.

- Chodźmy gdzieś - prosi go. Patrzą na siebie i oboje wiedzą, że jeśli coś ma się stać, to dzisiaj albo nigdy. On wychodzi na chwilę, zostawia ją oszołomioną, zwiniętą w kłębek na ogromnym fotelu, z drinkiem w ręku, natychmiast przysiadła się do niej jakiś pijany długowłosej w grubych okularach i koszulce z Nirvaną, ale ona nie reaguje na zaproszenia do rozmowy, Marcin wraca i bierze ją za rękę.

- Chodź - mówi po prostu. W ręku trzyma sporych rozmiarów klucz na kółku, lekko zardzewiały, jakby dawno nikt go nie używał.

- Do suszarni - odpowiada na jej pytające spojrzenie. - Weź kurtkę.

Podąża za nim bez słowa; trzymając się za ręce, wchodzi na ostatnie piętro i jeszcze wyżej. Przystają na każdym podejściu, żeby całować się oparci o ścianę. Wreszcie docierają do masywnych drzwi. On przekręca klucz i otwiera się przed nimi ogromne pomieszczenie poddasza, zaadaptowane na suszarnię. Na sznurach krzyżujących się pomiędzy kilkoma betonowymi podporami łopoczą poóółtkie prześcieradła i kolorowe poszewki. Jest gorąco, a powietrze pachnie czymś stęchłym i nieprzyjemnym. Nie zwracają na to uwagi. Rzucają jej kurtkę na podłogę, kurtka jest puchowa, miękka. Pospiesznie pozbywają się ubrań.

- A jak ktoś zobaczy?

- Nikt nie zobaczy. Kto by wieształ pranie o pierwszej w nocy?

Po chwili, przerywanej westchnieniami, kiedy wyswobodzili się już ze wszystkiego, co przeszkadzało, ona pyta prawie bezgłośnie:

- Kochasz mnie? Powiedz, że mnie kochasz.

- O, tak. Kocham cię do szaleństwa... Do szaleństwa!

I już po chwili jest po wszystkim. Po miesiącach wyczekiwania pierwszy raz żałośnie szybki i nieporadny, leżą obok siebie, nagle żałośnie nadzy, zziębnięci, na podłodze w zaduchu suszącej się bielizny, wystawieni na ciosy, na spojrzenia. Kiedy dociera do nich komizm sytuacji, wybuchają wymuszonym śmiechem. Ubierają się, nie parząc na siebie, zbiegają po schodach zawstydzeni. On odprowadzą ją do autobusu.

- Chciałbym, żebyśmy poszli do domu razem - mówi, ale ona kręci przecząco głową, więc rozstają się na przystanku nocnego autobusu na placu Konstytucji, ona idzie pustymi uliczkami do domu. Sama, zmieniona, szczęśliwa i zrozpaczona zarazem. Jeszcze trochę pijana po zielonym drinku, choć zamroczenie ustępuje już miejsca bólowi głowy. Jedyne, co słyszy, to stuk swoich obcasów na wyludnionych chodnikach. W domu pada na łóżko bez mycia się. Chce zatrzymać jego dotyk na skórze jeszcze choćby na kilka godzin, boi się, że on znowu wycofa się zawstydzony tym, co zrobili.

Rano budzi ją dzwonek telefonu. Patrzy na zegarek. Jest siódma piętnaście. Zrywa się przerażona, ale nie zdążył wyjść z pokoju, kiedy w drzwiach staje matka w szlafroku i z rozpuszczonymi włosami. Przez watę w uszach i pulsowanie w skroniach przebija się jej głos.

- Córeczko, ciocia Wanda zmarła w nocy.

Pogrzeb w drewnianym kościele na Bródnie. Przejmujące zimno, trumna przykryta wieńcami. Teresa siedzi obok Krzyśka, są prawie jak małżeństwo. Płacze. Nie potrafi nie płakać przy tej muzyce. Skrzypce zawodzą żałośnie. Po chwili kondukt idzie ośnieżonymi alejkami do grobu. Grób, który ciotka niedawno uprzętała, jest otwarty. Od stania na zimnie Teresie drętwieją nogi w cienkich kozakach, nowy płaszcz nie chroni od zimnego wiatru. Jadą autobusami, przesiadając się kilka razy, na spotkanie u babci. Matka, babcia i Teresa przygotowały we trzy poczęstunek dla gości. Ojciec Teresy siedzi w fotelu naprzeciwko telewizora, dzieci obok niego, Krzysiek trzyma ją za rękę.

- Tato, co ty opowiadasz, jak ja mogę się teraz cieszyć?

- Będziesz miała gdzie mieszkać... Będziecie mieli - mówi ojciec, patrząc wymownie na Krzysztofa. - Macie pracę, kończycie studia, to mieszkanie spada wam jak z nieba. Wanda byłaby szczęśliwa.

- Nam? - Teresa patrzy na ojca z niedowierzaniem. - Jakie nam?

- No wam. Chyba nie będziecie do trzydziestki tak się bujać bez ślubu? Nie mówię, że jutro zaręczyny, ale chyba macie jakieś plany, co, synu?

Teresa nie jest w stanie odwzajemnić spojrzenia Krzyśka. Trzyma go za rękę, ale nie odpowiada na uścisk. Po wyjściu od babci jadą autobusem do domu, sami, omawiają remont, zmiany.

- Nareszcie będziemy mieli swoje miejsce - mówi Krzysiek, a ona nie potrafi odpowiedzieć nic. Patrzy przez okno. - Nie cieszysz się?

- Cieszę się, ale na razie jestem rozbita po tym wszystkim. W końcu to była moja ciotka!

- Jasne, głupi jestem. Przepraszam. - Krzysiek patrzy i nią przeprasza. Rzeczywiście zauważył, że od kiedy ciotka zachorowała, Teresa była jakaś rozkojarzona, nieobecna. Nie miał pojęcia, że była aż tak związana z tą starszą panią, która bez przerwy paliła strasznie śmierdzące papierosy i przeklinała soczyście. Krzysiek obejmuje ją opiekuńczo, a ona czuje, jak pułapka zamyka g z trzaskiem.

TERAZ

Krzysztof wraca z pracy niespodziewanie wcześniej, kiedy jest jeszcze jasno. Dzieci oczywiście na dźwięk klucza w zamku z okrzykiem „Tatusi!” biegną do przedpokoju, porzucając farby i pędzelki na stole. Na obrazku Marysia blond dziewczynka z wielką głową i niebieskimi oczami bawi się z kotem większym od niej. Na obrazku Jasia zielone i szare plamy tworzą malowniczą mieszankę upstrzoną śladami zielonych paluszków.

- Tatusiu, zobacz, narysowałam księżniczkę! - Marysia pokazuje tacie swoje dzieło, brat nie może być gorszy i rzuca się na ojca ze swoim malunkiem, po czym, korzystając z powstałego zamieszania, odbija pięć zielonych paluszków na różowej buzi księżniczki.

- Tato, on popsuł mój obrazek! Idź stąd, ty psuju cholerny!

- Maria, jak ty się wyrażasz? - Teresa podnosi głos, nie po raz pierwszy tego dnia. Od rana, od kiedy dowiedziała się, że Paula jest w szpitalu, nie opuszcza jej zdenerwowanie i poczucie winy. - Marsz do swojego pokoju, zastanowisz się nad sobą!

Dziewczynka wściekła rusza biegiem do pokoju, po drodze, myśląc, że nikt nie widzi, szczypie brata boleśnie ramię.

- Auaaa mi boli! - płacze chłopczyk. W ciągu sekundy radość z powitania taty zmieniła się w jeden wielki żal, wrzask i wściekłość, jedno obrażone, drugie płacze, a dopiero godzina minęła od powrotu z przedszkola.

Krzysiek jest zmęczony, rozdrażniony tym powitaniem, zastanawia się, dlaczego właściwie wpadł na taki pomysł, by wrócić wcześniej, zrobić im niespodziankę. Podświadomie wyobrażał sobie taki obrazek jak z własnego dzieciństwa. Ojciec wraca do domu, matka zaprasza do stołu, na którym już stoją waza z zupą i talerze. Nie powinien się martwić, że nikt na niego nie czeka z obiadem. Słyszy odpowiedź żony: „Gdybyśmy mieli czekać do dziewiątej wieczór, tobyśmy z głodu umarli”. Jeden rzut oka na twarz Teresy mówi mu, że nie jest zadowolona, a jego wcześniejszy powrót tylko narobił zamieszania.

- Co tak wcześnie - pyta ona - wyrzucili cię z pracy czy co?
- Daj spokój - macha zrezygnowany ręką. - Chciałem więcej pobyć z wami, ale to chyba nie był najlepszy pomysł.

Teresa patrzy na jego twarz, ściągniętą zmęczeniem, przełyka przygotowaną ciętą odpowiedź. „Wystarczająco cię skrzywdziłam - myśli - są granice”.

Wracają do niej słowa Marcina z porannej rozmowy telefonicznej.

- Ja ją kocham - powiedział. - I boję się o nią. Głupie, mówię to tobie, ale naprawdę ją kocham.
- Oczywiście że tak - odpowiedziała mu wtedy. - Wierzę. że nie ożeniłbyś się z kobietą, której byś nie kochał.

Teraz patrzy na swojego męża i stara się odpowiedzieć sobie na pytanie, czy go kocha. Właściwie lepsza odpowiedź brzmiałaby chyba: „Przyzwyczaiłam się do niego” albo „Lubimy się”. Ale co byłoby, gdyby to Krzysztof, który w tej chwili zrzuca szary włoski garnitur i wrzosową koszulę, rozwiązuje krawat, gdyby to on teraz leżał w szpitalu? Może gdyby coś mu się stało, gdyby nagle zabrakło tej jego szczątkowej obecności w domu, może wtedy byłaby w stanie go docenić, nareszcie przyznać, że go kocha?

Patrzy na jego plecy i przypomina sobie, ile razy obserwowała go przy przebieraniu się, jak kiedyś, w pierwszych latach małżeństwa, byli - czy próbowali być - naprawdę szczęśliwi. Wtedy podeszłaby do niego, przesunęła dłonią po nagich plecach, po kręgosłupie, i taki powrót z pracy zakończyłby się w łóżku mimo demonów przeszłości. Demony, cienie, upiory siłą woli wyrzuciła wtedy za drzwi i nawet nie próbowała ich otwierać. Budowała sobie przecież nowe, dobre, porządne życie, w którym nie było miejsca na wątpliwości i dywagacje. Budowali to życie razem, od pierwszej nocy spędzonej wspólnie w mieszkaniu na Ochocie, od pierwszych zakupów, które przyniosła z bazaru pod Halą Banacha i włożyła do wspólnej lodówki. To była jej decyzja, tak wybrała, więc kiedy ten chłopak, z którym postanowiła spędzić resztę życia, zaczął jej przeszkadzać? Kiedy tak naprawdę drzwi do przeszłości się uchyliły? Czy w tramwaju numer cztery na Marszałkowskiej, czy o wiele, wiele wcześniej, kiedy po raz pierwszy odwróciła się plecami do męża i świadomie przywołała wspomnienia?

- Zrobić ci herbaty? - pyta nieoczekiwanie dla samej siebie. Zwykle tego nie robi, każdy parzy sobie herbatę sam, każdy sam je. Z wyjątkiem niedziel, kiedy jedzą wszyscy razem. To ostatni gryzek rodzinnej tradycji okropnej przez pracę i lenistwo. On uśmiecha się w odpowiedzi. Siada na kanapie przebrany już w domowe dżinsy podkoszulek. I oczywiście natychmiast na kolana wskakuje mu Jasiek, cały upakany na zielono farbami. Z pokoju Marysi dobiega krzyk.

- Mamo, czy już mogę wyjść? Już nie będę mówić, że Jasiek jest cholerny! - i za chwilę dziewczynka pojawia się w salonie, siada obok taty, pokazuje mu księżniczki na rysunku i coś, co miało być konikiem ze skrzydłami, a wygląda jak przerośnięty pies. Siedzą tak na kanapie we trójkę.- Chwila rodzinnego szczęścia zatrzymana w czasie, jak aa zdjęciu. Oczywiście za sekundę chwila umknie, dzieci się pobiją, woda do mycia pędzli wyleje się na dywan, ale na razie Teresa widzi swoje dzieci i ich ojca i ogrania ją zupełnie niezrozumiała czułość, a na myśl, że mogłaby ich stracić - chwytą za gardło lęk. Siada obok nich i próbuje objąć całą trójkę. Patrzą na nią zdziwieni, lecz udaje się, przez chwilę siedzą objęci, a potem wyłącza się czajnik i chwila umyka.

Decyzje, wybory... Czy w życiu można w ogóle świadomie podjąć jakąkolwiek decyzję ważniejszą niż wybór koloru bluzki? Te najważniejsze podejmują się same. Są wynikiem splotów drobnych i pozornie niezauważalnych niteczek w tkaninie rzeczywistości, są suptami na tej tkaninie, ale czy tkaczka ma jakkolwiek wpływ na ich przebieg? Słowo rzucone w rozmowie, wzruszenie ramion, śmierć kogoś dalekiego i pozornie nieznaczącego nic - wszystko w odpowiednim momencie zbiega się i prowadzi do jedynego możliwego wyboru. Skrzydełka motyla w puszczy amazońskiej powodują huragan na Florydzie, podsłuchane rozmowy prowadzą do rozwodów, ktoś czyta cudzy SMS i niemal traci swoje wyczekiwane, ukochane dziecko... Można się oszukiwać, pozorować świadome decyzje, ale tak naprawdę płyniemy po prostu z prądem wydarzeń, staramy się omijać co większe kłody i wodospady, nasze decyzje wymusza bieg rzeki, a nie my sami. „Gdybym nie odziedziczyła mieszkania po ciotce. Gdyby ciotka pożyła kilka lat dłużej - myśli Teresa, patrząc na męża - byłabym zupełnie gdzie indziej. Gdyby ojciec nie nosił w sobie rany po rozwodzie z matką, nie zależałoby mu tak na naszym ślubie. Gdybym raz kiedyś nie poszła na spotkanie z przyjaciółmi z klasy, nie miałabym żadnych dylematów. Trzeci okres warunkowy - przychodzi jej do głowy - warunek w przeszłości i skutek w przeszłości, a mówiąc prościej, używamy go, kiedy chcemy pogdybać o czymś, czego nie da się już zmienić, stąd czas przeszły dokonany". Tłumaczyła to słuchaczom setki razy, ale nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, co to naprawdę oznacza.

Ścieżki przyszłości, które pozamykały się dawno temu każda z jakąś drobną decyzją, na chwilę otwierają się r nowo. Teresa widzi wszystkie możliwości jasno i wyra: nie, widzi siebie jako grubą, sfrustrowaną żonę Łukasza -nie skończyła studiów, bo zaszła w ciążę, ślub kościelny z brzuchem, dziecko jedno, drugie, do tego brak pracy, życie za połowę średniej krajowej, no i ona w domu z dziećmi, zaniedbana i zmarnowana... Widzi siebie w związku z alkoholikiem - podobno krótkowzroczny, przystojny Daniel pije na umór - widzi, jak spotykają się i rozchodzą Dostrzega siniaki na swojej twarzy maskowane pudrem chorą miłość do mężczyzny, który ją niesamowicie pociąga, a który niszczy się w przerażającym tempie i nie oferuje jej nic poza chwilami zwierzęcego zaspokojenia w przerwie między pijackimi ciągami. Widzi siebie samotną, bezdzietną, zagłuszającą samotność pracą, po odrzuceniu Krzyśka i Marcina dziesięć lat wcześniej. Romans z kolegami z pracy. Nic pewnego. Strach przed samotnością i tykanie biologicznego zegara. Wreszcie wyobraźnia

ustępuje miejsca rzeczywistości. Mąż i dzieci na kanapie, herbata i farby plakatowe, monotonia codzienności przerwana rzadkimi chwilami uśmiechu. Życie łatwe materialnie i powierzchownie szczęśliwe, życie utkane z drobiazgów, z porannych kaw i wieczornego oglądania telewizji, drobnomieszczańskie, wygodne; bez wzlotów i upadków; namiętność, która ustąpiła już dawno miejsca rzadkim, spokojnym chwilom w małżeńskim łóżku. Jakoś dołynę do tego miejsca, do bezpiecznej zatoki



bez burz i wiatrów. Zawsze z prądem wydarzeń. A może to nie zatoka tylko Morze Sargassowe, zwodniczo spokojna woda pokryta wodorostami, w której statki gromadzą się, by umrzeć z braku wiatru?

Kiedy po kolacji siadają obok siebie na kanapie, on po raz kolejny włącza Zmienników, serial, który kupił niedawno na płytach, i ogląda do znudzenia, a ona czyta „Politykę”. Teresa zastanawia się, jak to możliwe, że niczego się nie domyślił. Poprzedniego dnia była pewna, że na wypisane na twarzy to, co zrobiła, ale nie padło ani jedno słowo na ten temat. Położyli dzieci i poszli każde do swoich spraw, on do laptopa, ona do komputera. Coraz bardziej ją korci, żeby mu po prostu powiedzieć. Wie, że fizycznie nic z jego strony jej nie grozi. Nie boi się uderzenia, więc czego się boi? Czyżby tego, że jej mieszczańskie życie legnie w gruzach, że trzeba będzie podzielić kanapę z Ikei i elektryczny piekarnik, pokłócić się o to, komu przypadnie dwudziestodzieciocalowy telewizor, a komu zmywarka? Czy boi się utraty bezpieczeństwa i łatwego życia czy czegoś więcej? Czy jeśli teraz przyzna sama przed sobą, że nie chce skrzywdzić męża, to robi to tylko ze strachu? Z wygodnictwa? Z obawy, że w końcowym rozrachunku zostanie zupełnie sama, samotna matka z dziećmi, jeden mężczyzna porzucony, drugi pielęgnujący swoją żonę i dziecko?

Teresa parzy kolejną herbatę. Kobiety okazują uczucia parzeniem herbat, gotowaniem rosółu i prasowaniem koszul. Zawsze ją irytował ten stereotyp, ale teraz się sprawdza. Woli zrobić mu herbatę, niż odezwać się i, nie daj Boże, zdradzić swoje uczucia. W końcu jednak musi coś powiedzieć, bo Krzysztof odwraca wzrok od telewizora, przesuwa okulary z czubka nosa i patrzy na nią uważnie.

- Coś się dzieje? Jesteś dziś jakaś taka zdenerwowana.

- Nic - zbywa go machnięciem ręki. - Chodzi o Paulę. Jest w szpitalu, martwię się o jej dziecko.

- Na pewno tylko o to chodzi? Tak się przejmujesz, nie znasz jej nawet dobrze, to do ciebie niepodobne.

- Polubiłam ją. - „I robię jej świństwa za plecami - dodaje już tylko w myślach - i bardzo nie chcę, żeby coś jej się stało z mojej winy”. Na głos mówi jeszcze: - Wiem, co to znaczy szpital w ciąży, dlatego jej współczuję.

Spodziewa się, że teraz wróci do telewizora. Widzi go jak kogoś obcego, jak dyrektora, którym jest. Zastanawia się, jak się czują jego podwładni, kiedy tak patrzy na nich badawczo znad okularów, bez słowa. Do tej pory nie знаła tego spojrzenia, a może nie zwracała na nie uwagi. Zdaje sobie sprawę, że od dobrych kilku lat traktowała go jak mebel, nie przyglądała się mu, nie słuchała go uważnie. Kiedy to się mogło zacząć, nie pamięta. Pamięta jak przez mgłę, że kiedyś było inaczej.

- Aha. A wiesz - rzuca on od niechcienia. - Ja się już zastanawiałem, co się dzieje, czy chcesz mi może coś powiedzieć.

Dopiero teraz odwraca od niej spojrzenie. Wyłącza telewizor, otwiera gazetę.

- A gdybym chciała? - pyta ona nagle, zaczepnie. - Co musiałabym ci powiedzieć, żebyś przestał czytać gazetę? to musiałabym zrobić, żebyś wrócił z pracy o osiemnastej nie w ramach święta i niespodzianki,

tylko tak normalnie?

- Zrobiłaś coś? Chcesz mi o tym opowiedzieć? Może lepiej napisz swoim wymyślonym przyjaciółkom na forum, bo one dostają całe twoje zainteresowanie. Ja tylko finansuję twoje ciuchy i twój Internet. Do niczego więcej nigdy nie byłem ci potrzebny.

- Krzyś... - ona stara się wtrącić, ale on nie patrzy na nią. Wbija wzrok w wyłączony telewizor.

- Nie przerywaj mi! Wiesz, co jest najgłupsze? To, że ja cię zawsze kochałem właśnie taką, jaka jesteś, i miałem głupią nadzieję, że przyjdzie taki dzień, że i ty mnie pokochasz, dlatego że ja to ja, nie dlatego że jego akurat nie ma w pobliżu.

- Krzyś... Kiedyś było inaczej, prawda? I nie tylko ja tu zawiniłam?

- Nie wiem, kto zawinił. Czy ty zawsze musisz znaleźć winnego? To takie typowe dla ciebie, dowiedzieć się, kto zawinił. I dziwnym trafem winna nigdy nie jesteś ty. Zawsze ktoś inny, a najchętniej ja. Dobrze, proszę bardzo, to przeze mnie nasze małżeństwo wygląda tak, jak wygląda, przyznałem się.

- Nie będę tak z tobą rozmawiać - mówi cicho i wychodzi do sypialni. Siada na podwójnym łóżku, czołem dotyka barierki na łóżeczku, w którym śpi Jaś. Syn ma spocone, potargane włoski, a spod kołderki w kaczki wystaje jedna różowa stopka z pulchną piętka i paluszkami wielkości ziarenek fasoli. Teresa dotyka tej pięty końcami palców. Delikatnie otula kołderką. Chłopczyk natychmiast rozkopuje się, otwiera oczka i mamrocze „Mamma?“, i od razu z powrotem zasypia.

Jaś... Pamięta jeszcze, jak Krzysiek cieszył się z jego narodzin, jak wstawał w nocy do najmniejszego płaczu, jak wracał do domu akurat, żeby zdążyć na kąpiel. Na Marysi wszystkiego się dopiero uczyli. Chorowała. Urodziła się maleńka i słaba. A przy Jasiu przyszła pora na radosne, pozbawione strachu rodzicielstwo. Stali się rodzicami, ale gdzieś po drodze zatarcili bliskość. Przestali być mężem i żoną. „Teraz, teraz powinnam odejść - myśli - zabrać ich ze sobą i odejść“. Ale zaraz potem wraca do niej obraz z dzieciństwa, cotygodniowe wizyty u ojca, wymuszona serdeczność, sztucznie piętzone atrakcje, ojciec spędzający pracowicie czas z dziećmi z pierwszego małżeństwa. Muzeum, kino, teatr, wycieczka. Zabrakło czasu na wspólne gapienie się w telewizor, rozmawiam o niczym, obieranie ziemniaków do obiadu i takie prawdziwe życie.

Zaczęła normalnie i szczerze rozmawiać z ojcem dopiero pod koniec liceum, a kiedy już naprawdę go pokochała i kiedy z ich relacji zniknęła sztuczność, wtedy pewnego dnia, krótko po narodzinach swojej wnuczki, ojciec sam w swoim mieszkaniu na Żoliborzu zmarł na wylew. Przewrócił się i już nie wstał. Aryokratyczna twarz z garbatym nosem i grzywą siwych włosów zniekształcona przerażeniem w tej ostatniej chwili...

Jak zawsze na myśl o ojcu, Teresa ma ochotę się rozplakać. Z żalu za tymi utraconymi latami, kiedy zamiast towarzyszem codzienności był dla niej i bliźniaków weekendową atrakcją, a często przymusem. Nie wyjdiesz do kolegów, bo musisz pojechać do ojca. Wyobraża sobie Krzyśka, który karnie co sobota zabiera dzieci na basen i do kina, odwozi w niedzielę wieczorem i wraca do pustego mieszkania. W tej samej chwili Krzysztof wchodzi do pokoju, siada obok niej na łóżku, obejmuje ją delikatnie

- Przepraszam - mówi. - Miałem straszny dzień. Dwie kontrole, skarbowka siedzi w firmie od grudnia, inspekcja pracy od tygodnia. Musiałem wywalić z roboty jednego kretyna, który wyrzucił na śmietnik wórtajnych dokumentów...

- Nie szkodzi - odpowiada machinalnie.

- To co właściwie chciałaś mi powiedzieć?

- Nic... Już nic. Nic ważnego.

## DAWNIEJ

Anka i Teresa siedzą w mieszkaniu na zapleczu placu Narutowicza. Otworzyły balkon, żeby podmuchy zimowego powietrza wywiały zapach świeżej farby i lakieru do podłóg, więc teraz z Grójeckiej dobiegają tu zgrzytliwe odgłosy tramwajów i samochodów. Mieszkanie wygląda inaczej r<sup>^</sup> jeszcze miesiąc temu, kiedy ciotka Wanda po raz ostano wyszła z niego do szpitala. Zniknęły żakardy, narzuty sztuczne kwiaty i ciemne regały z książkami, nawet zdjęcie ślubne w złotej ramce. Tuż po pogrzebie do mieszkania zleciały się sępy, Teresa nie potrafi nie myśleć tak o dalekie:: ciotkach, kuzynkach w dziesiątej linii i szwagierkach, które zaklepywały dla siebie co lepsze meble, przetrząsały szuflady w poszukiwaniu zdobyczy i rozpromieniały się na v. dok sitka czy aluminiowego garnka bez ucha.

- To, to mi się przyda! A to wezmę, bo nie wiadomo kiedy będzie potrzebne. Tobie, Tereniu, to się nie przyda, prawda? - paplały. Matka i babcia nie były lepsze. Nawet z ubrań potrafiły coś jeszcze wygrzebać i zostawić dla siebie. Paski, torebki, buty. Kupa rzeczy zostaje po człowieku, a potem okazuje się, że choć znoszone i zużyte, znajdują jeszcze amatorów i szansę na drugie życie, życie po życiu starego garnka, przeprowadzka do nowej szuflady, z której za dwadzieścia lat inna kobieta wyjmie go z okrzykiem: „O, ten, ten mi się przyda!”

To, co ocalało po tym najeździe Hunów, zostało spakowane do plastikowych worków i wyniesione na śmietnik. Teresa z matką pakowały worki. Chłopcy znosili je dwa piętra w dół po wąskich schodach, kpiąc się przy tym i przepychając.

Teraz mieszkanie składa się głównie z podłogi (świeżo wycyklinowana i polakierowana bukowa klepka lśni jak nowa) i pomalowanych na biało ścian. Z pierwotnego wyposażenia zostały dwie szafy wnękowe, okrągły stół, przedwojenna maszyna do szycia Singer schowana w ozdobnym stoliku na kutyh metalowych nogach („Tego nie oddam”, oświadczyła kategorycznie Teresa jednej z ciotek, która w efekcie obraziła się śmiertelnie: „Jak to, przecież ty nie szyjesz, dziecko, a mnie by się ta maszyna akurat przydała”) i kilka poobijanych kuchennych szafek z płyty wiórowej pamiętających lata siedemdziesiąte. Stół kuchenny po zdjęciu pokrywających go warstw kolorowej ceraty został wyszlifowany, zabejcowany na brązowo i stoi w kącie razem z dwoma stołkami. W pokoju na podłodze leżą trzy sosnowe regały, które oddzielały pokój Teresy od pokoju chłopców. Stoi też jej biurko z dawnego pokoju, kartony z książkami i ubraniami piętrzą się pod ścianami. Wersalka ma dopiero przyjechać, funkcję łóżka pełni kari-mata rzucona na środek.

- Gdzie Krzysiek? - pyta Anka, strzepując popiół do zlewu. Popielniczka jest gdzieś w kartonach, nie chce im się szukać.

- Nie ma - odpowiada Teresa ponuro.

- Jak to nie ma? Wyjechał czy co?

- Nie wyjechał. I nie zostawiłam go, do twojej wiadomości. Po prostu muszę chwilę pobyc sama.

Pociąga łyk ze szklanki stojącej na odmalowanym stole. Wódka z sokiem pomarańczowym. Kupiły w spożywczym na rogu i piją razem.

- Dlaczego?

- Dlatego że muszę pobyc sama. Jeśli będę go miała cały czas przy sobie, to zwariuję i nie podejmę właściwej decyzji.

- Po co masz podejmować jakieś wielkie decyzje? - pyta Anka. - Nie możesz tego ciągnąć tak, jak jest, i zobaczyć, co się stanie?

- Nie mogę, bo nic się nie stanie. Jedyne, co się stanie to to, że ja wyląduję w Tworkach. - Teresa śmieje się bez cienia wesołości. Włosy niedbale związane gumką rozsypują się, kiedy potrząsa głową, więc zakłada gumkę na nadgarstek jak bransoletkę i nerwowo bawi się nią. -podejmę decyzję albo teraz, albo nigdy. Teraz jest znakomity moment, bo zaczyna mi się coś zupełnie nowego.

- Ale dlaczego musisz wybierać? - Anka zapala papierosa, z brązowych przeczuciła się na jakieś inne, których palenie zajmuje mniej czasu.

- Znasz moją matkę, prawda?

- Znam. I co z tego?

- Moja matka jest rozwiedziona. Mieszka od roku z facetem, którego poznała na studiach grubo przed moim ojcem. Moja babcia rozwiodła się trzy razy. Wiem, jak wygląda kobieta, która sama na własne życzenie spieprzy sobie życie. Ja sobie nie zamierzam tego zrobić.

- I co wybierzesz?

- No właśnie w tym problem, że nie wiem. A dopóki się nie dowiem, to zamierzam być sama.

- To jest jakieś wytłumaczenie... - wzdycha Anka, ale widać, że nie jest przekonana. - Nie mam pojęcia, jak to jest wybierać. Jestem z Sebastianem od podstawówki, najpierw przezywaliśmy się na podwórku, potem całowaliśmy się na szkolnych zabawach, a później poszliśmy do łóżka... Mieszkamy razem od matury.

- I nie masz dosyć?

- Nie... Chyba nie. Ale ja nie potrzebuję jakichś wielorakich przeżyć. Jest mi dobrze tak, jak jest.

Chyba jesteśmy tymi przysłowiowymi połówkami jabłka. A ty i Krzysiek nie?

- Nie... Tak... Nie wiem. Moje pieprzone jabłko jest mutantem i ma trzy połówki!

Chichoczą. Zanoszą się histerycznym śmiechem, aż brakuje im tchu. Kiedy ocierają łzy śmiechu, dzwoni telefon, staromodny szary aparat z tarczą stojący na kuchennym parapecie. Sebastian mówi, że przyjedzie po Ankę za pół godziny. Teresa sprząta butelkę, myje szklanki w zlewie, zamyka balkon. Wychodzą z bramy kolorowej kamieniczki, jedna do samochodu, a druga na Grójecką na tramwaj.

Dorosłość przyszła nagle, wraz z przygotowaniami do przeprowadzki. Słowa takie, jak czynsz, światło, gaz, nagle nabierają nowego wymiaru, kiedy przestają być czymś, o co troszczą się rodzice, a wchodzi do codziennego słownika jako coś, na co trzeba zarobić samemu. Praca w firmie stała się nie do pogodzenia z zajęciami na studiach, i przed świętami Teresa złożyła wypowiedzenie i teraz szuka na gwałt nowych korepetycji i zleceń. Przez miesiąc po pogrzebie ciotki spotkała się z Marcinem może ze cztery razy, po tym jak zadzwoniła do niego po tym pierwszym razie i powiedziała:

- Wiesz, wstyd mi strasznie, zachowaliśmy się jak zwierzęta...

- Mnie też wstyd, ale nie żałuję ani sekundy - odpowiedział wtedy.

Spotykali się u niego w mieszkaniu popołudniami, kiedy jego ojciec siedział w pracy, a matka wychodziła do sąsiadki albo kościoła. Właściwie to rzucali się na siebie bez słów na jego wąskim tapczanie, pod szaroburym kocem, przy głośnej muzyce. Potem przez chwilę leżeli przytuleni i zaraz trzeba było się ubrać, bo już słyszeli windę zatrzymującą się na jedenastym piętrze. Na ostatnim spotkaniu, kiedy już po wszystkim przytulali się, a jej dłoń błędziła po jego ciele, Marcin wyszeptał:

- Nie rób tak... Bo powiem, że się zakochałem, i wszystko przepadnie...

- Dlaczego tego nie powiesz? - spytała z rozpaczą. - Wiesz, że jeśli to powiesz...

- Właśnie dlatego - wstał i szybko włożył džinsy i koszulkę. - Ubierz się szybko!

Nie zdążyła się jednak ubrać, jego matka już puknęła do drzwi. Teresa, owinięta szarym kocem po szyję, usiadła na łóżku w najniewinniejszej pozycji, jaką mogła wymyślić.

- Koleżance tak zimno? - zainteresowała się matka i wyszła, zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć.

Innym razem on przyszedł do niej. Siedzieli w salonie i oglądali jakiś koncert, a potem tylko siedzieli mocno objęci. Nie padło ani jedno słowo. Tym razem na dźwięk klucza przekręcanego w drzwiach wystarczyło się odsunąć od siebie. Pozornie nic się nie zmieniło, ale ona czuła, że grzęźnie, że nie potrafi podjąć żadnej decyzji.

Na jedno ze spotkań on przyszedł milczący, zły. Mówił o tym, jak bardzo nie potrafi się odnaleźć w tym układzie, jak mu trudno wracać do Agnieszki na weekendy, udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- A ja? - zapytała. - Myślisz, że ja czuję się świetnie? - i wstała bez słowa. Zostawiła go tam, gdzie siedział,

na jakiejś ławce w pasażu za Domami Centrum. Odchodziła coraz szybciej, nie oglądając się za siebie, z nadzieją, że ją zawoła, ale nie zawołał. Kiedy odwróciła się wreszcie, już zniknął jej z oczu. Zadzwoiła do niego, jak tylko wróciła do domu. Przyjął przeprosiny, wrócili do rozmów telefonicznych, spotkań. Jeśli to miała być próba rozstania, to nie odniosła skutku.

Krzysiek pojawiał się popołudniami, nagle też dorosły. Garnitur, teczka, krawat. Zjadał późny obiad i snuł plany.

- Krzesła trzeba będzie kupić. Albo:

- Gdzie postawimy wersalkę?

Liczył, ile pieniędzy potrzeba na zapłacenie wszystkich świadczeń, sprawdzał dojazd do śródmieścia i do swojej pracy, ustawiał wycięte z kartonu meble na kartce w kratkę, wszystko w skali. Irytował się, kiedy Teresa zamiast radośnie w tym uczestniczyć, zagapiała się tępo w ścianę albo wychodziła do swojego pokoju. Rozpromieniał się, gdy go słuchała i przesuwiała z nim te kartoniki. Ona z kolei wściekała się na widok jego niezachwianej pewności. Tego, że traktował mieszkanie jak ich wspólne od samego początku. Miała czasem ochotę dla samej przyjemności nawrzeszczeć na niego, ale i to nie robiło na nim wrażenia. Zasypiali na jej wersalce, pod plakatem z Kurtem Cobainem, który miał powędrować do kosza na śmieci. W mieszkaniach dorosłych ludzi nie ma miejsca na plakaty z twarzami zaćpanych samobójców. Zasypiali przytuleni. Sam spokój. Żadnej niepewności, rozpaczy, Krzysztof często i chętnie mówił, że ją kocha. Nie miał najmniejszych oporów przed dotykiem, wyznawaniem miłości. I może dlatego że wyznania przychodziły mu tak łatwo, szczerze i proste, tym bardziej ceniła sobie tamto jedyne wymuszone, udręczone, bardziej przyznanie się do winy niż wyznanie uczucia. Z drugiej strony tu czuła się spokojnie, pewna, że nie obudzi się sama, że kogoś obchodzą nawet tak przyziemne sprawy jak jej wersalka i kolor zasłonek. Czasem budziła się w nocy i na wpół rozbudzona, nie wiedziała, kogo obejmuje, i, co gorsza, nie wiedziała, którego z nich wołałaby obejmować w danej chwili.

Dlatego okres przeprowadzki potraktowała z ulgą jako okazję do pobycia samej i spokojnego zastanowienia się. Przesiadywała w mieszkaniu na Ochocie godzinami, niespiesznie rozpakowując kartony, puszczając muzykę na cały regulator, pijąc kawę z wielkiego kubka i wyrzucając niedopałki z balkonu na chodnik. Po każdym takim dniu wracała spać do matki, nadal nie wiedząc, co będzie dalej.

Pewnego popołudnia znowu siedziała na podłodze, leniwie sortując książki wyjęte z pudła, układając je na sosnowych półkach pociemniałych przez lata. Wharton obok Carrolla, Pieśń żeglarza z autografem Kena Keseya, kilkanaście pozycji po angielsku z serii Penguin Classics z charakterystycznymi beżowymi okładkami - pieczołowicie odkurzała i ustawiała je w równych rzędach. Z magnetofonu wokalista grupy Pearl Jam obwieszczał, że wciąż żyje - kasetą pożyczona od Marcina słuchana w łóżku pod szarym kocem i w autobusach przez słuchawki. Przez otwarte okno wpadało zimne powietrze i z upiorną regularnością zgrzyt hamulców tramwaju na placu Narutowicza i kiedy odkładała na półkę kolejnego Dickensa czy Eliota, nagle zadzwonił domofon.

- Kto tam? - rzuciła do słuchawki i usłyszała męski głos.

- Dzień dobry, przyniosłem lampę.

- Jaką lampę?

- Lampę, wiszącą. Pani zamawiała.

Zastanowiła się przez chwilę, wreszcie nacisnęła przycisk. Nerwowo przygładziła włosy, związała je recepturką. Otworzyła drzwi na klatkę, a w nich stał Krzysiek. Pod pachą trzymał papierowy karbowany abażur do lampy, a w ręku bukiet kwiatów i butelkę wina.

- Co ty tu robisz? - wyjąkała kompletnie zaskoczona.

- Przyniosłem lampę, jak mówiłem, nie będziesz chyba mieszkać z gołą żarówką pod sufitem. A poza tym chcę mieć swój wkład w nasze mieszkanie. - Odłożył abażur na podłogę i wyjął coś z kieszeni. - No i mama powiedziała, że jeśli ci się nie oświadczę, a zamieszkam z tobą, to nie odezwie się do mnie więcej. Mam więc i to.

Wręczył jej bukiet kwiatów i wyjął z kieszeni maleńkie czerwone pudełeczko, które kryło srebrny pierścionek z białym kamykiem. Patrzyła na niego w osłupieniu, kiedy zakładał jej pierścionek - pasował idealnie, choć zawsze pierścionki spadały jej z palców, nawet te w najmniejszym rozmiarze.

- Zgadzasz się? - zapytał. A ona tylko rozplakała się w odpowiedzi i pokiwała głową. Wielka decyzja podjęta się sama, bez jej udziału, w tamtej chwili kochała Krzysztofa za jego spokojną determinację, za to, że przyszedł i zdecydował, przerwał błędne koło.

Przespali tę noc pijani winem na karimacie rozłożonej na gołej podłodze, pod tanią lampą z abażurem w kształcie papierowej kuli. Rano obudzili się i wykąpali razem, po czym on pojechał do pracy, a ona do domu zabrać ostatnie rzeczy. Kiedy pakowała zeszyty z notatkami i jakieś kosmetyki, zadzwonił telefon - ten czerwony z poklejonym kablem.

- Teresa? To ja, Marcin. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale... Nie umiem tak dłużej żyć i rozstałem się z Agnieszką.

Usiadła na podłodze jak uderzona. Nie mogła zebrać myśli. Oczywiście znowu płakała. Najwyraźniej potrafiła wyprodukować na zawołanie całe wiadra łez.

- Marcin, i co ja ci mam teraz powiedzieć? - wyszlochała w słuchawkę. - Teraz mi to mówisz?

Paula czuła się tak, jakby całe miesiące spędziła w szpitalnym łóżku, choć w rzeczywistości nie minęły nawet trzy tygodnie. Przyzwyczaiała się do oddziałowej rutyny, porannych obchodów. Od kiedy przestała krwawić, nie była już atrakcyjnym obiektem dla lekarzy i położnych. Na rutynowe pytania odpowiadała standardowo, monosylabami. Poczucie izolacji od świata zewnętrznego nadal jej doskwierało, ale nie czuła się już rozpaczliwie osamotniona, choć towarzyszki niedoli zmieniały się jak w kalejdoskopie. Ledwo zdążyła poznać jedną, ta odchodziła na porodówkę, a na jej miejsce przychodziła następna. Kolejny problem, łożysko, cukrzyca, cholestaza, planowe cesarskie cięcia. Pewnej nocy w sali obok zrobiło się ogromne zamieszanie. Siostry biegały po korytarzu, wózek przetoczył się z hukiem, trzasnęły

podwójne oszklone drzwi na porodówkę. W nagle opustoszałym korytarzu rozległy się głosy innych pacjentek, szuranie kapci. Ktoś wyszedł w szlafroku z sali na korytarz napić się wody z dystrybutora, po kilkunastu minutach wszystko ucichło. Następnego dnia współlokatorka Pauli, tym razem Iwona, wysoka dziewczyna ze stosunkowo niewielkim brzuszkiem jak na końcówkę ciąży, zawsze umalowana i uperfumowana przed obchodem, przyniosła hiobową wieść.

- To Małgosia z czwórki. Dostała krwotoku, cudem ją uratowali.
- A dziecko? - Paula ledwie odważyła się zapytać. Iwona odwróciła wzrok.
- To był dopiero dwudziesty siódmy tydzień. Nie przeżyło.

Obie w tym momencie pomyślały o tym samym. Obie zapragnęły już trzymać swoje dzieci w ramionach i mieć pewność, że nic im nie grozi. Nie rozmawiały dłużej, nie mogły.

Ta noc na jakiś czas uciszyła oddziałowe ploteczki i chichoty, ale nie na długo. Po paru dniach wszystko wróciło do normy. Paula pochłaniała książki, Marcin przyniósł jej do szpitala połowę domowej biblioteczki - a potem jeszcze kilka kupionych specjalnie, żeby umilić jej czas. Opasła biografię Marilyn Monroe, Kod Leonarda da Vinci, Alchemika,, z którym Paula nie rozstawała się od dobrych paru lat, mimo że znała prawie na pamięć każde zdanie z tej książki; wreszcie mroczną fantastykę - fascynację literacką jej męża, którą bez wielkiego powodzenia próbowała podzielać.

Marcin przychodził prawie codziennie, po pracy, czyli wieczorem, kiedy oddział już zamierał przed telewizorem przy M jak Miłość czy innej telenoweli. Siedzieli, trzymając się za ręce, on na brzegu łóżka, ona oparta o elektrycznie podnoszony zagłówek. Wstydziła się większej bliskości. Wiedziała, że mężowie czy partnerzy innych pacjentek prawie że kładli się obok nich na łóżkach, zza zasłonki oddzielającej łóżka dobiegały szepty, pocałunki, chichoty, ale ona tak nie potrafiła. Nie wyobrażała sobie czułości i pocałunków nawet za zasłonką, więc jedyne, na co sobie pozwalali, to pocałunek na powitanie i pożegnanie. Zresztą odniosła wrażenie, że i jemu to nie przeszkadzało. Najwyraźniej jej ciąża onieśmiała go tak bardzo, a może, choć starała się nie dopuszczać do siebie tej myśli, leżąc w łóżku nieświeża, niestaranie uczesana, z rosnącym brzuchem, dodatkowymi kilogramami i zapuchniętą twarzą, przestała być dla niego atrakcyjna. Dlatego zawsze przed jego przyjściem starała się odświeżyć. Raz w tygodniu położyła pomagała jej myć włosy, które już sporo urosły, pasemka zeszyły, a przy skórze odrastał jej naturalny ciemno-blond, lekko falujący. Spinała je w ciasny kucyk, bo wydawało jej się, że tak wygląda schludniej. Na czas mycia czy toalety wyganiała Marcina z pokoju. Nie pozwalała mu sobie pomagać. Bała się pokazać mu w sytuacji, kiedy była zdana na pomoc jak niemowlę.

- Nie bądź głupia - powiedziała jej Iwona za którymś razem. A może to była Kaśka, ta od cukrzycy? - A jakbyś umierała na raka, też nie pozwoliłabyś mu, żeby cię pielęgnował?
- Nie umieram - ucięła dyskusję Paula. - Zamierzam wyjść stąd zdrowa, ze zdrowym dzieckiem i nie potrzebuję, żeby tym, co mój mąż zapamięta z ciąży, było podcieranie mi tyłka!
- Jak sobie chcesz - tamta wzruszyła ramionami i na koniec wbiła szpilę: - Jakbym miała takiego chłopa, też bym chciała za wszelką cenę go zatrzymać.



Ta złośliwa uwaga trafiła w czuły punkt. Paula nie potrafiła wykasować z pamięci nieszczęsnego SMS-a, którego przeczytała tuż przed tamtą koszmarną nocą, kiedy trafiła na oddział. Zawsze miała w sobie tę niepewność, czy jest wystarczająco dobra dla takiego mężczyzny, i zawsze nurtowało ją, dlaczego on ją wybrał spośród tylu

innych kobiet. Rozmawiali oczywiście o zdradach. Rozmawiali przecież o wszystkim, między innymi za to go tak bardzo kochała, za to, że potrafił rozmawiać całe noce, że na każdą sprawę miał jakiś pogląd, za jego intelekt i to, że potrafił zniecka wrzucić w zdanie łacińską sentencję, ot, tak jak inni rzucają: wiesz, prawda, bynajmniej. W tych rozmowach zawsze powtarzała, że gdyby coś się zdarzyło, nie chciałaby o tym wiedzieć. I dopiero teraz uświadomiła sobie, że nigdy nie powiedział jej, tak zdawkowo nawet, czegoś w rodzaju: „Przecież wiesz, że nigdy nic się nie zdarzy”. Wtedy uznawała to za oczywiste, że się nie zdarzy. Wiedziała, że miał jakąś przeszłość, że nie była pierwsza... Ale on był jej pierwszym, jeśli nie liczyć niezdarnych podchodów kolegi z klasy maturalnej, obściskiwania się na szkolnym korytarzu i całowania w jego pokoju, gdy za ścianą rodzice oglądali film, przy uchylonych drzwiach. Potem wyjechała do Warszawy i kontakt z Piotrkim się urwał, spotkali się raz czy dwa, on studiował we Wrocławiu, nie mieli o czym rozmawiać, nie żałowała jakoś szczególnie, że nic z tego nie wyszło. Tuż przed jej ślubem Piotrek zginął w wypadku. Wracali zdezelowanym fordem jego ojca w sześć osób z imprezy. Przeżyły tylko dwie dziewczyny, które Paula też знаła. Jej przeszłość, jeśli chodzi o związki, była niegodna wzmianki i pochowana od paru lat w grobie z czarnego granitu. O przeszłość męża zapytała raz. Opowiedział jej o jakiejś Agnieszce i na tym się skończyło. Wiedziała, że jeśli on nie chce czegoś powiedzieć, to pytania i dociekania nigdzie jej nie zaprowadzą. Zastanawiała się teraz, czy gdyby chodziło o teraźniejszość, też byłby taki milczący... Ale nie odważyła się zapytać.

Skoncentrowała się na dziecku. Coraz częściej czuła jego ruchy, z każdym dniem bardziej podobne do kopnięć,

a mniej do baniek mydlanych w brzuchu. Na oddziale zrobiono jej kolejne USG. Dowiedziała się, że urodzi chłopca, zdrowego, z prawidłowym serduszkiem i kręgosłupem. Leżąc, przez długie godziny wyobrażała sobie tego chłopca, Pawełka, maleńkie czerwone ciało zawieszona w basenie wewnątrz jej ciała, zamknięte oczy, paluszki wielkości ziaren ryżu. Próbowwała poczuć, jak porusza się wewnątrz niej, jak dojrzewa, z każdym dniem nabierając ciała i sił do życia. Widziała oczyma wyobraźni maleńkiego noworodka, pulchne niemowlę, dwuletniego chłopczyka ciągnącego za sobą autko na sznurku, siedmiolatka na rowerze. Udało jej się tak zająć myśli, że kiedy przychodził mąż, nie miała chęci i sił zastanawiać się nad tym, co znaczy dziwny, nieobecny wyraz jego oczu, jego chwilowe zamyślenia, wołała opowiadać mu o cudownym życiu wewnątrz swojego brzucha, a czasem, po kolejnym poruszeniu, sama zapadała prawie w trans, z którego wyrывała ją dopiero jakaś uwaga Marcina. Paula stała się żywym inkubatorem. Dokonywał się w niej niesamowicie skomplikowany eksperyment i nie chciała przegapić z niego ani chwili.

Z tego błęgiego otępienia i skoncentrowania na własnym wnętrzu wyrwał ją dopiero pewien poranek: obchód liczniejszy niż zwykle, kilku studentów patrzących z szacunkiem na profesora, lekarka prowadząca referowała zdenerwowana:

- Pacjentka lat dwadzieścia osiem („Siedem!", poprawiła ją w myślach Paula), dwudziesty pierwszy tydzień, łożysko przodujące brzeźnie, krwawienia, plamienia ustały kilka dni temu, zakaz wstawania.

- Hmm, a dlaczego właściwie? - zainteresował się profesor, patrząc na nią znad okularów zsuniętych na czubek wydatnego nosa. - Pani krwawi?

- Już nie.

- Dziękuję - skinął głową i zwrócił się do lekarki: - Proszę przygotować pacjentkę do wstania, powoli uruchomić. Zobaczmy, co będzie dalej.

Wstanie po trzech tygodniach leżenia plackiem nie było łatwe. Na początek pozwolono jej pojechać na wózku pod prysznic, z powrotem próbowała przejść kilka kroków, ale nogi uginały się pod nią, a w oczach migały srebrne światła. A kiedy dotarła do łóżka, czuła się wyczerpana jak po forsownym biegu. Dziecko kopało jak szalone, jakby też zmęczyła je ta podróż. Kiedy już złapała oddech i przekonała się, że nic się nie stało („Wszystko będzie dobrze, kochana, przyzwyczaisz się do chodzenia", pocieszała ją położna), natychmiast złapała za telefon. Zadzwoiła do mamy, a potem do męża do pracy. Telefon odebrał współnik. Paula nigdy nie przepadała za nim. Ten facet wyglądał jak z amerykańskich filmów o prawnikach, żywcem wyjęty z powieści Grishama, zawsze nienagannie ubrany, złośliwy i oschły. Mimo że spotkali się parę razy towarzysko, Paulina zawsze bała się go, onieśmiał ją swoim przenikliwym spojrzeniem i swobodą.

- O, witaj. Jak się czujesz? - zagaił, ale zapytany o Marcina, sprawiał wrażenie zdziwionego.

- Nie siedzi u ciebie w szpitalu? Wszedł jakąś godzinę temu i powiedział...

- Że jedzie do mnie? - nie wiedziała, co odrzec, zabrakło jej słów. - Nigdy nie przychodzi tak wcześnie, zawsze po pracy, wieczorem.

- A, wieczorem. No, to może coś pomyliłem. Zaczekaj, spytam sekretarki - włączył wstrzymanie. W słuchawce rozległa się muzyka, elektronicznie przetworzony motyw z Beethovenowskiego Dla Elizy, najbardziej oklepany i zniechęcony motyw muzyki poważnej, drażniący uszy swoją banalnością. Paula nie była w stanie dłużej tego słuchać. Wiedziała, co za chwilę usłyszy: „Tak, musiałem się pomylić, jest na spotkaniu". „Jeżeli ten facet coś umiał, to przekonująco kłamać - pomyślała. - To umie na pewno, za to mu płacą". I rozłączyła się, wiedząc, że cokolwiek usłyszy, nie uwierzy w ani jedno słowo.

- Pozwolili mi wstawać, wiesz? - powiedziała mężowi wieczorem, kiedy przyszedł do niej i siedział jak zwykle na brzegu łóżka.

- To świetnie.

- Nie cieszysz się?

- Ależ oczywiście, że się cieszę, aniołku, jak mógłbym się nie cieszyć?

„Niby wszystko jest jak zawsze - myśli Paula. - Dlaczego nie potrafię mu uwierzyć?" On dotyka delikatnie

jej policzka, jakby się bał, że ją skrzywdzi samym tym dotknięciem, jakby była ze szkła i miała się rozpaść. Patrzy na nią, jest coś w tym spojrzeniu, co każe jej stchórzyć, zamilknąć, zakończyć temat.

Mimo to pyta, szybko, bo wie, że jeśli nie spyta teraz, to nigdy nie zdecyduje się zadać tego pytania:

- Czy chcesz mi coś powiedzieć?

- Powiedzieć? - on waha się przez chwilę. - Nie, nic. Jestem zmęczony. Tym wszystkim. Dawno nie byłem sam tyle czasu. I tyle. - Uśmiecha się do niej przepraszająco, a ona już wie, że temat zakończony, nie dowie się niczego więcej.

- Może niedługo pozwolą mi wyjść - mówi.

- Kiedy?

- Nie wiem. Profesor zdecyduje. Na pewno nie w tym tygodniu. Może jutro na obchodzie coś powie.

- Zadzwoń, jak tylko będziesz coś wiedziała.

- Jasne.

Tuż po jego wyjściu Iwona, która do tej pory udawała, że pilnie czyta gazetę, podnosi wzrok.

- Ten twój chłop coś kręci.

- Skąd wiesz? - pyta Paula.

- Kiedy mnie powiedzieli, że utrzymam ciążę, mój Tomek skakał pod sufit z radości. Nie zauważyłam, żeby ten twój się ucieszył. Pewnie wolałby, żebyś jeszcze poleżała, miałby wolną chatę.

- Przestań! - Paula się złości, ale coś w głębi duszy mówi jej, że Iwona po prostu wypowiedziała na głos jej własne obawy. Postanawia wykorzystać nową wolność, wstaje i wychodzi na korytarz. Tym razem jest łatwiej, choć nadal trzyma się ściany, żeby nie upaść. Dziewczyny w szlafrokach siedzą na kanapie i fotelach wkoło telewizora, oglądają jakiś telewizyjny magazyn reporterów. Na jej widok podnoszą zaciekawione spojrzenia, robią miejsce na kanapie. Któraś robi na drutach maleńki biały sweterek, inna haftuje pracowicie krzyżykami, ktoś popija herbatę. Paula czuje, że nie jest sama. Otacza ją wspólnota kobiet, tu, na oddziale, są równe, osiemnastoletnia dziewczyna trzy razy starszego alkoholika, czterdziestoletnia profesor prawa i wszystkie pozostałe. Wiek, zawód, wykształcenie zostały za bramą szpitala. Jedyne, co się tu liczy, to brzuchy i dzieci w brzuchach, tu nastolatka po zawodówce żongluje terminami medycznymi, a oschła czterdziestolatka przytula zupełnie obcą osobę i pozwala się jej wypłakać w rękaw różowego szlafroka.

- Będzie dobrze - mówi wreszcie, kiedy Paula smarka w pożyczoną chusteczkę. - Tylko niech się zdrowe urodzi, a będzie dobrze. Reszta jest nieważna.

DAWNIEJ

- To kiedy ślub?

- W czerwcu. Piętnastego.

Teresa siedzi na korytarzu instytutu otoczona wianuszkami dziewczyn z roku. Przed chwilą zademonstrowała im swój zaręczynowy pierścionek, reakcje były różne.

- Nie wysilił się za bardzo - skomentowała wysoka, czarnowłosa Patrycja.

- Oj, nie wygłupiaj się! - piszczy Kasia. - Przecież to nieważne, czy z brylantem, czy ze szkiełkiem. Ważne, że z serca dany.

- Ja bym tam wolała z brylantem.

- Pewnie dlatego jeszcze nie masz faceta! - drocą się dziewczyny.

- A suknia? Masz już suknię? - pyta ktoś.

- Suknia się szyje - odpowiada Teresa. - Po zajęciach mam pierwszą przymiarkę.

- Jaka, powiedz?

- Normalna, prosta do bólu, żadnych koronek.

Dziewczyny zasypują ją pytaniami. Ona odpowiada. Czuje się dumna, wyróżniona. Pierwsza z grupy wychodzi za mąż. Podjęła decyzję następnego wieczoru po tym, jak Krzysiek jej się oświadczył z tym zabawnym pierścionkiem.

Teresa czuje się panią domu, prawie jakby już była mężatką. Najprostsze czynności, takie jak szorowanie łazienki albo gotowanie ziemniaków, sprawiają jej radość. Robi to w swoim domu, dla siebie i swojego mężczyzny. Kiedy odcedza ziemniaki nad zlewem, przepełnia ją duma, kiedy zmywa - podśpiewuje pod nosem. Buduje siebie od nowa, skleja porozrzucane kawałeczki, udaje, że zawsze była uczciwa i wierna, zabija domowymi czynnościami rozpacz czającą się z tyłu głowy.

Tych czynności i obowiązków jest zaskakująco dużo, jeśli ktoś chce - a ona chce, bardzo - może spędzić na nich cały dzień. Tyle rzeczy, które w domu rodziców robiły się nie wiadomo jak, trzeba robić samemu. Do domu przybył pierwszy zakup - pralka, którą trzeba regularnie włączać i opróżniać, rozwieszać pranie pod sufitem w łazience na opuszczanej suszarce. Przedmioty mają tendencję do panoszenia się w najmniej spodziewanych kątach mieszkania, trzeba je pacyfikować i zawracać na właściwe miejsce. Szklanki piętują się w zlewie, jeśli nikt ich nie umyje. Zakupy. Nagle trzeba żyć z ołówkiem w ręku, bo lodówka nie napełnia się sama, o czym kilka razy się boleśnie przekonali, zastając w niej w niedzielny poranek tylko zeschniętą skórę żółtego sera i nadpleśniałe powidła od babci. Wszystko to, pranie, odkurzanie, zmywanie, robienie zakupów na bazarze i w sklepie, jest dla niej nowością, uczy się w pocie czoła, skąd się bierze woda w zupie, i co się stanie, kiedy upierze białą bluzkę z czarnymi spodniami w dziewięćdziesięciu stopniach. Traktuje to jak

rodzaj gry, wygrywa z przedmiotami, z każdym dniem jest sprawniejsza w tej grze. Promienieje szczęściem, kiedy pewnego popołudnia do drzwi dzwoni sąsiadka, starsza pani, i od progu pyta:

- Czy zastałam męża?

- Nie, mąż w pracy - odpowiada Teresa szczęśliwa, że uznano ją za mężatkę, znaczy osobę dorosłą i całkiem samodzielną.

Teraz, kiedy minęły ponad dwa miesiące od wprowadzenia się jej i Krzyśka do mieszkania, opanowała już większość potrzebnych umiejętności. Teraz jej myśli zaprzętają przygotowania do ślubu.

Kiedy po raz pierwszy powiedziała rodzicom o planach, matka zakrzuszyła się herbatą. Był to jeden z tych wieczorów, kiedy ojciec, samotny po odejściu swojej nowej towarzyski życia, wpadł do matki na herbatę. Siedzieli blisko siebie jak przyjaciele, w kręgu światła kuchennej lampy. Janusz, narzeczony matki, grał na komputerze w pokoju chłopców. Sprawiał wrażenie, że obecność ojca Teresy mu nie przeszkadza, ale zawsze po tych wizytach chodził wcześniej spać, burcząc:

- Dobranoc.

Ojciec spojrział na nią przenikliwie i postawił pytanie, które wszyscy dookoła zaczęli zadawać z niepokojącą regularnością.

- Nie jesteś chyba w ciąży?

- A gdybym była, to co? - odezwała się w niej dawno pogrzebana zbuntowana nastolatka.

- To byłbym dziadkiem - roześmiał się ojciec. - Ale to trochę wcześniej, nie uważasz? Jeszcze dwa lata studiów przed wami.

- Nie jestem - ucięła, lecz musiała się przyzwyczaić do tych pytań. Nawet Anka zareagowała tak samo.

- Jezu, wpadłaś? - Wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem. - A wiesz chociaż z którym?

- Nie wpadłam, do jasnej cholery, chociaż ty mnie nie denerwuj!

- To ja już nic nie rozumiem, skoro nie wpadłaś, to czemu tak szybko?

- Bo tak chcemy, i już - ucięła Teresa. - Zaczynam nowe życie, to życie ma być dobre i porządne, poukładane. Mąż, dzieci, kot, posprzątane w mieszkaniu. Koniec z wyskokami, koniec z miotaniem się.

- Tak, poukładane, już to widzę! Ty i poukładane, akurat! Chcesz się pobawić w dobrą żonę?

- Nie, tak czuję.

I rzeczywiście, w tamtej chwili tak właśnie czuła. Gruba kreska, odcięcie się od przeszłości. Marcin dzwonił czasem. Rozmawiała z nim jak znajoma, siedząc w objęciach przyszłego męża. Potem odkładała słuchawkę i rzucała jakiś okrutny żart.

- Mój cichy wielbiciel jeszcze się nie znudził - mówiła na przykład ze śmiechem, choć miała ochotę się rozplakać. Zagłuszała ten wewnętrzny płacz sprzątaniami, zmywaniem, wynajdowała sobie kolejne zajęcia. Mieszkanie lśniło.

Krzysiek okazał się znakomitym towarzyszem życia. Pomagał jej w pracach domowych. Powiesił nowe zasłonki uszyte przez babcię na ciotczynej maszynie do szycia, kolorowe w geometryczne wzory do pokoju, czerwono--białe do kuchni. Razem kupowali stołki, garnki, sztucce. Wieczorem jedli przy kuchennym stole i rozmawiali, potem siedzieli na starej wersalce i oglądali telewizję na starym odbiorniku, który dostali od kogoś z rodziny. Później kąpali się razem, namydlając się wzajemnie, długo i powoli. I kończyli każdy dzień w łóżku, ucząc się siebie.

- Jezu, wpadłaś? - Wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem. - A wiesz chociaż z którym?

- Nie wpadłam, do jasnej cholery, chociaż ty mnie nie denerwuj!

- To ja już nic nie rozumiem, skoro nie wpadłaś, to czemu tak szybko?

- Bo tak chcemy, i już - ucięła Teresa. - Zaczynam nowe życie, to życie ma być dobre i porządne, poukładane. Mąż, dzieci, kot, posprzątane w mieszkaniu. Koniec z wyskokami, koniec z miotaniem się.

- Tak, poukładane, już to widzę! Ty i poukładane, akurat! Chcesz się pobawić w dobrą żonę?

- Nie, tak czuję.

I rzeczywiście, w tamtej chwili tak właśnie czuła. Gruba kreska, odcięcie się od przeszłości. Marcin dzwonił czasem. Rozmawiała z nim jak znajoma, siedząc w objęciach przyszłego męża. Potem odkładała słuchawkę i rzucała jakiś okrutny żart.

- Mój cichy wielbiciel jeszcze się nie znudził - mówiła na przykład ze śmiechem, choć miała ochotę się rozplakać. Zagłuszała ten wewnętrzny płacz sprzątaniami, zmywaniem, wynajdowała sobie kolejne zajęcia. Mieszkanie lśniło.

Krzysiek okazał się znakomitym towarzyszem życia. Pomagał jej w pracach domowych. Powiesił nowe zasłonki uszyte przez babcię na ciotczynej maszynie do szycia, kolorowe w geometryczne wzory do pokoju, czerwono--białe do kuchni. Razem kupowali stołki, garnki, sztucce. Wieczorem jedli przy kuchennym stole i rozmawiali, potem siedzieli na starej wersalce i oglądali telewizję na starym odbiorniku, który dostali od kogoś z rodziny. Później kąpali się razem, namydlając się wzajemnie, długo i powoli. I kończyli każdy dzień w łóżku, ucząc się siebie na pamięć, odnajdując nowe miejsca i zakamarki swoich ciał, dotykając się powoli, bez pośpiechu, mieli przecież całą wieczność przed sobą. Zasyпали spleceni ze sobą. W takich chwilach czuła się naprawdę szczęśliwa i prawie potrafiła zapomnieć o tamtym... O tym, jak bardzo pragnęła i z nim dzielić takie długie, niezmacone niepotrzebnym pośpiechem chwile.

Tamtego popołudnia wracała po zajęciach i po przymiarce u krawcowej. Zamówiony w Łodzi materiał wreszcie dojechał, można było zacząć przymiarki. Umówiły się z mamą - mama fundowała suknię, a

teściowie płacili za wesele - w bramie ponurej neogotyckiej kamienicy w Alejach Jerozolimskich. Weszły na podwórko i ciasnymi kuchennymi schodami do pracowni. Krawcowa, dawna znajoma mamy, rozpostarła przed nimi materiał, atlas w kolorze lodów śmietankowych, matowy, idealnie gładki. Obie starsze kobiety kazały jej się rozebrać do rajstop i stanika. Czuła się okropnie, spocona, zdenerwowana, niepasująca do tego cudownego, mięsistego materiału, który otulał ją chłodnymi fałdami. Krawcowa zaczęła owijać ją centymetrem w biodrach, w biuście, wreszcie w pasie.

- Bierzemy zapas na brzuszek? - zapytała z uśmiechem. Matka stłumiła śmiech. Teresa nie zrozumiała, o co jej chodzi.

- Nie, nie chcę przytyć - odpowiedziała głupio, na co krawcowa mrugnęła porozumiewawczo.

- Żadna nie chce. A który to miesiąc?

- Miesiąc? - zorientowała się, o co chodzi, dopiero po chwili. - Nie jestem w ciąży!

- To co ci się, dziecko, tak spieszy? - Krawcowa pokręciła głowę z niedowierzaniem i już do końca mierzenia nie odezwała się ani słowem, dopiero po wszystkim umówiła je za tydzień na kolejną przymiarke.

Matka poszła od razu do domu, a Teresa postanowiła powłóczyć się jeszcze po sklepach na Marszałkowskiej w poszukiwaniu butów. Niestety, o tej porze roku królowały jeszcze ciężkie kozaki - ani śladu białych czótenek. Dostrzegła go po wyjściu ze sklepu z butami. Stał na rogu Hożej i Marszałkowskiej, trzymał w ręku rozek z lodami z pobliskiej lodziarni. Obok, nachylona do niego, stała jakaś dziewczyna, też lizała lody, a drugą rękę położyła mu na ramieniu. To nie był gest znajomej, tylko posiadaczki. Teresa już wtedy nie widziała najlepiej, ale nawet z oddali dostrzegła uśmiech i rozmarzony wyraz twarzy tamtej. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że tamta jest młodzianka, chyba licealistka, szczupła i wiotka, ciemne włosy związane w koński ogon, gładka buzia dziecka.

On też ją zauważył. Teresa mogłaby przysiąc, że odsunął się od tej dziewczyny trochę za gwałtownie. Niemal strząsnął jej rękę.

- Cześć - powiedział.

- Cześć, Marcin, miło cię znowu zobaczyć.

- Poznajcie się, to jest Eliza, moja koleżanka, a to Teresa, moja... - zawahał się na chwilę.

- Już też tylko koleżanka - dokończyła z uśmiechem, ściskając dłoń ciemnowłosej, która spłoszona wodziła wzrokiem po ich twarzach. Jej rozmarzony uśmiech nagle zniknął. Nerwowo jadła lody, wolną rękę schowała do kieszeni ortalionowej kurtki. Rozejrzała się naokoło, szukając punktu zaczepienia.

- No to ja... będę lecieć. Dzięki jeszcze raz za te notatki, oddam ci przy okazji - rzuciła.

Widać było, że czeka na jakiś gest, na to, żeby ją zatrzymał, ale nie doczekała się, Marcin z trudem przeniósł nieobecne spojrzenie z twarzy Teresy na jej twarz, uśmiechnął się z przymusem.

- Odezwę się do ciebie - powiedział, a tamta odeszła powoli, przygarbiona. Zdawało się, że z trudem się hamuje, by nie spojrzeć za siebie.

- No i wystraszyłam ci koleżankę - roześmiała się Teresa. - To pewnie teraz masz wolne popołudnie?

- Pójdziemy gdzieś? - zapytał, a po chwili, nie czekając na odpowiedź, objął ją w pasie i poszli przed siebie.

Skręcili w Wilczą, przeszli kawałek nowiutkim chodnikiem z kostki i zeszli na dół do baru w suterenie. Zamówili po piwie. Patrzą na siebie niespokojnie, udają znajomych, którzy spotkali się przypadkiem. Gdzieś ulotniły się te wszystkie tematy do rozmów, które zawsze ich łączyły.

- Daj mi rękę - poprosił, nie patrząc na nią.

- Po co? - próbowała żartować. - Masz już kogo trzymać za rękę.

- Jesteś zazdrosna? Ty? - spytał z niedowierzaniem. Ona spuściła wzrok, żeby nie wyczytał niczego w jej oczach. Wpatruje się w bursztynowy blask szklanki z piwem i nie odzywa się, a on ciągnie dalej: - Chciałabyś, żebym płakał po tobie? Już za późno, już swoje przepłakałem.

- Szybko się pocieszyłeś.

Milczą przez dłuższą chwilę. Ona zapala papierosa jak zawsze, kiedy nie wie, co zrobić z rękami. W barze jest ciemno. Przez niewielkie okienka pod sufitem nie dolatuje prawie żadne światło. Nie sposób dostrzec, że na dworze świeci kwietniowe słońce, a staruszki sprzedają żonkile pod murami starych kamienic. Tu panuje półmrok, na stołach palą się świece, z głośników dobiega jakaś nieznaną muzyka, młodzieńki barman, wyraźnie znudzony, po .. raz kolejny przeciera ladę szmatką.

- Dlaczego to nie ja? - pyta Marcin, przerywając ciężkie milczenie. Jakoś tymczasem zupełnie nieświadomie jednak położył swoją dużą dłoń na jej ręce, a ona jakby

tego nie dostrzegła i zapomniała się uwolnić z uścisku. Przyszła żona gdzieś zniknęła, kremowy atlas i pierścionek z białym kamykiem odpłynęły w zapomnienie. Mieszkanie nie będzie dzisiaj posprzątane, wszystkie te domowe czynności, w których znajdowała ukojenie, straciły znaczenie.

- Dlaczego co?

- Dlaczego to jego wybrałaś?

- Bo jego znam. Wiem, co jada, jak się ubiera, jakim mydłem się myje. Wiem, jak chrapie w nocy i jaka muzyka go wkurza.

- Mnie też mogłaś poznać.

- Nie pozwoliłeś mi - odpowiada Teresa z rozpaczą w głosie. - Trzymałeś mnie na dystans. Jedyne, co wiem o tobie, to jaki jesteś w łóżku! Wiem, jak całujesz i jak dotykasz, i nie potrafię na ciebie patrzeć, nie myśląc o tym... A mimo to wcale cię nie znam i nigdy nie znałam.



- A gdybyśmy mogli to jeszcze naprawić?

- Nie da się. Za późno - odpowiada i dodaje z jakąś przewrotną złościwością: - Dziś miałam pierwszą przymiarke sukni ślubnej.

Obserwuje uważnie, jak zmienia się wyraz jego twarzy, niemal jak na zwolnionym filmie z bójki, kiedy bohater zgina się wpół po miażdżącym ciosie w splot słoneczny. Nie daje jej to oczekiwanej satysfakcji, zamiast tego przychodzi obezwładniający smutek, który od paru tygodni tłumiła w sobie.

- Wiesz... - mówi on cicho, prawie szeptem - może los pozwoli i kiedyś to ze mną staniem w kościele w białej sukni.

Teraz jej zapiera dech, słyszy słowa swojej babci, wypowiedziane półzartem, słowa kobiety doświadczonej przez trzy nieudane małżeństwa.

- Krzys jest idealny na pierwszego męża - powiedziała babcia. - W domu pomoże, kocha cię, będzie dobrym tatą. A drugiego weź sobie takiego, żebyś widziała gwiazdy, jak tylko o nim pomyślisz.

Mimo to obraca jego słowa w żart.

- To było wyznanie?

- A co więcej może mężczyzna powiedzieć kobiecie? - pyta on.

- Może... dużo więcej. Dwa słowa, których nigdy nie powiedziałeś... Raz, prawie.

- Wtedy powiedziałem je niechcący. Nie chciałem ci tego mówić, bo bałem się, że skończy się tak, jak się skończyło. I miałem rację. Powiedz mi jeszcze tylko jedno - pyta jak zwykle, tak jakby od odpowiedzi miało zależeć jego życie. - Co by było, gdybyś wybrała mnie, nie jego?

- Wtedy - odpowiada ona bez wahania - ty czekałbyś w domu, a ja siedziałabym tu z Krzyskiem i zastanawiała się, czemu nie wybrałam jego.

On przechyla się przez stolik, przyciąga ją do siebie i zaczynają się całować jak kiedyś. Teresa przymyka oczy, zanurza dłonie w jego włosach, chłonie znajomy zapach wody po goleniu, zatracą się na długą chwilę. Czas się cofa. Jeszcze może wybrać, jeszcze nic nie jest nieodwołalne, przez moment wszystko jest możliwe.

- Przyjdź do mnie... jutro rano. Do domu - mówi. - Zasłużyliśmy na jakiś ostatni raz, dopóki sukni nie jest uszyta, dopóki noszę własne nazwisko, dopóki możemy się pożegnać.

- Wiesz, że my się nigdy nie pożegnamy?

- Wiem - mówi ona. - To jest na zawsze. Nawet po sześćdziesiątce, z wnukami w wózkach...

- Nawet na emeryturze - przytakuje on, a mimo to już po kwadransie wychodzą z baru, na światło dnia, nieprzyjemne, bo wystawiające ich na widok publiczny, odsłaniające słabość.

Następnego dnia kochają się po raz ostatni - w jej mieszkaniu, w świetle dnia przefiltrowanym przez nowe zastonki - niezgrabnie i bez radości, pospiesznie, nasłuchując kroków na schodach. Trwa to o wiele za krótko. Po wszystkim Marcin siada na łóżku, przygarnia ją do siebie, prosi:

- Posiedzmy tak jeszcze przez chwilę.

Ale ona wrywa się, ubiera w popłochu, biegnie do łazienki poprawić włosy, wraca do pokoju obca zupełnie, ubrana i umalowana, jak gdyby całe przedpołudnie spędziła spokojnie, czytając - a wtedy on czuje się idiotycznie, nie na miejscu, siedząc tak nago w cudzej kolorowej pościeli. Nie odzywają się do siebie. Ona robi herbatę, lecz wypada to sztucznie, piją ją w milczeniu, unikając swojego wzroku. Następnym razem zobaczą się na jej ślubie, w deszczowe czerwcowe popołudnie, w kolejce składających życzenia. On mignie jej przed oczami, ciemnowłosa Eliza u jego boku, onieśmielona jak każdy, kto składa życzenia obcym, jak przez mgłę usłyszy to, co Marcin powie do Krzyska:

- Dbaj o nią, dostajesz skarb.

Krzysiek skrzywi się w wymuszonym uśmiechu, a następni w kolejce są inni znajomi, inne kwiaty, ciotki, wujkowie, kuzyni, atlasowa suknia już lepka od potu, za ciasne buty na wysokich szpilkach. Kiedy wreszcie kolejka się skończy i Teresa rozejrzy się dookoła, na dziedzińcu przed kościołem Świętej Barbary nie będzie już wysokiej sylwetki Marcina, poczuje ukłucie żalu zagłuszone natychmiast zamieszaniem dookoła - kwiaty, samochód, przejazd do restauracji, chleb i sól, taniec z ojcem... Wszystko to zleje się w jej pamięci w jakąś feerię barw, rozmów, dźwięków.

Kiedy znowu się spotkają, ona będzie w ciąży z Marysią po dwóch latach starań. Będzie wiosna 2000 roku, a oni będą rozmawiać w kawiarni na Starówce. On opowie jej o tym, jak zakłada organizację społeczną, o zajęciach na aplikacji, pokaże jej zdjęcie swojej nowo poznanej dziewczyny. Ona poprosi go o poradę prawną, on na pożegnanie dotknie jej brzucha, ogromnego jak na siódmy miesiąc, i powie szeptem:

- Czasem żałuję, że to nie moje - a ona pomyśli to samo, jednak nie odważy się tego powiedzieć.

Kiedy urodzi, zaprosi go z dziewczyną do domu na oglądanie malutkiej, zmęczy ją to spotkanie i rozdrażni konieczność spoglądania na tamtą. Mimo to przez te dziesięć lat, które upłyną od ostatniego prawdziwego spotkania, będzie o nim śniła, będzie tłumić okrzyk na widok obcego wysokiego mężczyzny na ulicy, będzie płakać za każdym razem, kiedy w kablówce puszcza starą czarno-białą ekranizację Pani Bovary, nawet jeśli nie do końca będzie zdawać sobie sprawę z tego, dlaczego płacze.

TERAZ

Kwietniowy wieczór z ciemniejącym powoli niebem wpada przez okno do mieszkania przy ulicy Gagarina. Teresa i Marcin siedzą naprzeciwko siebie, ona na rozsuwanej kanapie, on na krześle przyniesionym z kuchni. Teresa czuje się obco. Jest intruzem w cudzym królestwie, obce książki stoją na obcych półkach, obcy komputer łypie na nią wrogo z obcego biurka. Na stoliku paruje gorąca herbata.

Otwarta butelka czerwonego wina i dwa kieliszki stoją na brzegu ławy.

To któreś z rzędu ich spotkanie od popołudnia w hotelu z widokiem na Powązki, pierwsze w tym mieszkaniu i prawdopodobnie ostatnie. Paula za tydzień, dwa ma wyjść ze szpitala i na nowo objąć to opuszczone królestwo. Mimo cotygodniowych odwiedzin pani do sprzątania w mieszkaniu rzuca się w oczy brak gospodyni. Kilka kwiatków na parapecie wyraźnie poszarzało od ulicznego kurzu, ich listki opadają smętnie na dół pozbawione życia. Skawalony cukier w kryształowej cukierniczce - prawdopodobnie pamiątkowej - i gazety rzucone na niedbały stos na biurko, „Rzeczpospolita” obok „Gazety Prawnej” przemieszane z programem TV i starymi wydaniem plotkarskich pisemek, wszystko to mówi, że mieszkanie zostało opuszczone przez duszę, że chwilowo zabrakło drobnych, delikatnych dłoni, które to wszystko podlewały, układały i pracowicie organizowały, czyniąc ze zbiorowiska przedmiotów dom, do jakiego wraca się z radością.

Teresa jest zmęczona. Sen, który śniła od lat, prześnił się do końca, znalazł zakończenie w tym mieszkaniu, w którym mogłaby mieszkać, gdyby jej życie nie potoczyło się innym torem. To samo znużenie dostrzega w ciemnych oczach Marcina patrzącego na nią uważnie, jak gdyby chciał odgadnąć jej myśli. Po raz pierwszy dociera do niej, że być może nie powinna była tu przychodzić i kłamać mężowi o wyjeździe do internetowej przyjaciółki. Może powinna była zostać w domu, zjeść z dziećmi kolację, obejrzeć kawałek głupiego serialu w telewizji i iść spać obok szerokich, niemych pleców męża, aby móc w spokoju dalej śnić o nieosiągalnym. Zamiast siedzieć tu, w milczeniu, naprzeciwko bohatera swoich snów, który w tej chwili wydaje jej się zupełnie nieznamy.

Kilka dni wcześniej spotkała na przystanku Karolinę, piękną jak zawsze, w objęciach przystojnego blondyna. Na jej widok koleżanka odkleiła się z wyraźną niechęcią od mężczyzny i zaszczebotała:

- Cześć, dawno cię nie widziałam! Poznaj Pawia, opowiadałam ci o nim!

Zanim nadjechał tramwaj, dowiedziała się, że rozwód w toku, że opieka nad trójką dzieci przypadnie Karolinie i że jej mąż od lat kogoś miał.

- Jestem taka szczęśliwa, wyobraź sobie. Piotr nie robił żadnych problemów, od tylu lat spotykał się z tamtą dziewczyną, a ja nawet się nie domyślałam, gdybym wiedziała,

nie zwlekaliśmy tak długo, prawda, Pawełku? - zaczęła.

Od tamtego spotkania Teresa nie może przestać się zastanawiać nad tym, czy sama dostrzegłaby cokolwiek, jakkolwiek zmianę w zachowaniu Krzysztofa. Czy byłaby w stanie zauważyć, gdyby on miał romans? Czy on poświęcał jej wystarczająco dużo uwagi, aby dostrzec te subtelne drobiazgi, które zmieniły się w niej, od kiedy prowadzi podwójne życie? A może od zawsze część jej prowadziła to podwójne życie w marzeniach i dzięki temu nic się w niej nie zmieniło?

Wraca teraz do rzeczywistości, przywołana pytaniem Marcina:

- O czym myślisz?

- O nas... - odpowiada z wahaniem. On nie podejmuje tematu. Zdaje jej się, że więcej ich dzieli niż wtedy, kiedy spotkali się przypadkiem. Jego obcość jest tak dojmująca, że jej maska obojętności niezauważalnie wraca na swoje miejsce, zakrywając wszystko, co pod spodem niewypowiedziane.

- Kiedy Paula wychodzi? - pyta pozornie obojętnym tonem.

- Jeszcze nie wiadomo. Okaże się na początku tygodnia, gdy wróci profesor - odpowiada i zniechęca dodaje: - Powiedz mi, jak to jest mieć dzieci.

- Już ci raz mówiłam - uśmiecha się Teresa. - Zupełnie inaczej.

- Jak myślisz, czy ja będę umiał być dobrym ojcem?

- Nie wiem. Chyba tak naprawdę nikt tego nie wie, dopóki dziecko się nie urodzi.

- A twój mąż jakim jest ojcem dla dzieci? Zaskakuje ją to pytanie, choć powinna się go spodziewać. Pamięta jak przez mgłę, że tuż przed rozstaniem powiedziała mu coś w rodzaju: „Wybrałam Krzysia, bo on będzie dobrym ojcem”. Pamięta, że był tym zraniony, choć starał się tego nie okazać.

- Krzysiek? Chyba dobrym - odpowiada powoli. - Jest cierpliwy, kiedy ma czas, potrafi bawić się z dziećmi, wygłupiać się, nie krzyczy na nie jak ja... Chociaż czasem widzę, że ma ich dosyć i że wolałby po prostu popracować w spokoju bez zawracania mu głowy.

- Czasem żałuję... - zaczyna, ale ona przerywa mu w pół zdania.

- Wiem, i ja czasem tego żałuję. Tylko że już tego nie zmienimy, będziesz miał swoje dzieci z kobietą, którą przecież kochasz.

- Zdradziłaś kiedyś swojego męża? - pyta Marcin, raptownie zmieniając temat. Teresa podnosi wzrok, przesuwa palcem po smukłej nóżce kieliszka, zastanawia się przez chwilę.

- Nie, nigdy - odpowiada wreszcie. Prawda, której nie żałuje. Jak sobie to uświadamia, nigdy nie chciała rozmieniać się na drobne, koić małżeńskich niepowodzeń w obcych łóżkach, uczyć się na nowo obcych mężczyzn, ich nawyków i upodobań. W pewien sposób była odporna, zaszczepiona na pokusy, podwójnie zameżna.

- Chyba zawsze byłam wierna... Warn obu - mówi cicho, czego on słyszy.

- To tak jak i ja - odpowiada.

- Czasem popadałam w jakąś paranoję... Wydawało mi się, że kiedy jestem z Krzyśkiem, to zdradzam ciebie... Jakbyś nie żył, jakbym była wdową czy coś - śmieje się wymuszonym śmiechem, a on nic nie mówi, tylko znów przytakuje samym skinieniem głowy.

Znowu zapada cisza, wieczór niepostrzeżenie zamienił się w noc. Tę jedną jedyną wspólną noc, którą sobie obiecali i o której marzyli dawno temu. Jednak zamiast radosnego oczekiwania Teresa czuje bolesną świadomość, przez te lata osobno zdążyła się nauczyć, jak krótko trwa jedna noc i jak bardzo

pragnie się potem jeszcze jednej i następnej, jak niewiele można w taką noc zakończyć, wyjaśnić, rozstrzygnąć raz na zawsze. Prawdziwe rozstrzygnięcia ciągną się tygodniami, latami, aż nagle człowiek orientuje się, że coś się zmieniło; chwile, które w planach miały być decydujące, okazują się bez znaczenia lub żałośnie nieważne w obliczu tego, co naprawdę się wydarza gdzieś w tle, są jak kamyczki na drodze powolnej, rozlanej rzeki, nie zmieniają jej biegu, a co najwyżej wywołują maleńkie zawirowanie gdzieś na uboczu nurtu.

Marcin zapala świece o zapachu cynamonu. Teresa domyśla się, że kupowała je Paulina, i znowu czuje się nieswojo. Szykują się do nadchodzącej nocy niezgrabnie, ustępując jedno drugiemu, schodząc sobie z drogi w ciasnym korytarzyku łączącym kuchnię z pokojem i łazienką. Teresa, powodowana odruchem gospodyni, starannie myje szklanki i kieliszki po winie, ustawia je na ociekaczu obok zlewu, choć wie, że Paula na pewno zrobiłaby to inaczej, po swojemu, wyrażając swoją odrębność w minimalnym przesunięciu układu naczyń, w innym rytmie sięgania po zmywak i ścierkę. Próbuje sobie wyobrazić, co zmieniłoby się w jej nawykach tkwiących tak głęboko, że już niemal podświadomych, gdyby zamieszkała z tym mężczyzną, i które z jego przyzwyczajzeń przeszkadzałyby jej, które rozczulały, a które prowadziły do awantur. Przez dziesięć lat przeżytych z mężem wie już dobrze, gdzie znajdzie jego szklanki po piwie, w jakim porządku powiesić mu koszule w szafie i gdzie wiszą klucze do skrzynki pocztowej, jeśli to on ostatni ich używał. Małżeństwo jako dopasowywanie do siebie dwóch sposobów wycierania naczyń, małżeństwo jako kompromis między groszkiem z puszki na ciepło a na zimno w majonezie, potęga przedmiotów, ruchów o wyćwiczonej przez lata ergonomii, szlaków wytyczonych przez mieszkanie tak, żeby nie kolidowały ze sobą.

Kiedy tak pogrążona w myślach wyciera ostatni kieliszek suchą szmatką (po którą machinalnie sięgnęła na uchwyt piekarnika, nie znalazła, dopiero po chwili dostrzegła wieszak przyklejony do glazury, znowu rozbieżność), czuje dotknięcie na plecach, na karku, we włosach. On obejmuje ją w pasie, schyla się, żeby pocałować czubek jej głowy, przesuwając dłońmi po jej plecach aż do pośladków, a ona opiera się o niego, przyjmuje pieszczoty, i w tej chwili nie ma znaczenia, czy wytrze kieliszek do sucha, czy odstawi mokry, więc odstawia mokry na ociekacz i przez chwilę trwają tak w bezruchu, w ciszy, aż wreszcie on się odzywa.

- Wiesz, że nucisz, kiedy zmywasz?

- Wiem. - Teresa czerwieni się leciutko. Wie, że nie ma głosu ani słuchu. Jedyne chwile, kiedy pozwala sobie na nucenie, to te, kiedy zagłusza ją szum wody, a i tak Krzysiek wtedy zwykle rzuca jakieś złośliwości w stylu: „Mam nadzieję, że dzieci nie mają głosu po mamie”.

- Podoba mi się to - mówi on - tak sobie kiedyś to wyobrażałem, zanim wybrałaś... Wyobrażałem sobie wieczory spędzone na rozmowie i Ciebie zajętą jakimiś domowymi obowiązkami... Moją.

- Nigdy tego nie powiedziałeś - ona patrzy mu oskarżycielsko w oczy. - Nigdy.

- Może się bałem... A może byłaś i tak od początku niedostępna? Może od początku wiedziałem, że nie mam szans na nic więcej niż to, co dostałem?

- Dostałeś Paulę. Paula cię kocha, jest lepszą żoną niż ja... Będzie lepszą matką. Ja zawsze miałam jakąś skazę.

Gdybym została z tobą, tęskniłabym za Krzyśkiem. Nie sposób mi dogodzić.

- Wiem, dlatego pokochałem Paulę. Ona jest bez skazy, nie jest rozdwojona w żaden sposób. A ja też jestem, tak samo jak ty.

- Wygląda na to, że zmarnowaliśmy sobie nawzajem życie - mówi z nieszczerym, wymuszonym uśmiechem. Sięga mokrą dłonią do jego dłoni, palce splatają się w uścisku. - Przez moje idiotyczne pragnienie dorosłości, przez to, że byłeś tak skryty, a teraz oboje dostaliśmy od życia coś pięknego, małżeństwo, dzieci, i nie umiemy się tym cieszyć, sami sobie to psujemy, tęskniąc za czymś, czego kiedyś nie zrobiliśmy...

- Pewnie masz rację - odpowiada on, zamyka jej usta pocałunkiem i idą wreszcie do sypialni. A kiedy dużo później leżą wreszcie wyczerpani obok siebie, nagle przypomina jej się ten wieczór, kiedy się poznali i spali w czymś nowo kupionym mieszkaniu na podłodze, na jej czarnym płaszczu, i tak samo jak wtedy wyciąga rękę, żeby dotknąć jego twarzy, kiedy on zasypia.

- Śpij - mówi on już prawie przez sen.

- Nie chcę. Chcę czuwać do rana jak żółwik Franklin, który czekał na wschód słońca.

- Jak kto? - on wybucha śmiechem. - Jaki żółwik?

- Dowiesz się, kto to Franklin, za dwa, trzy lata - ona uśmiecha się, zapadają w sen i nagle już jest rano, sobota, czas na prysznic, wspólne śniadanie i jej powrót do domu, a jego odwiedziny u żony w szpitalu.

- Czy to był koniec? - pyta Teresa, siedząc w cudzym za długim szlafroku przy stole i dłubiąc widelcem w jajecznicę ze szczypiorkiem. - Ostateczny koniec? A teraz powiesz mi, że zadzwonisz do mnie i nigdy więcej się nie odezwiesz, zgadłam?

- Nie zgadłaś. Jeszcze nie wiem, co to było. Wiem, że nareszcie zrobiliśmy to, czego nam zawsze brakowało, prawda?

- Prawda. Teraz już wiem, że chrapiesz, i wiem, co jesz na śniadanie.

- Tego chciałaś?

- Chyba tak.

- I co dalej? Mam wrażenie... Chyba nigdy nie myślałaś na poważnie, żeby odejść od niego, prawda?

- Prawda - odpowiada Teresa nawet niezaskoczona tym, że on odgadł jej myśli. - On był przy mnie, kiedy rodziłam i kiedy umierał mój ojciec. On wie, jaką mam minę, kiedy boli mnie ząb. On jest moją codziennością, jakakolwiek by była, czasem nudna do bólu, a czasem pełna radości... Mogę od niej uciec na chwilę w sen, ale potem muszę się obudzić.

- I chcesz wracać do niego, do domu?

- Tak. Tak, chcę wracać. Ja ciebie nie znam. Na dziesięć lat składa się tyle rzeczy, drobiazgów. To, co czytasz przy śniadaniu, i to, jak wiążesz krawat, i co nucisz przy goleniu. I to wszystko... czego o tobie nie wiem i nigdy nie wiedziałam.

On patrzy na nią z poważnym wyrazem twarzy. Zanim wstanie od stołu, żeby zebrać z niego talerze i kubki po herbacie, odzywa się jeszcze tylko raz.

- A teraz już za późno, żeby się dowiedzieć i poznać na nowo?

Teresa odwraca wzrok i kiwa głową bez słowa.

Właściwie nie powiedzieli już nic więcej zajęci ubieraniem się. W radosnym, wiosennym świetle dnia Teresa czuje się głupio, winna, zła, chce już jak najszybciej wracać do domu, gdzie pewnie Krzysiek usiłuje jeszcze chwilę pospać na kanapie, a dzieci oglądają bajkę w telewizji, jedząc kanapki i kaszę. Wyszli razem. Pożegnali się jak kiedyś pocałunkiem w policzek na przystanku. Dopiero w autobusie zorientowała się, że gdzieś zniknął jeden z jej srebrnych kolczyków w kształcie różyczki, z cyrkonią, prezent imieninowy od bratowej. Niby to nic cennego, ale zawsze je lubiła. „Musiał wypaść w nocy”, pomyślała i zawstydzona na samo wspomnienie. Prędko wyjęła drugi i schowała do portfela, między kwity z poczty i pogniecione dziesięciozłotówki. Wyobraziła sobie Marcina, jak wieczorem rozkłada kanapę, sam, żeby położyć się do snu w pościeli w kwiaty, w której spędzili razem tę noc, jak znajduje w poszwie od poduszki albo pod prześcieradłem niewielki kłujący drobiazg. „Będzie miał pretekst, żeby jeszcze zadzwonić”, pomyślała, bo z tonu jego głosu, ze sposobu, w jaki rozmawiali i patrzyli na siebie, niejasno domyślała się, że to ma być ostatnie spotkanie, a przynajmniej ostatnie na długie miesiące, a może lata. I teraz nagle zorientowała się, że nie czuje rozpacz z tego powodu, a wręcz ulgę, że będzie tęsknić, ale nie za nieosiągalnym, a za żywym mężczyzną z krwi i kości, który jeździ tramwajem i mieszka w określonym miejscu, który chrapie w nocy i sypia w czarnych bokserkach i szarej koszulce z zabawnym rysunkiem. Za mężczyzną, który znajdzie kolczyk w swoim małżeńskim łóżku i może się uśmiechnie, a może przypomni sobie ich jedyną wspólną noc, a może nawet jakaś iskierka światła w białej cyrkonii udającej brylant skłoni go, żeby jeszcze raz się z nią umówił. Wyobraziła sobie niewidzialną pępowinę łączącą dwa kolczyki od pary, taką jaką łączy bliźnięta. Bracia często opowiadali jej o tym dziwnym uczuciu, jakie ogarniało jednego z nich, kiedy drugiemu działa się krzywda. Raz, kiedy Arek złamał nogę na boisku, Sebastian przewrócił się w kuchni na podłodze i krzyczał z bólu. Teresa otwiera portfel, wyjmując z niego kolczyk i zupełnie impulsywnie dotyka ustami kamienia, jakby chciała mu coś przekazać.

Nie może przecież wiedzieć o tym, że bliźniaczy kolczyk potoczył się głęboko pod kanapę i jeszcze przez wiele dni będzie tam leżał wraz z kłębkiem kurzu, kilkoma spinkami do włosów, ulotką z hipermarketu i guzikiem od damskich spodni. Aż wreszcie ktoś odsunie łóżko, żeby zrobić generalne porządki.

Paula wyszła ze szpitala już tydzień później, tuż przed końcem maja. Oczywiście o wyjeździe na wakacje nie było mowy, nadal musiała się oszczędzać. Ale mimo to powrót do domu odczuwała jak wyjście z więzienia. Tymczasem wiosna niedostrzegalna przez małe okienko szpitalnej sali zazieleniła miasto. Gruba kurtka, w której Paula pojechała do szpitala, wraca niepotrzebna w bagażniku. Wszystko - pisk

hamulców autobusów, zapach spalin na warszawskich ulicach, nawet podwórko ze śmietnikiem w kącie - wydaje się jej świeże, nowe, godne uwagi. Domowy prysznic, ręcznik... Ubrania w większości są za ciasne. Nawet plamy z kawy na obiciu fotela sprawiają na niej wrażenie starych przyjaciół, jak gdyby całe mieszkanie czekało na jej powrót, aby ją powitać. Nie musi już leżeć, więc krząta się radośnie, podlewa przywiedłe kwiaty, ściera kurz z regałów z książkami, robi porządek w gazetach i lodówce, wyrzucając nieaktualne doniesienia o romansach gwiazd i przeterminowane jogurty oraz podejrzanie miękkie pomidory.

Kończy się siódmy miesiąc ciąży. Pawełek w jej brzuchu daje o sobie znać już wyraźnymi kopnięciami. Wydęty brzuch zasłania jej stopy, a buty zrobiły się za małe. Paula

wybiera się na zakupy, układa listę potrzebnych rzeczy, ubrania ciążowe, pościel dla dziecka, wózek, łóżeczko.

- Może pojedziemy razem, czułabyś się bezpieczniej? - mówi Marcin, który od jej powrotu ze szpitala stara się maskować zamyślenie i chwile, kiedy wydaje się całkiem nieobecny, zwiększoną troskliwością. Nie szczędzi jej czułości. Rano przed wyjściem do pracy całuje ją na dzień dobry i przynosi świeżo zaparzoną bezkofeinową kawę z mlekiem, wraca z pracy stosunkowo wcześniej i spędzają razem długie wieczory na rozmowach o dziecku, o przyszłym życiu, wybierają imię. On nie jest przekonany do Pawełka. To imię kojarzy mu się z batonikiem, nie z synem. Ona trochę się broni. Wreszcie każde z nich ułożyło swoją listę imion, czytają sobie te listy przed zaśnięciem. W końcu stanęło na tym, że będzie Konrad, Patryk albo Staś. Paula czuje troskę męża i docenia jego starania, ale nie może pozbyć się podejrzliwości, co jakiś czas dzwoni znieacka do niego do pracy pod różnymi pretekstami i za każdym razem oddycha z ulgą, kiedy słyszy jego głos w słuchawce. Teraz jednak ma ochotę na samodzielność w tym okrojonym zakresie, jaki przysługuje kobiecie w ciąży, na jeden z ostatnich niezabronionych przejawów samodzielności, wyjście do miasta na zakupy.

- Pojadę sama - mówi. - Kiedy ty kończysz pracę, wszystko jest już zamknięte.

- Wyjdę wcześniej.

- Nie, chcę pojechać sama - Paula jest zaskoczona własną irytacją. Chyba po prostu ma dosyć opieki i traktowania jej jak śmierdzącego jajka, nagle samodzielne wyjście do miasta staje się dla niej potwierdzeniem, że jeszcze istnieje, że nie zamieniła się w inkubator zaprojektowany do leżenia i dbania o dziecko. - W razie czego mam komórkę, zadzwonię.

- Jak chcesz - on nie ciągnie tematu, ale Paula jakoś traci przekonanie i postanawia umówić się z kimś na te zakupy. Mama byłaby idealną towarzyszką, lecz mama jest w domu i na razie nie planuje przyjazdu. Ciotka na pewno będzie kręcić nosem na każdy wybór, że za drogo, za wymyślne, teraz to się tym ludziom w głowach przewracało, myśmy w ciąży sobie same szyły sukienki, a wam się zachciewa ciążowych dzinsów, też coś! Dziewczyny z pracy nie wchodzi w grę. Pozostaje jedna osoba, która w dodatku będzie potrafiła sensownie doradzić i pomoże wybierać.

- Cześć, Teresa - mówi Paula w słuchawkę. - Nie masz ochoty wybrać się ze mną na zakupy?



W odpowiedzi tamtej brzmi nuta zaskoczenia i jakby... strachu? Ale zgadza się, pod koniec tygodnia obiecuje znaleźć chwilę czasu.

Spotkały się w piątkowe popołudnie w Galerii Mokotów. Teresa przyjechała na miejsce wcześniej, stanęła pod wejściem do galerii, zapaliła papierosa. Miała ochotę uciec, dziwiła się sobie, że w ogóle zgodziła się na spotkanie. Wydawało jej się, że winę ma wypisaną na twarzy, że zdradzi ją byle rumieniec, rozbiegany wzrok, nerwowy gest. Co za idiotyzm ciągnąć tę znajomość... Zwłaszcza teraz, kiedy Marcin nie odezwał się od paru tygodni i Teresa jest gotowa założyć się o wszystko, że się odezwie w najbliższym czasie. Mimo to, paradoksalnie, czuje ulgę. Coś się skończyło, coś, co od lat nie mogło znaleźć zakończenia. Czuje się wolna, jakby rysa przechodząca przez jej życie, jej małżeństwo wygładziła się. Czas przeszły dokonany, stało się i się nie odstanie, tłumaczyła sekretarkom ledwie poprzedniego dnia, gramatyka angielska ma nieubłaganą życiową logikę, w której czas przeszły dokonany zawsze oznacza to, co nieodwracalne. „I wish I hadn 't...”, powtarza sobie w myślach i wtedy wyławia wzrokiem z ludzkiej fali wylewającej się z tramwaju wysoką, zaokrągloną sylwetkę.

Paula jest oszołomiona, to jej pierwsze wyjście od nieszczęsnego badania, a potem od tygodni spędzonych w szpitalu. Łapczywie wdycha warszawskie majowe powietrze przesycone na równi wonią nadchodzącego deszczu i samochodowych spalin. Z wdzięcznością przyjęła ofiarowane w tramwaju miejsce. Ustępująca, starsza o jakieś dwadzieścia lat tęga kobieta z farbowanymi na marchewkowo włosami, oczywiście wynagrodziła sobie wysiłek wstania zadaniem kilkunastu dokładnych pytań, mimo to Paula czuła się wyróżniona, dumna z zaokrąglonego brzucha, który przypomina już sporego arbuza pod obcisłą granatową koszulką. Gumka letniej falbaniastej spódnicy wpija się boleśnie w napiętą skórę. To ostatnia chwila na zakup ubrań ciężowych.

Już przejście tego kawałka drogi od nowo budowanej kładki przy przystanku do drzwi galerii męczy ją. Paula przystaje z ulgą, Teresa macha jej na powitanie, witają się niezręcznie, mimo to unikają trudnych tematów, rozmawiają tak, jak rozmawia matka z ciężarną znajomą.

- Już wiesz, gdzie chcesz rodzić?

- Tak... chyba tak - przytakuje Paulina. - Na Karowej, tam gdzie leżałam.

- Będziecie rodzić razem?

- Nie wiem... - Paulina patrzy na nią spłoszona, z przerażeniem w oczach. Nadal nie jest w stanie wyobrazić sobie porodu czy to z mężem, czy bez niego. Teresa przypomina sobie ogólną porodówkę na Inflanckiej. Dwa łóżka oddzielone parawanem, monotonne chodzenie tam i z powrotem po wąskim korytarzu, żeby przyspieszyć akcję. Potem nagle chlupnięcie i kałuża płynu owodniowego spływającego po szpitalnej koszuli. Krzysiek zagubiony w tym wszystkim i godziny leżenia na łóżku, zakaz wstawania, picia, jedzenia, szum aparatu do kardiologii. Za pierwszym razem odesłała męża do domu tuż przed decyzją o cesarskim cięciu, za drugim pojechała sama i została sama w szpitalu. Wysłała mu SMS, jadąc na salę operacyjną.

- Ja nie chciałam, żeby Krzys był ze mną - mówi, a Paula patrzy na nią uważnie.

- Ja sama nie wiem - odpowiada.

Wędrują po sklepach. Galeria nie ma okien, wewnątrz zawsze panuje jasna, nieokreślona pora dnia, trudno zorientować się, czy na dworze dzień zmienił się już w wieczór, czy trwa w najlepsze. Po odwiedzeniu pierwszych trzech sklepów kolejne są nużąco takie same. W jakiejś alejce odzież ciężowa w szokujących cenach, obok ubranka niemowlęce, dla odmiany tanie, kolorowe i tandetne. Z każdą wizytą przybywa toreb, siatek, pakunków. Butelki, laktator, pościel, śpiochy, kaftaniki, prześcieradełka, dzinsy ciężowe, letnia sukienka, kilka obszernych podkoszulków, koszulka do karmienia z łaciatym kotkiem na przedzie. Objuczone tym wszystkim, siadają wreszcie w kawiarni. Rozmowa się rwie, pieniądze wydane, zostało na dużą kawę i duży sok marchewkowy. 'Teresa krzywi się na sam widok.

- Ja tam w ciąży piłam kawę.

- Ja nie chcę, boję się.

Rozmowa utyka w miejscu, siedzą naprzeciwko siebie, dwie kobiety, jedna niska i drobna, druga wysoka z wydatnym ciężowym brzuchem, z braku tematu do rozmowy popijają nerwowo jedna sok, a druga kawę. Paula wpatruje się w swoje paznokcie, krótko obcięte i pomalowane bezbarwnym lakierem, nerwowo skubie skórę przy paznokciu kciuka, mocno, do krwi. Wreszcie zbiera się na odwagę. Wie, że jeśli teraz nie zada tego pytania, to nie zada go nigdy. Zastanawia się tylko, jak zacząć, wreszcie nabiera powietrza w płuca.

- Słuchaj, ty... - waha się przez chwilę. - Ty przyjaźniłaś się z moim mężem, zanim go poznałam, prawda?

- Prawda - odpowiada Teresa z wahaniem. Nie wie, czego się spodziewać dalej. „Nazwał to przyjaźnią, więc dobrze. Tej wersji będę się trzymać”, myśli.

- Zastanawiam się - ciągnie Paulina dalej, masakrując kciuk paznokciem palca wskazującego. Skórka przy paznokciu krwawi, barwiąc szklanekę, ale ona zdaje się tego nie zauważać. - Zastanawiam się, czy może ty potrafiłabyś poznać, że dzieje się coś złego... Że on... Że Marcin się zmienił.

- Podejrzewasz go o coś?

- Nie wiem. Sama nie wiem.

- No więc o co chodzi?

- Nie wiem... Może to te sławetne hormony ciężowe, huśtawka nastrojów, wiesz. - Paula śmieje się niepewnie. Dostrzega wreszcie krwawiący palec i podnosi go mimochodem do ust, jak małe dziecko, które skaleczyło się podczas zabawy. - Mam wrażenie, że coś się dzieje, o czym nie wiem, i że ty będziesz wiedziała, o co chodzi.

- Masz na myśli... Romans? - pyta Teresa z przerażeniem. Nie musi udawać strachu, bo boi się jak nigdy przedtem, ma ochotę uciec z tego miejsca, podświadomie spodziewa się tego, co może teraz nastąpić, widzi to jak tytuł w gazecie: „Bójka dwóch kobiet w centrum handlowym”. Spodziewa się, że miła, ciężarna blondynka o lekko wyłupiastych błękitnych oczach za okularami za chwilę wybuchnie

histerycznym płaczem, zerwie się z krzesła, przewracając stertę siatek ustawioną misternie na podłodze, zrzuci ze stolika szklanki i filiżankę, serwetnik i kartę z obrazkami przedstawiającymi apetyczne desery. Już prawie słyszy trzask szczupłej dłoni o swój policzek, ale nic takiego się nie dzieje, kobieta siedząca naprzeciwko wzdycha z rezygnacją, wraca do oględzin swoich palców i mówi dalej.

- Myślałam, że coś wiesz, spotykaliście się, kiedy byłam w szpitalu, prawda?

- Prawda - odpowiada Teresa.

- I nic nie zauważyłaś?

- Trudno powiedzieć...

Sygnał komórki ratuje ją z pułapki. Telefon Pauli dzwoni melodią z M jak Miłość. Tamta wyjmuje z torebki mała granatowo-srebrny telefon komórkowy.

- Cześć, kochanie - mówi. - Tak, w galerii... Tramwajem... O, byłoby cudownie... Kiedy? Super. Poczekaj, spytam ją - zakrywa mikrofon dłonią i pyta Teresę: - Możemy cię odwiedzić do domu, chcesz?

- Nie, dzięki, wrócę autobusem - na myśl o schizofrenicznej podróży z Paulą i Marcinem Teresa prawie wybuchła śmiechem. Doskonale wie, że on zaproponował to tylko z grzeczności, że nie chce jej więcej widzieć, a przynajmniej przez jakiś czas. Rzeczywiście, zna go na wylot, jego żona zdziwiłaby się, widząc, jak czyta w jego myślach, ale dodaje tylko: - Jadę w przeciwną stronę.

- Aha - potakuje Paula do telefonu. - Dobra. Nie, przed wejściem... Za piętnaście minut... Ja ciebie też... Pa.

Chowa telefon z powrotem do torebki i zachowuje się tak, jakby zupełnie zapomniała o poprzednim temacie rozmowy. Wracają do tematów ciężowo-porodowych, wreszcie Paula wstaje i kieruje się do wyjścia, a Teresa pod pretekstem, że idzie jeszcze na chwilę do księgarni na dole, skręca przed wyjściem w lewo pomiędzy stoiskiem

z kolorowymi apaszkami a wózkami sprzedawcy amerykańskich hot dogów.

Kiedy wraca do domu, nie zastaje, jak się spodziewała, wesołego rozgardiaszu, ale przygnębiającą ciszę. Jasiek śpi, a Marysia leży na kanapie w salonie z wysoką temperaturą.

- Mamusiu, brzuch mnie boli - skarży się. Niania, zaafierowana, raportuje.

- Zadzwonili z przedszkola, kazali jak najszybciej przyjść, odebrałam ją, nie chciałam do pani dzwonić, bo pani pewnie zajęta.

Teresa ma straszne poczucie winy na myśl o tym, że włączyła się do centrum handlowym, kiedy jej dziecko związało się z bólu. Błyskawicznie zmienia się w pielęgniarkę. Lekarstwa, okłady, telefon do lekarza.

Lekarka przychodzi, zmęczona po całym dniu pracy w przychodni, wystarcza jej jeden rzut oka na dziewczynkę leżącą z podkurczonymi nóżkami na poduszkach, nawet jej nie bada, tylko zarządza:

- Proszę jechać do szpitala, najszybciej jak się da.

Teresa dzwoni do Krzyśka. Już po kilkudziesięciu minutach wiozą rozpalone, wymiotujące dziecko do szpitala dziecięcego. Ponury gmach wita ich kolejką w izbie przyjęć, młoda lekarka z podsinionymi od niewyspania oczami wiezie ich windą na chirurgię, tam szybka diagnoza - wyrostek. Decyzja o operacji zapada w ciągu kilku minut. Zaczyna się wędrówka przez gabinety zabiegowe, zakładanie wenflonów, pobieranie krwi i wreszcie dziewczynka znika za szklanymi drzwiami z napisem „Blok operacyjny”.

Teresa i Krzysiek siedzą obok siebie. Trzymają się za ręce pierwszy raz od dłuższego czasu. Jej paznokcie odciskają się czerwonymi półksiężycami na jego dłoniach, w ustach ma smak krwi od przygryzania dolnej wargi. „To za karę - kołaczę jej się po głowie, jak gdyby ta jedyna myśl wypłoszyła wszystkie inne. - To za karę, za karę, to kara dla ciebie za to, co zrobiłaś”. I druga myśl pojawia się nieśmiało, ale natrętnie: „A co będzie, jeśli się nie obudzi?”. Teresa zaciska zęby, żeby się nie rozpłakać, tak mocno, że następnego dnia odkryje, że ukruszyła plombę. Liczy kafelki na podłodze. Pięćdziesiąt sześć w poprzek korytarza i siedemdziesiąt osiem wzdłuż. Dalej nikną, rozptywiają się w jednolitą szarą masę.

- Przyniosę nam kawy - mówi Krzysiek i wstaje. I ona wstaje, chodzi po korytarzu tam i z powrotem. Nikt jej nie powiedział, że trzy kwadransy mogą trwać tak długo i że żaden zabieg nie jest prosty, kiedy siedzi się przed drzwiami z napisem „Blok operacyjny”, za którymi ktoś rozcina skalpelem brzuch jej własnego dziecka, miękki, różowy brzuszek, całowany i pudrowany, smarowany oliwką i ubierany w kolorowe bluzeczki. „To za karę...”, wraca złośliwa myśl. Teresa nie zdaje sobie sprawy, że od jakiegoś czasu powtarza to na głos.

- Co za karę? - pyta Krzysiek. Okazało się, że zdążył już wrócić z dołu. W rękach trzyma dwa kubki parującej kawy z automatu lekko pachnącej spalenizną i tekturą.

- To kara dla mnie - mówi ona. - Za to, co zrobiłam.

- Cokolwiek zrobiłaś, nikt nie karałby za to pięcioletniej dziewczynki - odpowiada łagodnie jej mąż.

- Zrobiłam... błąd. - Teresa płacze, szuka chusteczki w przepastnej torbie, wyciąga z niej podręcznik, proszki od bólu głowy, wreszcie plastikowego misia i na widok misia nie może już powstrzymać szloch. Krzysiek wyjmując z kieszeni garnitur chusteczkę, wyciera jej twarz jak dziecku, tak jak setki razy wycierał zasmarkany nosek Marysi.

- Popełniłam błąd, tak bardzo chciałam to zrobić. Myślałam tylko o sobie i skrzywdziłam was wszystkich...

Zresztą teraz to nieważne, już nigdy tego nie zrobię, tylko niech ona wyzdrowieje, niech ją wreszcie stamtąd wywiozą.

- Dopiero dwadzieścia minut minęło, spokojnie. Za pół godziny będzie po operacji.

Pół godziny później za szklanymi drzwiami powstaje niewielkie zamieszanie i wyjeżdża wózek z uśpioną

jeszcze dziewczynką.

- Wszystko będzie dobrze - chirurg, postawna blondynka w średnim wieku, rzuca z uśmiechem w biegu. -Piękny ropy wyrostek wycięty i po krzyku.

Marysia budzi się po kilku godzinach, zdziwiona, zasnana. Nie rozumie, co się dzieje dookoła. Następne dni mijają na dyżurach w szpitalu przy jej łóżeczku, a potem na wędrówkach po szpitalnym korytarzu, bo okazuje się, że pięcioletka po operacji dochodzi do zdrowia w błyskawicznym tempie, pochłania dietetyczne jedzenie, narzeka na szpitalne zabawki, domaga się uwagi i zabawy.

Pewnego dnia w trakcie zmiany wenflonu dzwoni komórka. Teresa zerka na telefon, widzi numer Marcina na wyświetlaczu i zniecierpliwiona odrzuca połączenie ze świadomością, że być może traci ostatnią możliwość rozmowy, zna go przecież aż za dobrze i wie, że jego duma nie zniesie takiego odrzucenia... Mimo to po krótkiej chwili wahania naciska czerwony przycisk i nie czuje żalu.

Po tygodniu wreszcie wracają do domu we trójkę. Dziewczynka radośnie wita brata, który rzuca się na nią z piskiem:

- Majisia! Moja Majisia!

Tego wieczoru, kiedy wszyscy są nareszcie razem, Teresa konstatuje ze zdziwieniem i ulgą, że mąż ani razu nie wrócił do tego, co powiedziała, kiedy czekali przed salą operacyjną. Leżą już w łóżku, starają się nie dotykać, każde pod swoją kołdrą. W mieszkaniu panuje spokój, liczba uśpionych główek na poduszkach nareszcie się zgadza. Można wreszcie z ulgą odespać szpitalne noce na twardym krzeselku przerywane codziennie o szóstej mierzaniem temperatury. Teresa przymyka oczy, usiłuje przywołać obraz Marcina, jego twarz, dłonie, głos, ale łapie się na tym, że robi to jakby tylko z przyzwyczajenia. Obrazy nie napływają, są zamazane, a jeśli już się pojawiają, to nie budzą żadnych emocji. Raczej pytanie: czy było warto?

Przez kolejne dni zaczyna do niej docierać, że pierwszy raz od lat dostrzega swojego męża, czuje zapach jego wody toaletowej, słyszy barwę jego głosu. Cały czas ma przed oczami jego sylwetkę pochyloną nad szpitalnym łóżeczkiem, przygarbioną, wczorajszy zarost na policzkach, zaparowane szkła okularów, kiedy czytał malej o Muminkach. Nie rozmawiają wiele, ale pewnego dnia, kiedy Teresa wraca z pracy, on już jest w domu, czeka na nią przy kuchennym stole.

- Muszę polecieć do Francji w lipcu na negocjacje z inwestorem - mówi i dodaje z wahaniem: - Może wybrałabyś się ze mną? Pobylibyśmy chwilę sami bez dzieci, przyda nam się taki wyjazd.

Ona, niespodziewanie dla samej siebie, zgadza się i wtedy dostrzega, że jej mąż uśmiecha się z wyraźną ulgą, jakby cały czas martwił się, że ona odmówi. Przecież zawsze odmawiała, zawsze wolała siedzieć w domu, od lat nie byli nigdzie razem tylko we dwoje.

Paula spodziewała się, że poród zacznie się w jakiś spektakularny sposób. W lipcowym upale spuchły jej kostki u nóg, a brzuch uniemożliwiał normalne siedzenie czy chodzenie. Spędzała dni, pólżąc na kanapie w pokoju, ciesząc się w duchu, że okna wychodzą na północ, dzięki czemu mieszkanie wydawało

się choć odrobinę chłodniejsze niż upalne ulice. Ograniczyła spacer do codziennej przechadzki do sklepu po gazety i owoce i leniwie pogryzając czereśnie, wyobrażała sobie ten moment, kiedy wreszcie poczuje pierwsze skurcze. Oczywiście duszy widziała coś w rodzaju sceny końcowej z filmu Dziewięć miesięcy: siebie z mężem w restauracji, w sukni wieczorowej, nagłe ukłucie bólu, strumień wód tworzący kałużę na posadzce, szaleńczą jazdę do szpitala z mężem za kierownicą... Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że ani nie ma wieczorowej sukni, ani też nie wytrzymałaby wizyty w eleganckiej restauracji. A zresztą musiałyby do sukni włożyć basenowe klapki - jedyne buty, w jakie była w stanie wcisnąć spuchnięte stopy.

Wszystko jednak rozegrało się zupełnie inaczej. Pewnego ranka Marcin zawiózł ją z samego rana do szpitala na kolejne badanie kontrolne. Miała stamtąd wrócić taksówką do domu. Leżała na boku na wąskiej niewygodnej leżance, z pasem ciasno oplatającym brzuch, podczas gdy obok kardiogram wypluwał jednostajnie zadrukowane wykresy. I już prawie przysypiała w dusznym pomieszczeniu, kiedy wyrwał ją z zamyślenia jakiś pisk, i dopiero po chwili zorientowała się, że tym, co jednostajnie, męcząco piszczy, jest właśnie aparat, a liczby na jego wyświetlaczu powoli spadają z bezpiecznych stu czterdziestu do stu dwudziestu, stu i niżej. Paula ledwie zdążyła się zaniepokoić, kiedy do pokoju wbiegła zaaferowana lekarka.

- Jedziemy na górę. Zostanie pani w szpitalu i jeśli dobrze pójdzie, już dzisiaj dzidzius będzie z panią - zawołała, zerknąwszy na wykres. Właściwie od tamtej chwili Paula pamięta tylko coś jak luźne sceny z filmu albo fragmenty niespokojnego snu: jazda wózkami na oddział, telefon do Marcina.

- Zostaję, będę rodzic.

- Jak to zostajesz? Jeszcze trzy tygodnie do terminu.

- Zostaję, coś jest nie tak z dzieckiem.

Zapamiętała chirurga, który kazał jej liczyć do dziesięciu, i swoje przebudzenie przy trzech, jaskrawe lampy na suficie, anestezjologa klepiącego ją po policzku.

- Gratulacje, ma pani syna!

- Zdrowy? - udało jej się wyszeptać i znów odpłynęła.

Obudził ją po raz kolejny jakiś lekarz zmieniający kroplówkę. Ból z rany na brzuchu powoli przebijał się do jej świadomości, do uszu docierało regularne pikanie jakiegoś urządzenia, do którego najwidoczniej była podłączona. Kiedy przebudziła się znowu, chyba już wieczorem, bo niebo za oknem przybrało odcień błękitu zmieszanego z szarością, pierwszą rzeczą, jaką poczuła, był ciepły i suchy dotyk na jej dłoni. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą twarz męża, ciemne oczy wpatrzone w jej twarz. Uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego uśmiech.

- Byłaś bardzo dzielna, aniołku.

- Widziałeś go? - zapytała zachrypniętym głosem.

W gardle jej zaschło i natychmiast chwycił ją atak kaszlu. Ostry ból brzucha natychmiast wyrwał z omdlenia, skrzywiła się.

- Widziałem. Jest... piękny. Jest nasz.

- Pawełek? - spytała.

- Niech ci będzie - uśmiechnął się Marcin w odpowiedzi. - Powiem siostrze, że się obudziłaś, to go przywiozą.

Dziecko w plastikowym wózku na stelażu jest zaskakująco duże. Paula, patrząc na syna, nie jest w stanie przez chwilę uwierzyć, że jeszcze wczoraj mieścił się cały w jej brzuchu. Małeńka różowa twarzyczka marszczy się, momenty niespokojnego snu: jazda wózkiem na oddział, telefon do Marcina.

- Zostaję, będę rodzic.

- Jak to zostajesz? Jeszcze trzy tygodnie do terminu.

- Zostaję, coś jest nie tak z dzieckiem.

Zapamiętała chirurga, który kazał jej liczyć do dziesięciu, i swoje przebudzenie przy trzech, jaskrawe lampy na suficie, anestezjologa klepiącego ją po policzku.

- Gratulacje, ma pani syna!

- Zdrowy? - udało jej się wyszeptać i znów odpłynęła.

Obudził ją po raz kolejny jakiś lekarz zmieniający kroplówkę. Ból z rany na brzuchu powoli przebijał się do jej świadomości, do uszu docierało regularne pikanie jakiegoś urządzenia, do którego najwidoczniej była podłączona. Kiedy przebudziła się znowu, chyba już wieczorem, bo niebo za oknem przybrało odcień błękitu zmieszanego z szarością, pierwszą rzeczą, jaką poczuła, był ciepły i suchy dotyk na jej dłoni. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą twarz męża, ciemne oczy wpatrzone w jej twarz. Uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego uśmiech.

- Byłaś bardzo, dzielna, aniołku.

- Widziałeś go? - zapytała zachrypniętym głosem.

W gardle jej zaschło i natychmiast chwycił ją atak kaszlu. Ostry ból brzucha natychmiast wyrwał z omdlenia, skrzywiła się.

- Widziałem. Jest... piękny. Jest nasz.

- Pawełek? - spytała.

- Niech ci będzie - uśmiechnął się Marcin w odpowiedzi. - Powiem siostrze, że się obudziłaś, to go przywiozą.

Dziecko w plastikowym wózku na stelażu jest zaskakująco duże. Paula, patrząc na syna, nie jest w stanie przez chwilę uwierzyć, że jeszcze wczoraj mieścił się cały w jej brzuchu. Maleńka różowa twarzyczka marszczy się na chwilę, a potem dziecko otwiera wielkie ciemnobłękitne oczy i wpatruje się w twarz mamy, jakby rozumiało o wiele więcej, niż się dorosłym wydaje.

- Cześć, synku - szepcze Paula, unosząc lekko głowę. - To ja, mama. Witaj na świecie.

Chłopczyk w odpowiedzi zaciska swoje drobniutkie paluszki na jej palcu.

Matka Pauli przyjechała następnego dnia, rozgościła się w mieszkaniu i zarządziła porządku. Pół dnia urzęduje w szpitalu przy nowo narodzonym wnuku, a drugie pół odkurza, szoruje, przestawia meble. Marcin zaczął do późna przesiadywać w pracy, chcąc zejść z drogi potężnej starszej pani o tubalnym głosie. Jednak każdego wieczoru czeka na niego obiad, a potem porcja zadań do wykonania. Skręcić łóżeczko, zmontować baldachim, przestawić komodę, kupić materacyk. Na dzień przed wypisem Pauli ze szpitala jej matka odsunęła łóżko, żeby za nim odkurzyć.

- Brud to największe zagrożenie dla maleństwa - powtarza co chwila. W szparze pomiędzy zagłówkiem a materacem dostrzegła coś błyszczącego. Schyliła się, żeby to podnieść, i zobaczyła kolczyk. Niewielki srebrny kwiatek z małym brylancikiem w środku, trochę pretensjonalny i nie w stylu Pauliny, która zwykle nosi ciężką geometryczną biżuterię bez kamieni. Obejrzała go uważnie i schowała do kieszeni džinsów.

Paula wróciła do domu następnego dnia. Niepewnie wspinała się po schodach, za nią Marcin niósł w samochodowym foteliku Pawełka. Dziecko spało, poruszając delikatnie buzią jak przy jedzeniu. Kiedy weszli do mieszkania, czekały na nich mama i ciotka, powitalne ciasto i herbata. Paula rozejrzała się po mieszkaniu, dziwnie obcym z nowymi sprzętami, dziecinne łóżeczko zajęło pusty dotąd kącik, wózek na dużych pompowanych kołach panoszył się

w przedpokoju, obok rozkładanej kanapy pojawiła się komoda z blatem do przewijania. Przełożyła nadal śpiącego synka do łóżeczka i usiadła, czując ogromne zmęczenie.

- No, czas na mnie - oznajmiła mama wieczorem, kiedy już wspólnie wykąпали maleństwo, chudziutki i bezbronny w błękitnej wanience. - Od dzisiaj jesteście prawdziwą rodziną, nic tu po mnie.

Ubrała się w sweter i dopiero wychodząc, cofnęła się od drzwi, sięgnęła do kieszeni spodni.

- A, zapomniałabym, córeczko. Znalazłam to pod łóżkiem, a nie wiem, gdzie trzymasz biżuterię. Schowaj sobie gdzieś. Szkoda, żeby zginął.

- Dziękuję, mamó - odpowiada Paula machinalnie, obracając w palcach srebrny drobiazg, i nie dociera do niej płacz dziecka wyjętego przez ojca z ciepłej wody na ręcznik.

Godzinę później siedzą przy doskonale znajomym kuchennym stole. Paula ukryła twarz w dłoniach i szlocha, nie zwracając uwagi na to, że przy każdym zaczerpnięciu oddechu rana po cesarce pali ją żywym ogniem. Szlocha cicho, żeby nie zbudzić dziecka, chociaż ma ochotę wrzeszczeć na cały głos. Marcin



stoi obok, strąciła z ramion jego dłonie, kiedy próbował ją objąć, schował ręce do kieszeni dżinsów. Patrzy na nią, nie odzywając się. Trudno jej wyczytać coś z jego wzroku, nie wie, czy widzi skruchę czy żal. Nagle wie, że ojciec jej dziecka jest zupełnie obcym mężczyzną, wrogiem. Czuje się tak strasznie skrzywdzona, że ma ochotę płakać do końca życia, a jednocześnie niemal fizycznie pała zimną nienawiścią do właścicielki srebrnego kolczyka.

- Mówiłam ci już raz, że to nie jest mój kolczyk! Czyj on jest? Kto tu był? - powtarza, jeszcze licząc na łatwą i prostą odpowiedź.

w przedpokoju, obok rozkładanej kanapy pojawiła się komoda z blatem do przewijania. Przełożyła nadal śpiącego synka do łóżeczka i usiadła, czując ogromne zmęczenie.

- No, czas na mnie - oznajmiła mama wieczorem, kiedy już wspólnie wykąпали maleństwo, chudziutkie i bezbronne w błękitnej wanience. - Od dzisiaj jesteście prawdziwą rodziną, nic tu po mnie.

Ubrała się w sweter i dopiero wychodząc, cofnęła się od drzwi, sięgnęła do kieszeni spodni.

- A, zapomniałam, córeczko. Znalazłam to pod łóżkiem, a nie wiem, gdzie trzymasz biżuterię. Schowaj sobie gdzieś. Szkoda, żeby zginął.

- Dziękuję, mamo - odpowiada Paula machinalnie, obracając w palcach srebrny drobiazg, i nie dociera do niej płacz dziecka wyjętego przez ojca z ciepłej wody na ręcznik.

Godzinę później siedzą przy doskonale znajomym kuchennym stole. Paula ukryła twarz w dłoniach i szlocha, nie zwracając uwagi na to, że przy każdym zaczerpnięciu oddechu rana po cesarce pali ją żywym ogniem. Szlocha cicho, żeby nie zbudzić dziecka, chociaż ma ochotę wrzeszczeć na cały głos. Marcin stoi obok, strąciła z ramion jego dłonie, kiedy próbował ją objąć, schował ręce do kieszeni dżinsów. Patrzy na nią, nie odzywając się. Trudno jej wyczytać coś z jego wzroku, nie wie, czy widzi skruchę czy żal. Nagle wie, że ojciec jej dziecka jest zupełnie obcym mężczyzną, wrogiem. Czuje się tak strasznie skrzywdzona, że ma ochotę płakać do końca życia, a jednocześnie niemal fizycznie pała zimną nienawiścią do właścicielki srebrnego kolczyka.

- Mówiłam ci już raz, że to nie jest mój kolczyk! Czyj on jest? Kto tu był? - powtarza, jeszcze licząc na łatwą i prostą odpowiedź.

Goście? Żona współnika musiała zgubić, siedząc na kanapie. Ale jakoś podświadomie wie, że łatwych odpowiedzi nie będzie. Nie tym razem.

- Wiem, że nie jest twój - odpowiada Marcin matowym, zmęczonym głosem. - Myślałem, że kiedyś ci wszystko wytłumaczę.

- Wytłumacz mi teraz, proszę, jakim cudem matka znalazła pod naszym łóżkiem cudzą biżuterię! Wytłumacz mi, kto spał w naszym łóżku, kiedy ja spałam w szpitalu, a twój współnik kłamał, że wychodzisz z pracy mnie odwiedzać!

- Była... Byłem z kimś - wyrzuca z siebie, nie patrząc na nią. Teraz siada naprzeciwko po drugiej stronie

stołu i próbuje ująć jej dłonie w swoje, ale ona wyrywa ręce, splata je przed sobą jak tarczę. - Myślałem, że...

- Dawno to się ciągnie? - pyta Paula. - Chcesz mi powiedzieć, że zdradzałeś mnie już wcześniej?

- Niedawno. To było tylko kilka spotkań.

- Chcesz odejść?

On wybucha zupełnie niewesołym śmiechem.

- Odejść? Tu jest mój syn... Cokolwiek teraz myślisz, wiem, że nie uwierzysz, kiedy powiem, że kocham ciebie... Jego kocham. Jestem jego ojcem.

- To prawda - odpowiada ona i wstaje od stołu. Nie przypomina ładnej, smukłej dziewczyny, jaką była jeszcze rok wcześniej. Ma zapuchniętą od płaczu twarz, blond włosy z odrostami niechlujnie upięte na czubku głowy. Jej brzuch nadal wygląda tak, jakby była w ciąży, a opuchlizna z nóg jeszcze nie zesza, choć zaczynają już z niej przebijać kostki i dawne kształty. Paula jest świadoma swojego wyglądu, a kiedy wyobraża sobie, jak się prezentuje w porównaniu z nieznaną właścicielką kolczyka, dopada ją kolejny atak płaczu. Marcin próbuje iść za nią, lecz zatrzymuje go gestem.

- Nic do mnie nie mów. Nie próbuj nawet. Porozmawiam z tobą jutro, kiedy to wszystko do mnie dotrze.

Zasypia ukołyszana płaczem. Z łóżeczka dobiega miarowe posapywanie synka, który nagle staje się jedyną pewną rzeczą w jej życiu, kotwicą, która powstrzymuje ją od wybiegnięcia w noc. Nawet łóżko jest obce i nie potrafi odgonić od siebie myśli o tym, kto jeszcze niedawno mógł trzymać głowę na tej samej poduszce.

Paryż w lipcu jest upalny. Gorąco bije od chodników, asfaltu i szarych nagranych kamienic opasanych rzędami identycznych balkonów o kutyh balustradach. Hotel, w którym zatrzymali się Krzysiek i Teresa, stoi prawie pod samym wzgórzem Montmartre. Przez okno widać na tle nieba jaskrawobiałą kopułę bazyliki Sacre-Coeur. Krzysztof całymi dniami siedzi na negocjacjach, Teresa włóczy się po wąskich uliczkach, popija colę albo bardzo mocną kawę w kawiarnianych ogródkach. Zwiedza muzea, Luwr pobieżnie, w tłumie turystów z cyfrowymi aparatami, muzeum Salvadora Dali schowane tuż obok Place du Tertre nieco uważniej. Głównie jednak, jak przez całe życie, wałęsa się samotnie. Chłonie klimat ulic, przystaje przy straganach z owocami wystawionych na zewnątrz maleńkich arabskich sklepików, obserwuje malarskich wyrobników produkujących portrety nalanych Niemców, amerykańskich studentek z aparatami na zębach i Japończyków w okularach. Pod murami kamieniczek i w wejściach do metra uliczni muzycanci grają na saksofonach, harmonijkach i gitarach. Wieczorem, gdy niebo ciemnieje, Krzysiek wraca do hotelu i idą na kolację. Mówią mało, obserwują się nawzajem. W nocy śpią na hotelowym małżeńskim łóżu, uważając, by się przypadkiem nie dotknąć.

Pewnego dnia dzwoni komórka Teresy. Serce skacze jej do gardła z przerażenia. Rodzina wie, że ma dzwonić tylko, gdyby coś stało się z dziećmi. Roaming kosztuje, więc nie dzwoni nikt z pracy. Teresa odbiera telefon. W słuchawce odzywa się znajomy, a jednak strasznie zmieniony głos, w którym są

smutek i zmęczenie.

- Cześć - mówi Marcin. - Wiesz, że mam syna?

- Gratulacje - odpowiada machinalnie. Ukłucie żalu i zazdrości jest mniejsze, niż się spodziewała. W zasadzie musi je w sobie świadomie wywołać, żeby je poczuć. Teresa siada w pierwszym z brzegu ogródka kafejki, zamawia czarną kawę, zapala papierosa i pyta:

- Czy coś się stało?

- Paula wie... o nas.

- Jak?

- Przypadkiem. Potem musiałem jej powiedzieć. Nie wie, że to ty, ale wie, że kogoś mam... Miałem.

- I co teraz?

W słuchawce zapada cisza tak długa, że Teresa przez chwilę myśli, iż połączenie zostało przerwane, więc zaciąga się głęboko papierosem i upija łyk czarnej i mocnej kawy. Radio w kafejce nadaje wiadomości po francusku. Kelner łamaną angielszczyzną odbiera zamówienie od grubej Angielki w kwiecistej sukni i japonkach.

Wreszcie Marcin odzywa się znowu.

- Nigdy nie będziemy razem, prawda?

Dopiero teraz Teresa czuje żal, rozpacz po nieodwołalnym, ale tylko przez chwilę, wszystko mija, kiedy odpowiada:

- Nie razem. Razem chyba nigdy. Tak żeby razem mieszkać i budzić się codziennie obok siebie, nie, nie da rady. Masz syna, zawsze będziesz za nim tęsknić... No i Paula. Kochasz ją przecież.

- Rozumiem - ona niemal widzi, jak on w milczeniu kiwa głową. Wyobraża sobie to jego spojrzenie, uparte, pytające. - Czyli znowu kradzione godziny, chwile wyrwane z życia?

- Właśnie tak. Nic więcej, a ja nie mam na to siły... -głos jej się załamuje.

- Tak. A teraz, ta ostatnia noc. Co to było?

- Spóźniliśmy się o dziesięć lat. Podarowaliśmy sobie szczęśliwe zakończenie i wracamy do domu - mówi Teresa. Stara się, żeby zabrzmiało to lekko, i chyba rzeczywiście tak brzmi, bo w jego głosie słychać jakby ulgę.

- Zostaniemy przyjaciółmi?

- Nie - odpowiada i rozłącza się. Wszystko zostało powiedziane. Kawa została wypita, papieros wypalony - gasi go zdecydowanym ruchem w czarnej popielniczce z napisem „Gauloises blondes”. Płaci dwa

euro.za kawę. Wychodzi. Tego wieczoru wkłada najbardziej kobiecą sukienkę, jaką zabrała ze sobą, i sandały na szpilkach. Czuje się przez chwilę jak w przebraniu, ale mimo to maluje usta i paznokcie na wyzywającą czerwień wozu strażackiego. Idą z Krzyżkiem na kolację do jakiejś restauracji, gdzie podają szampana i maleńkie porcje kolorowych warzyw ułożone w mozaikę na kwadratowych granatowych talerzach. Po jedzeniu wracają do hotelu. W oknie oświetlona kopuła bazyliki świeci na tle nieba. Nie zasłaniają okna. Kochają się powoli jak w pierwszych latach małżeństwa, kiedy cienie przeszłości spoczywały bezpiecznie zamknięte za drzwiami ich wspólnego mieszkania, nawet głos w telefonie wydaje się tylko słabym echem wspomnienia z dalekiej przeszłości.

- Powiedz mi - mówi ona, kiedy już powoli odpływają w sen. - Czy nasze małżeństwo da się jeszcze uratować?

- Chciałbym tego - odpowiada on i dodaje, unosząc się na łokciu: - Tylko błagam, nie zwierzaj mi się. Nie chcę wiedzieć, co zrobiłaś. Nie dzisiaj, nie teraz, nigdy. Nie chcę roztrząsać, kto zawinił. Chcę być z tobą, z wami, jak zawsze od tego dnia kiedy odprowadziłem cię do mieszkania. Może nie umiem tego okazać, ale cię kocham.

- I ja też cię kocham - odpowiada ona, nareszcie szczerze i po raz pierwszy od kilku lat. Ma ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale wtedy słyszy już jego spokojny, uśpiony oddech i zasypia. Wolna, po raz pierwszy z poczuciem, że jest na swoim miejscu.

Po powrocie do Warszawy Teresa ma jeszcze tylko jedną rzecz do zrobienia. Pewnego ranka w sierpniowym upale ubiera się wygodnie w bojówki i sportowe sandały, sięga do szuflady biurka, gdzie w notesie z telefonami, za okładką, ukryte są dwa zdjęcia. Na jednym czarnowłosa, gotycki młody mężczyzna siedzi na pniu olbrzymiego drzewa, wpatruje się upartym spojrzeniem w przestrzeń. Na drugiej fotografii niski chłopak w wojskowym mundurze stoi obok roześmianej blondynki, a za nim Marcin obejmuje brązowowłosą, szczupłą dziewczynę w okularach wpatrzoną w niego z bezgranicznym oddaniem, co widać nawet na wymiętej i wyblakłej odbitce. Teresa chowa oba zdjęcia do portfela obok kwitów z poczty i kilku wygniecionych dziesięciotówek i jedzie na dworzec. Pociąg osobowy do Skierniewic odjeżdża natychmiast po tym, jak wsiada do niego zdyszana po biegu przez hali od kasy biletowej. Teresa siada na wąskiej czerwonej ławeczce obitej dermą i nie patrząc za okno, za którym przesuwały się podmiejskie krajobrazy, czyta gazetę, z której nie rozumie ani słowa. Kiedy pociąg zatrzymuje się na stacji, wysiada. Widok jest taki, jak zapamiętała sprzed dziesięciu lat: czerwone ceglane cielsko dworca, a nad peronami wznosi się betonowa kładka, po której biegają ludzie z siatkami, z plecakami, młodzież i starsze osoby. Przez chwilę Teresa czuje tamten ból w nogach na wspomnienie, jak trudno było biec tą kładką w angielskich butach na dziesięciocentymetrowym obcasie. Jej wzrok przykuwa para, która wspina się po schodkach, nie spiesząc się, przystając co chwila, żeby się objąć i całować. On jest wysoki i czarnowłosa, ona - drobna, ubrana w brązowe sztruksowe spodnie, a jej długie włosy powiewają na wietrze. Już po chwili jednak upiory przeszłości rozmywają się. Teresa wchodzi na kładkę tym razem w wygodnych sandałach, nigdzie się jej przecież nie spieszy. Pociąg, który przed chwilą przyjechał z Warszawy, odjeżdża w jakieś inne, nieznane miejsce, nabiera powoli prędkości. Ona wychyla się przez barierkę, zastanawiając się leniwie, jak by to było znaleźć się pod kołami pociągu i czy ból byłby rzeczywiście tak wielki, jak się wydaje, i jak szybko nadeszłaby ciemność, lecz zamiast sprawdzić to w

praktyce, wyjmując z torebki portfel i po raz ostatni spogląda na zdjęcie, i czyta dedykację na odwrocie. „Dziękuję, że mam miejsce w twoim świecie... M.K., 1995”, napisane równym, uczniowskim niemal pismem. A potem powoli, metodycznie drze zdjęcie na drobne kawałeczki, aż staje się garścią kolorowych strzępków. Kiedy wyrzuca je w powietrze, wirują jak prochy zmarłej osoby. „Rozsypcie mnie na dworcu kolejowym w Skierniewicach”, zadysponował zmarły i oto rodzina otwiera urnę pełną wspomnień i odłamków kości wymieszanych z popiołem. Obraz jest tak żywy, że Teresa dławi się łzami, a jednocześnie wybucha śmiechem - kto normalny chciałby dać się rozsypać w takim miejscu, które służy jedynie przesiadkom i pospiesznemu biegowi z jednego peronu na drugi. Co innego rozsypane wspomnienia, które właśnie ulatniają się z wiatrem prosto pod koła pociągu do Warszawy.

Paula budzi się wtulona w ramiona męża od wieczoru, kiedy matka wręczyła jej srebro. Poprzedniego dnia długo rozmawiali i zgoła zostało jak dawniej.

- Naprawimy nasze małżeństwo - obiecał Marcin, a ona zgodziła się z płaczem. Dała mu jeszcze jedną szansę pod warunkiem, że zapomni o tamtej.

- Nie chcę, żebyś do niej dzwonił, pisał. Żadnych ostatnich rozmów i wyjaśniania - postawiła warunek. Kolczyk z cyrkonią wyrzuciła do śmietnika, gdzie spoczywa teraz pomiędzy ziemniaczanymi obierkami i zmiętymi chusteczkami do nosa.

Wstaje nowy letni dzień, niedziela. Paula karmi syna i czuje, jak fala spokoju zalewa ją całą, kiedy dziecko ssie, mrucząc cicho i co jakiś czas spoglądając na nią szeroko otwartymi szafirowymi oczkami. Na drugim końcu miasta Teresa szykuje śniadanie dla dzieci i Krzyśka, kroi chleb i podsmaża cebulę do jajecznicy. Marysia dostanie dietetyczne kanapki z szynką, więc już marudzi, wybrzydza.. Krzysztof wstaje, obejmuje żonę krzątającą się przy kuchni.

- Dobrze nam zrobił ten wspólny wyjazd - mówi. - Jakoś się po nim zmieniłaś.

Ona w odpowiedzi tylko się uśmiecha, miesza jajka na patelni. On całuje ją w czubek głowy i idzie zająć się dziećmi.

Paula budzi męża. Śniadanie gotowe, gorąca kawa pachnie na całe mieszkanie.

- Wstawaj, śpiochu - mówi z uśmiechem.